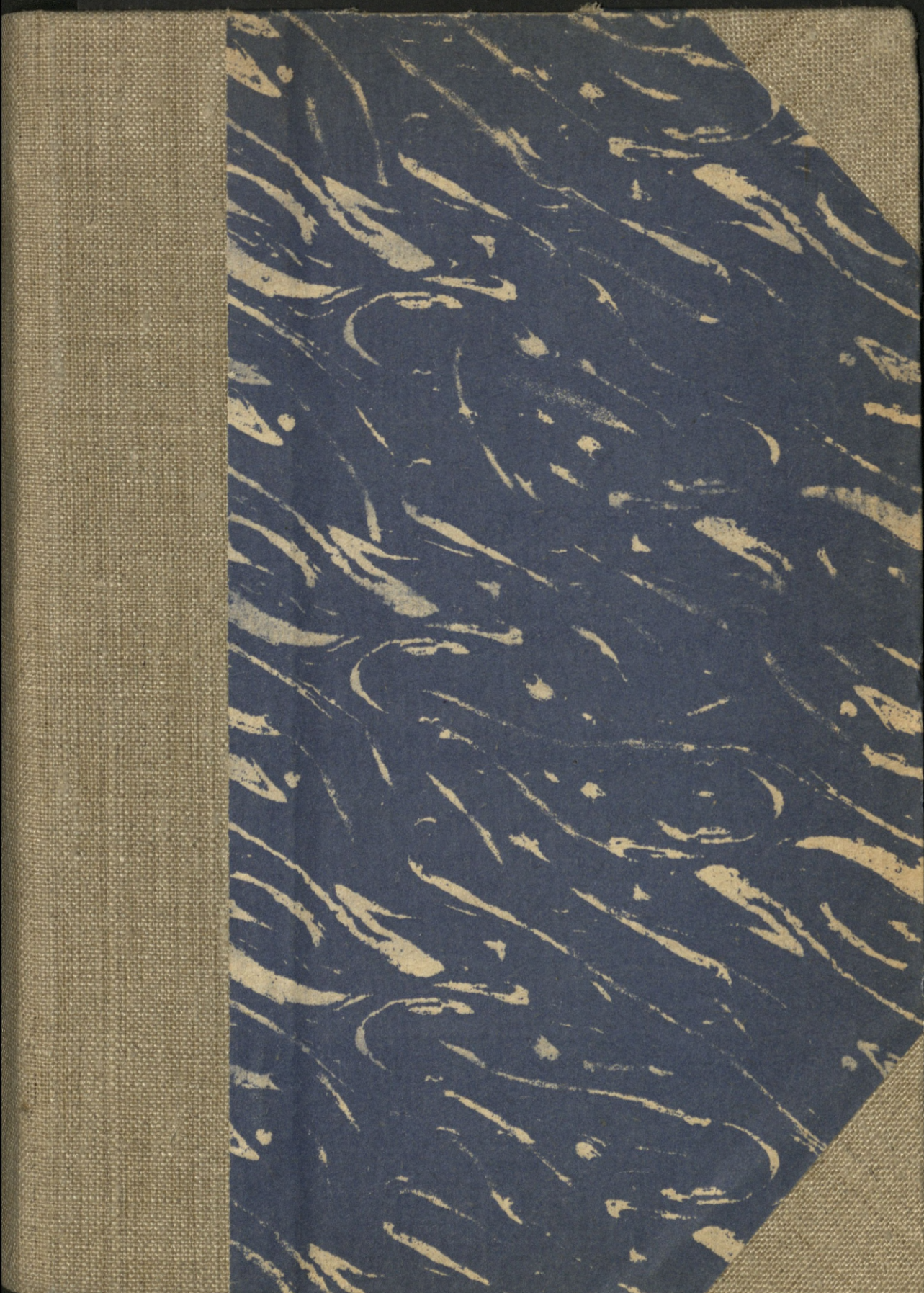


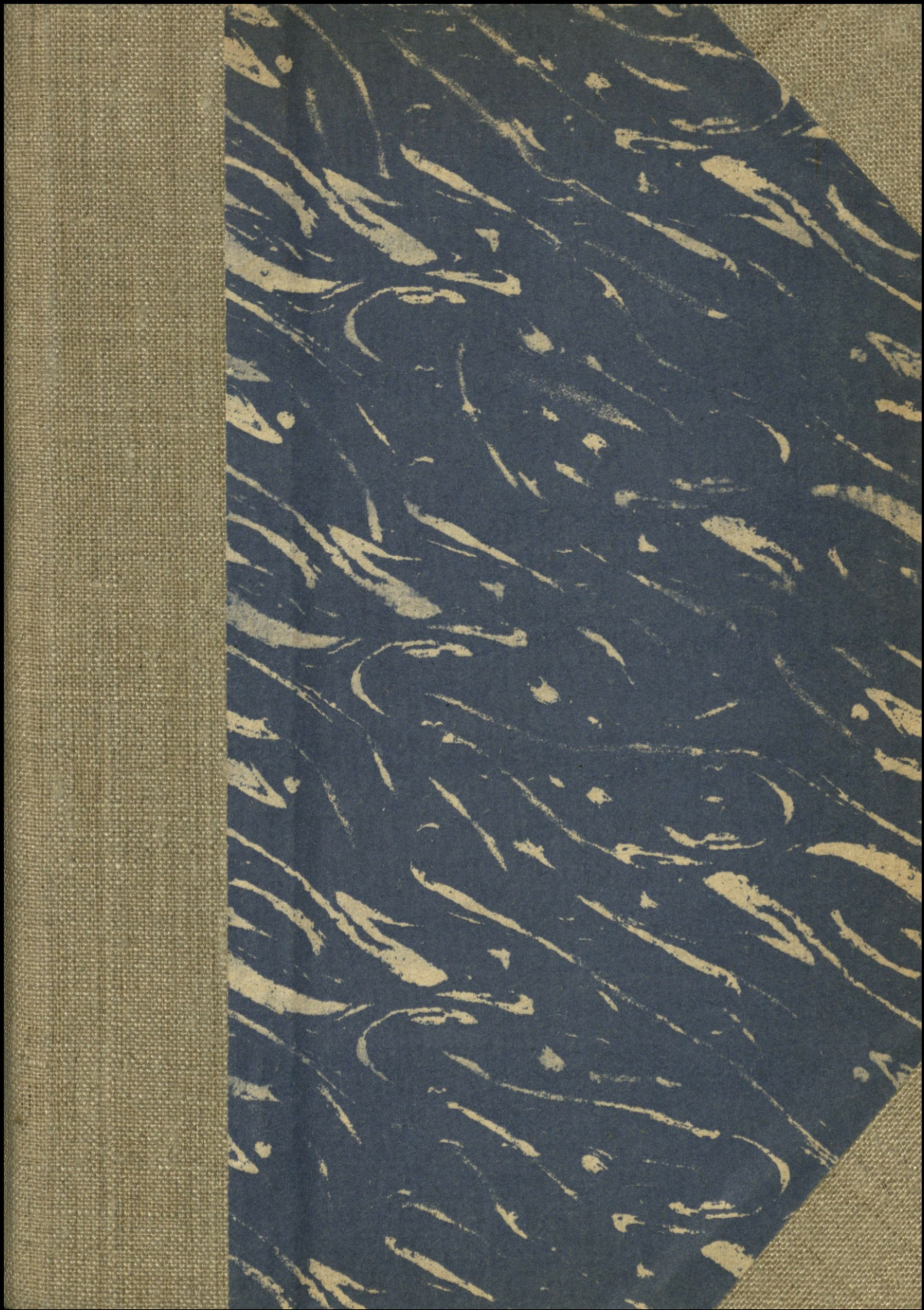
Grey Scale #13



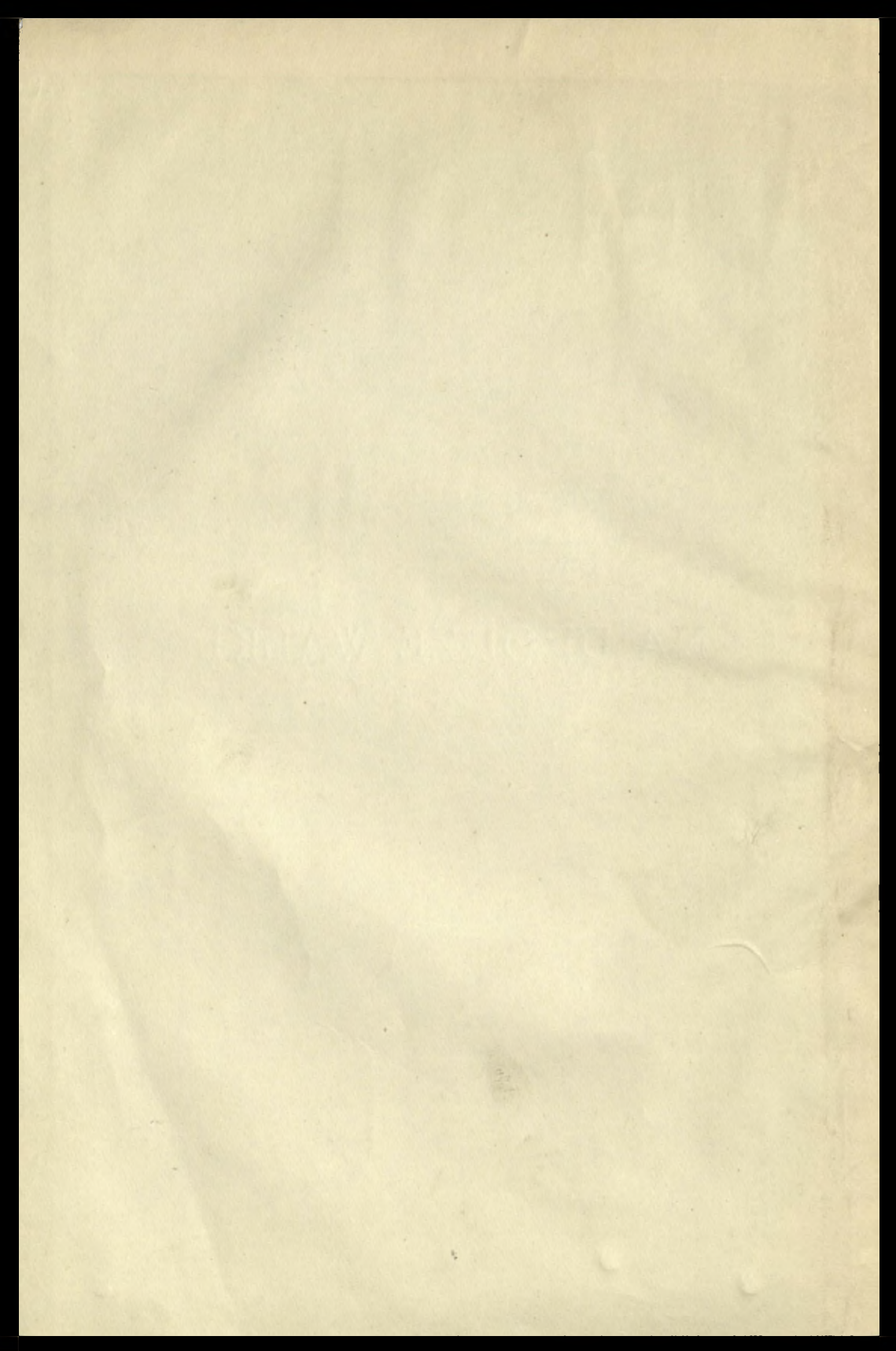
DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





NA DRODZE WALKI



WYDAWNICTWO STRONNICTWA PRAWICY NARODOWEJ

JAN BOBRZYŃSKI

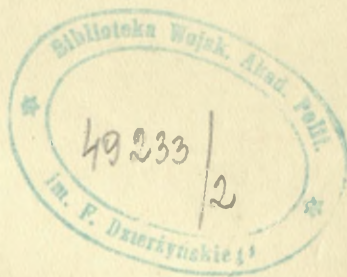
NA DRODZE WALKI

Z DZIEJÓW ODRODZENIA MYŚLI
KONSERWATYWNEJ W POLSCE

Chop / 2

WARSZAWA — 1928

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI F. HOESICKA



DRUKARNIA
MINISTERSTWA SPRAW WOJSKOWYCH
WARSZAWA ——— PRZEJAZD 10.

POWSZECHNE panuje mniemanie, że majowy zamach stanu dał główny impuls do odrodzenia idei zachowawczej w Polsce. Stąd też traktują ją przeciwnicy jako bezpośrednią funkcję rządów i polityki marszałka Piłsudskiego, przewidując jej upadek z chwilą ewentualnego załamania się konjunktury, która ją na światło dzienne rzekomo wydobyła.

Niepodobna zaprzeczyć, że zmienione po wspomnianym przewrocie warunki polityczne w kraju przyczyniły się w bardzo znacznym stopniu do szybkiego, wszechstronnego rozwoju konserwatyzmu. Marszałek Piłsudski, wypowiadając walkę partyjnictwu i przerostowi parlamentaryzmu i podejmując konsekwentną pracę nad przebudową ustroju państwa w duchu jego potrzeb nowoczesnych, zrozumiał odrazu, że w tak wielkiem konstruktywnem zamierzeniu nie obejdzie się bez współdziałania poważnych czynników na prawicy społecznej. Zrozumiał konieczność przywrócenia w państwie równowagi, zwichniętej w demagogicznym porywie przez narodową demokrację wspólnie z lewicą i dlatego wezwał konserwatystów do współpracy państwowej i otworzył im pole działania. Uznał, że zachowawczość nie jest partją, ale światopoglądem, mającym ważną rację bytu, niezbędną częścią składową normalnego organizmu społecznego.

Byłoby też nieprawdą i niewdzięcznością znaczenie tego faktu umniejszać lub zgoła mu zaprzeczać. Ale nieprawdą jest również, jakoby dopiero strzały na ulicach Warszawy miały zbudzić myśl zachowawczą z przymusowego letargu, wywołanego poprzedniem siedmioletniem panowaniem radykalizmu. Nieprawdą jest, jakoby jedynie i wyłącznie przewrót majowy to sprawił. Odrodzenie idei zachowawczej poczęło się znacznie wcześniej, jako organiczny, żywiołowy odruch zdrowej myśli społecznej przeciwko rządowi demagogji i nieudolnej partjokracji, które razem zrujnowały gospodarstwo krajowe i staczały państwo w coraz szybszem tempie po równi pochyłej. Dlatego też konserwatyzm dzisiejszy nie jest funkcją

obecnej konjunktury. Prawda, że zawdzięcza jej wiele, ale począł się samorzutnie i mimo wszelkich trudności, piętrzących mu się na drodze, rozwijał się głównie własną mocą. Był bezspornie potrzebny państwu i nie może ulegać wątpliwości, że gdyby przewrotu nie było, to odradzająca się z młodzieńczym rozpędem myśl zachowawcza byłaby znalazła sobie inne drogi na arenę życia publicznego.

Demagogja i radykalizm zgrały się już dawno same w sobie, zanim spotkał je cios stanowczy. Cios ten tylko ułatwił i przyspieszył rozwój konserwatyzmu, którego posiew wschodził już silnie w miarę postępów paraliżu sejmowładztwa. A najskuteczniejszym w tym okresie impulsem było dla niego niepowodzenie koncepcji rządzenia przez koalicję stronnictw, podjętej przez ostatni rząd przedmajowy (nie biorę tu w rachubę kilkodniowego gabinetu Witos). Koncepcja ta była ostatnią próbą produktywności partji sejmowych, ostatnim wysiłkiem zamierającego systemu. Próba się nie udała, bo się udać nie mogła i ta okoliczność spowodowała właśnie tem większy zwrot opinji publicznej w kierunku zachowawczym.

Na dowód tego twierdzenia niech służy szereg artykułów, pisanych dla Dnia Polskiego w okresie przeszło dwóch lat, poczynając od pamiętnego zjazdu ziemian w Warszawie we wrześniu 1925, aż do lutego 1928, gdy po wygaśnięciu kadencji drugiego sejmu z końcem listopada poprzedniego roku stanęło społeczeństwo polskie wobec wyborów do trzeciego z kolei sejmu, mającego zapoczątkować okres gruntownych reform ustrojowych i ogólnej naprawy stosunków w państwie. Może służyć za dowód dlatego, że artykuły te, pomijając pewne myśli indywidualne autora, pisane były pod wpływem refleksów opinji publicznej, która z początku nieśmiało, prawie podświadomie, pōtem coraz wyraźniej i energiczniej, wypowiadać się zaczęła za stłumieniem demagogji w życiu politycznem i gospodarczem i zastąpieniem jej światopoglądem, na trzeźwych, obiektywnych zasadach opartym.

Przeglądając ten szereg artykułów, przygodnie pisanych, dostrzegłem, że łączy je wspólna nić, że składają się na pewną całość—na historję dwuletniej walki idei zachowawczej o prawo obywatelstwa na naszej arenie politycznej, o udział w pracy nad odrodzeniem państwa. Odzwierciedlają zarazem te wszystkie przemiany, jakie idea ta w ciągu tego procesu regeneracji przechodziła, zarówno pod wpły-

wem różnych zewnętrznych impulsów, jak i wewnętrznego przefermentowania i doskonalenia, dostosowując się stopniowo do prądów i potrzeb czasu w Polsce i na świecie wogóle.

Ten proces modernizacji idei zachowawczej, to przybieranie przez nią charakteru szczególnej aktualności i żywotności i dostosowywanie się do użytku szerszych sfer, dla których do niedawna była jeszcze niedostępną i dlatego niepopularną, stanowi właśnie najciekawszy rys tematu, na który złożyła się w mimowolnym, a jednak organicznym związku niniejsza serja artykułów. Bo istotnie, od pierwszego apelu, wystosowanego w sierpniu 1925 do sfer ziemiańskich i zapoczątkowania walki z demagogją, kulminującej w kilka miesięcy potem w katygorycznym stwierdzeniu, że tylko konserwatywny światopogląd i metoda pracy uratować mogą państwo z impasu, aż do sprecyzowania programu obywatelstwa gospodarczego i opartej na nim polityki wielkomocarstwowej, wzorowanej na idei jagiellońskiej, postęp jest wielki, wypełniony krystalizowaniem się i kształceniem nowoczesnego programu zachowawczego, dobywającego się na światło dzienne z ciemnoty siedmiotetnych rządów radykalnych, wśród zmagających o zdobycie wpływu na opinię społeczeństwa.

Życzyć krajowi należy, aby idea, zrodzona w ten sposób żywiołowo, z ewolucji stosunków, ugruntowała się szeroko w umysłach ogółu, gdyż praca państwowo-twórcza posiada gwarancje trwałości tylko wówczas, gdy opiera się nie na chwilowych, oportunistycznych kombinacjach, ale na silnej, zdrowej i realnej podstawie ideowej.

Zarys niniejszy, w kilkudziesięciu artykułach ujęty, kończy się z chwilą, gdy po zamknięciu okresu sejmowładztwa, zorganizowany na nowo i skonsolidowany w całym państwie konserwatyzm wysąpić ma oficjalnie na arenie ciał ustawodawczych i współdziałać bezpośrednio w zapowiedzianej przez rząd reformie ustroju państwa. Okres, w który wstępujemy, jest więc nietylko przełomowy dla rozwoju państwa, ale zarazem decydującą próbą tężyzny żywiołów zachowawczych, które po dwuletniej walce zdobyły sobie już poważne stanowisko w kraju i zgromadziły w swem ręku znaczne atuty.

Myśli przewodnie występują—mam wrażenie—dość wyraźnie z całości artykułów, składających się na niniejszą książkę.

Występują nie w założeniu, bo takiego w danym wypadku być nie mogło (za wyjątkiem zasadniczego zwalczania demagogii), ale w konkluzji i przez to właśnie nabierają tembardziej siły przekonywującej:

1) że odrodzenie konserwatyzmu nie było bezpośredniem dziełem zamachu majowego, ale nastąpiło samorzutnie, jako naturalna reakcja opinii przeciw rujnującemu panowaniu dyktryny i taktyki radykalnej,

2) że najrealniejszą podstawą tego odrodzenia było oparcie światopoglądu zachowawczego na ideologii ekonomicznej, która odgrywa rolę niejako otrzewiającego antidotum na rozwichrzone, abstrakcyjne doktrynerstwo programów ultrademokratycznych.

W tej ideologii ekonomicznej, której hasło rzuciliśmy po raz pierwszy w programowym artykule z dn. 28 maja 1927, a która obecnie ogarnęła już szersze sfery społeczeństwa i stopiła się z pojęciem pracy państwowej, a nawet stała się mniej lub więcej powszechnem hasłem wyborczem, znalazła też dopiero skuteczne oparcie akcja konsolidacyjna dzisiejszego społeczeństwa polskiego, rozdwojonego dotąd walką klasową i narodowościową. Znalazła w niej również oparcie idea Polski mocarstwowej, której skrajnem zaprzeczeniem była krótkowzroczność i bezmyślny radykalizm demagogicznych partji sejmowych.

Uważam sobie za miły obowiązek wyrażenie na tem miejscu wdzięczności hr. Wojciechowi Rostworowskiemu za przejrzanie tej książki przed oddaniem jej do druku i udzielenie mi swej cennej opinii, która zachęciła mnie tembardziej do ogłoszenia niniejszych artykułów, jako pewnej organicznej całości.

W ostatniej chwili przed realizacją wydawnictwa uzupełniłem je jeszcze dołączeniem odczytu, wygłoszonego w końcu lutego b. r. w Krakowie, gdyż stanowi on niejako reasumpcję i kwintesencję myśli programowej, która rozwijała się stopniowo, na podstawie wydarzeń i refleksji, w ciągu przeszło dwóch lat.

Warszawa, marzec 1928.

19 sierpnia 1925.

ROLA ZIEMIANSTWA WOBEC REFORMY AGRARNEJ.

Młode państwo nasze, z odziedziczonym od wieków impulsywnym porywem, niezawsze liczącym się dokładnie z realnemi następstwami urzeczywistnianych pośpiesznie haseł, przejęło się ambicją przodowania w realizacji różnych postępowych programów, wyłaniających się aż nazbyt obficie w okresie powojennym na całym świecie. Czy chodzi o skrajne stosowanie systemu powszechnego głosowania, czy o teoretyczne postulaty warunków pracy, czy o jak najdalszą ingerencję państwa w życie i pracę obywateli, czy o ograniczanie prawa swobody indywidualnej i własności prywatnej na rzecz ogółu — wszędzie młoda Polska trzyma prym wśród państw cywilizowanych, jakgdyby chcąc wykazać się gorliwością swego demokratycznego postępu, niedość bacząc na to, czy wątły jej jeszcze z wielu względów organizm zdolny jest wytrzymać bez szkody te reformy.

Wierna tej zasadzie zaprowadza Polska obecnie reformę ustroju rolnego, kasującą kilkanaście tysięcy podstawowych warsztatów pracy, których produkcja obejmuje bezpośrednio lub pośrednio połowę naszego bilansu eksportowego (zboże, kartofle, cukier, spirytus, drzewo i t. d.) i które dają zatrudnienie tysiącom placówek przemysłowych w państwie. Kasuje je na rzecz głównie pewnej warstwy obywateli, która przy naszej dosyć prymitywnej jeszcze kulturze i braku należytego gospodarczego wyrobienia, a przede wszystkim ogólnym braku środków finansowych, nie będzie w stanie — mimo najlepszych chęci — daru tego odpowiednio wykorzystać. Stwarza przytem Polska niebezpieczny precedens przekreślenia prawa pry-

watnej własności na wielką skalę, wnosząc tem samem raz na zawsze moment niepewności w porządek rzeczy, ustalony każdorazowym stanem prawnopolitycznym państwa, który każda fluktuacja w przyszłych koniunkturach politycznych może z kolei również przekreślać.

Ale reformy tego rodzaju inaczej wyglądają na papierze, inaczej w rzeczywistości. Los ich zależy w bardzo znacznej mierze od okoliczności, czy są realnymi potrzebami państwa usprawiedliwione, czy są dla niego naprawdę korzystne i czy warstwa społeczna, którą dotyczą, jest zdolna do życia i rozwoju, czy nie. Odpowiedź, jaką da życie na powyższe trzy zagadnienia, może w praktyce wykonanie każdej takiej ustawy albo wzmocnić i przyspieszyć, albo też zmienić, a nawet całkiem zahamować. I w tem właśnie leżeć będzie ostateczne rozstrzygnięcie reformy ustroju rolnego w Polsce.

Nie ulega kwestji, że między wywłaszczeniem warstwy ziemiańskiej w takiej np. Rumunji, a nawet w Czechach, a w Polsce ogromna jest różnica. Tam bowiem naprzeciw mas ludowych stała garstka wielkich właścicieli, oddzielona od nich i olbrzymią różnicą stanu posiadania i odwiecznym nimbem feudalnym. U nas zaś warstwa ziemiańska stanowi od wieków stan bardzo liczny, o ustroju wybitnie demokratycznym, jak tego dowodzą całe nasze dzieje pojagiellońskie. Wszak dawna Polska elekcyjna była — mimo korony królewskiej — rzeczą pospolitą w całym tego słowa znaczeniu! To nie francuscy „*ci-devant*”, zmieceni ze swych feudalnych zamków jednym podmuchem buntu ludności Paryża, ale potężna warstwa społeczna, licząca setki tysięcy głów i reprezentująca w państwie wielką część narodowej pracy twórczej, a do niedawna będąca prawie jedynym całkowicie uświadomionym czynnikiem idei patriotycznej.

W taką to warstwę uderza teraz cios wywłaszczenia. Ale cios ten jest zarazem próbą jej żywotności i tężyzny. Teraz okaże się, czy nasza warstwa ziemiańska jest — jak twierdzą jej przeciwnicy — istotnie przeżytkiem, na którego miejsce inny ustrój należy wprowadzić, czy też integralną częścią składową organizmu narodowego, która jedną uchwałą lub pociągnięciem pióra zniszczyć się nie da i której siła żywotna i racja bytu w społeczeństwie stępią i złagodzą ostrza nowej reformy tak, że w praktyce usunięte z niej zostaną siłą rzeczy wszelkie cechy demagogiczne, czyniąc z jednej strony zadość słusznym

a nieuchronnym wymaganiom mnożących się szybko szerokich mas włościańskich, z drugiej jednak podnosząc technikę, wydajność i rentowność gospodarstwa rolnego i utrzymując w pełni autorytet sfery, reprezentującej wartość ekonomiczną i społeczną kilkunastu milionów hektarów zagospodarowanej ziemi.

Patrzmy na Niemcy. Inne tam są nieco warunki, ale kraj ten przeżył bądź co bądź po przegranej wojnie i załamaniu się tak dumy narodowej, jak autorytetu władzy, całkowity przewrót i krwawą, po części bolszewicką rewolucję. A jednak w takim nawet chaosie okazała się tamtejsza organizacja ziemian (Bund der Landwirte) tak silną i wpływową, że nie dała się strącić ze swego społecznego stanowiska i mimo wszelkich postępów demokratyzacji państwa, kroczy dalej na czele rolnictwa.

Co możliwem było tam, to możliwem jest i u nas i to tembardziej, że u nas nic się nie załamało, ale przeciwnie, wyszliśmy z burzy wojennej z tryumfem. Trzeba tylko przedewszystkiem silnej organizacji, koordynującej interesy ziemiańskie wszystkich prowincji, tak, jak to się dzieje już w coraz większym stopniu w innych sferach zawodowych. Organizacja objąć musi kwestję rolniczą, handlową, finansową i, nie na ostatku, także polityczną. Trzy podstawowe postulaty wybijają się na pierwszy plan w tej kampanji, którą podjąć trzeba w imię obrony cywilizacyjnego dorobku i materialnego postępu państwa:

1) Stworzenie silnej organizacji finansowej, będącej w stanie wesprzeć materialnie rozwój większej własności rolnej i realizację jej zamierzeń.

2) Przodownictwo na polu technicznego i handlowego postępu w gospodarstwie rolnem przez tworzenie przedsiębiorstw przemysłowych i handlowo-financeowych, celem jak najwydatniejszego wyzyskania produkcji i opanowania jej obrotu z możliwem wyeliminowaniem wszelkiego pasożytniczego pośrednictwa.

3) Wyzwolenie się z pod przynależności do różnych partii politycznych, między które ziemiaństwo nasze jest dzisiaj rozbite, a które naprawdę nic z niem wspólnego nie mają i szkodzą tylko jego interesom, a natomiast stworzenie jednolitego specjalnego stronnictwa w duchu wymagań czasu i istotnych potrzeb sfery ziemiańskiej.

Od zdecydowanej taktyki tej sfery, wolnej od próżnych obaw i skoordynowanej zgodnie a konsekwentnie według wskazań instynktu samozachowawczego i głębszego zrozumienia interesu państwa, zależeć będzie nietylko los jej własny, ale w znacznej mierze także i polityki i gospodarki narodowej, na którą zachowanie się licznej warstwy o wysokiej kulturze nie może pozostać bez wielkiego wpływu. Mimo różnych przeciwnych pozorów ma nasze ziemiaństwo zawsze jeszcze wielkie atuty w rękę, które należy tylko odpowiednio wykorzystać. Zapowiadany na pierwszą połowę września kongres rolniczy w Warszawie powinien położyć podwaliny nowej organizacji.

10 września 1925.

POSTULATY EKONOMICZNE WIĘKSZEGO GOSPODARSTWA ROLNEGO.

Fakt uchwalenia reformy rolnej nakłada na szerokie sfery naszego ziemiaństwa, bez względu na to, jakie w praktycznej realizacji czekają ją koleje, w każdym razie imperatywny obowiązek sprężystej organizacji zawodowej i ekonomicznej. Ta ostatnia zwłaszcza będzie w obecnych warunkach, jakie się w Polsce zbiegiem wielu okoliczności wytworzyły i wobec wybitnie materialistycznego piętna powojennego okresu wogóle, niewątpliwie rozstrzygającą dla dalszych losów średniej i wielkiej własności, a za nią i całego naszego rolnictwa, w którym eksploatacja większych obszarów ziemi odgrywa pod względem techniki gospodarczej, wewnętrznego zaopatrzenia kraju oraz eksportu dominującą rolę.

Zrozumienie tej konieczności zaczyna w kołach zainteresowanych coraz wyraźniej torować sobie drogę, a kongres ziemiański, zwołany na najbliższe dni do Warszawy, przyczyni się z pewnością do odpowiedniego zgłębienia i pchnięcia tej sprawy na pożądane tory. Dotychczas różne jej strony i szczegóły znajdują się dopiero w stadium wstępnej inicjatywy i projektów, albo nawet gdzieniegdzie już i faktów dokonanych, ale zbyt izolowanych i rozstrzelonych na różne okolice i prowincje.

Pomijając tu kwestje konsolidacji zawodowej czy politycznej, krystalizuje się kompleks czysto ekonomicznych zagadnień organizacji rolniczo-ziemiańskiej w następujących głównych postulatach, będących wyrazem nieuchronnych wymagań czasu i położenia.

1) Przetwórcze uszlachetnianie surowej produkcji gospodarstwa rolnego, t. j. takie przemysłowe jej wyzyskanie, aby — w myśl teoretycznego założenia — o ile możliwości żaden produkt roli czy hodowli nie wychodził z rąk producenta na rynek krajowy, a zwłaszcza zagraniczny, inaczej, jak w postaci wyżej wartościowych artykułów handlowych, nadających się bezpośrednio do konsumpcji. Postulat ten pokrywa się zresztą z podniesieniem już oddawna hasłem uprzemysłowienia rolnictwa, które co prawda znaczne już gdzieś zrobiło postępy, jest jednak zawsze jeszcze dalekiem od niezbędnego poziomu, a przede wszystkim zbyt jeszcze dorywcze, bezplanowe. Przyspieszenia i ułatwienia doznałyby ta akcja przez okręgowe zorganizowanie przemysłu rolniczego, tak mianowicie, aby współdziałaniem właścicieli gospodarstw w każdym danym okręgu powstawały (i pozostawały w ich rękach!) zakłady fabryczne dla możliwie najlepszego wyzyskania produkcji i bogactw naturalnych danej okolicy, od młynów do cegielni, a nawet — gdzie kultura i zaludnienie na to pozwoli — i elektrowni okręgowych. Powstałyby w ten sposób samowystarczalne w znacznym stopniu okręgi gospodarcze, reprezentujące najlepsze techniczne i handlowe wyzyskanie walorów poszczególnych obszarów.

Realizacja tego specjalnie programu, oczywiście stopniowa, leży dzisiaj bodaj że więcej w granicach możliwości, niż jakkolwiek inna prywatna akcja inwestycyjna w Polsce. Z jednej bowiem strony jest obecnie ziemiaństwo, ogółem biorąc, bez żadnej wątpliwości warstwą zawodową stosunkowo jeszcze najzamożniejszą ze wszystkich, z drugiej zaś zagranica, o ile ma daleko idące zastrzeżenia co do chwilowych warunków powodzenia naszego wielkiego przemysłu, o tyle wypowiedziała się już zgodnie a niedwuznacznie — zwłaszcza po ostatniej wizycie angielskich parlamentarzystów i przemysłowców w czerwcu r. b. — o pierwszorzędnym, podstawowym znaczeniu rolnictwa w naszym gospodarstwie krajowym i daje wyraźne dowody zainteresowania się u nas temi działami przemysłu, które są na produkcji rolnej oparte lub jej bezpośrednio pomocne. Z samej

tylko Anglii otrzymało już rolnictwo nasze i przemysł z niem związany kilkoletnie wielomiljonowe kredyty w funtach szterl. Ustala się też już powszechnie opinia, że przemysł i finanse nasze zależą przede wszystkim od stanu gospodarstwa rolnego i że zatem z niego tylko począć się może trwałe odrodzenie ekonomiczne, a więc i przemysłowe Polski.

2) Należyte handlowe i finansowe wyzyskanie produkcji rolnej przez odpowiednie zorganizowanie i opanowanie jej obrotu. Sprawa ta jest tak oczywista, że nie wymaga chyba zbytniej argumentacji. Nieopatrność tylko, zbytnia wygoda lub może też i pewne wrodzone lekceważenie zajęć handlowych sprawiły, że u nas najczęściej „ten, który sieje, nie zbiera“, ale lwia część zysku wydzierają mu inni. Życie zaś gospodarcze tak się zwykle układa, że rządzi w niem nie wytwórca, ale ten, kto dysponuje obrotem. Wyzwolenie więc producenta rolnego z pod zależności może nieraz wygodnego, ale jeszcze częściej całkiem niepotrzebnie na jego pracy zarabiającego pośrednictwa przez chwycenie w swe ręce zapomocą zręczniejszego i korzystniejszego niż dotąd finansowania produkcji i jej zbytu, jak niemniej przez wybitny udział w postępowych przedsięwzięciach przemysłowych i technicznych (elewatory i t. p.), mogących zbyt ten ułatwić i podnieść jego rentowność — oto kardynalny postulat nie tylko ekonomiki, ale już wyrost autorytetu i instynktu samozachowawczego sfery ziemiańskiej w Polsce.

3) W bezpośrednim związku z powyższem stoi kwestja normalizacji (standaryzacji) produkcji. Wiadomo, że najczęściej niepodobna zebrać u nas większej jednolitej partji jakiegokolwiek artykułu produkcji rolnej. Często każdy wagon, każdy niemal worek towaru jest inny. Taki stan rzeczy obniża niezmiernie wartość i utrudnia wogóle możliwość zbytu.

Zrozumienie tego podstawowego niedomagania objawia się już wysunięciem w pewnych sferach rolniczych projektu gatunkowego rejonowania produkcji. Gdyby pewne okolice mogły dostarczać np. pszenicę jednolitą, wyborowej marki w setkach wagonów, inne podobne ilości takiegoż żyta lub owocu i t. d., zależnie od miejscowych warunków, wówczas technika zbytu, zwłaszcza eksportu, byłaby znacznie ułatwiona i większy zysk do osiągnięcia.

4) Podstawą powodzenia wszelkiej gospodarczej akcji na szerszą skalę jest zawsze i wszędzie jej organizacja finansowa.

Otóż zasadniczą bolączką naszego rolnictwa, a zwłaszcza większego, doskonalszego gospodarstwa, jest stosunkowo zbyt jeszcze słaba finansowo-bankowa organizacja naszego ziemiaństwa. Bank Gospodarstwa Krajowego, aczkolwiek wielkie na tem polu w granicach swej możliwości kładzie zasługi, jest jednak instytucją rządową i zbyt ogólnogospodarczą, aby mógł odpowiadać w całej pełni wymaganiom ziemiańsko-rolniczym. Prywatne zaś instytucje finansowe o charakterze rolniczym są stosunkowo zbyt słabe na prawdziwie wydatne poparcie i podniesienie, w myśl powyższych postulatów, olbrzymiego aparatu gospodarczego, reprezentującego kilkanaście tysięcy majątków, wraz z potrzebną im organizacją przemysłowo-handlową. Zbyt często wreszcie uciekać się musi rolnik do banków i kapitałów, które, choć mu dorywczo pomogą, nie udzielają jednak chętnie i z odpowiednim zrozumieniem tej pomocy, bo nie są w inwestycjach czy kredytach rolnych wyspecjalizowane. To zaś jest właśnie kwestją pierwszorzędnej wagi. Wyżej udoskonalone gospodarstwo zagraniczne zróżniczkowało już dawno swe kapitały na przemysłowe, handlowe, rolnicze i t. d., dzieląc je nawet na dalsze podkategorie, wyspecjalizowane fachowo w finansowaniu poszczególnych gałęzi każdego z tych działów gospodarczych. U nas brak jeszcze takiej specjalizacji, każdy bank zajmuje się mniej więcej wszystkim, skąd powstaje znaczna trudność skupionego wyzyskania sił kapitalistycznych i niedość fachowe traktowanie przez banki poszczególnych spraw gospodarczych. To zaś utrudnia w dalszej konsekwencji poważny i skuteczny werbunek kapitału zagranicznego, którego pomoc jest nam narazie niezbędna.

Dlatego stworzenie dostatecznie silnego banku, czy przynajmniej spoistszego zespołu istniejących banków, specjalnie dla celów ziemiańsko-rolniczych i dążenie przez nie do specjalizacji w Polsce „kapitału rolniczego“, przy odpowiedniej obcej pomocy, jest również integralnym postulatem gospodarczego odrzdenia i utrwalenia wyższej gospodarki rolniczej w państwie. A sprawa to całkiem realna, skoro kapitał obcy wcale chętnie idzie w tym kierunku. Niedawno byliśmy świadkami udzielenia bardzo znacznej pożyczki na dogodnych warunkach przez grupę zagraniczną wprost pewnej grupie naszych ziemian, przy niewielkiej nawet interwencji pewnego banku krajowego.

DWÓR I CHATA.

W dniach, kiedy ziemiaństwowo polskie, zaatakowane sprawą przymusowego wywłaszczenia, podniosło się żywiołowym odruchem w zrozumieniu konieczności silniejszej organizacji i czynniejszego niż dotąd udziału w kształtowaniu losów państwa, warto już i należy wnieść na porządek dzienny sprawę o podstawowej doniosłości dla utorowania zgody społecznej w państwie, a tem samem utrwalenia spoistości narodu.

L Niewiadomo, czy wielu jest w Polsce ludzi, którzy zastanawiali się i zdają sobie sprawę z tego, czem się głównie tłumaczy obecny antagonizm między chatą a dworem, ta dziwna jakaś animozja, częstokroć nawet zawiść, jaka wytwarza w umysłach naszych mas włościańskich zasadniczy front przeciw większej własności ziemskiej.

L Nie tłumaczy jej u nas bynajmniej historyczna przeszłość pańszczyźniana, naogół łagodniejsza w Polsce, niż gdzieindziej i ugruntowana zresztą w naturalnym rozwoju dziejów dawnego ustroju stanowego na całym świecie. Nie tłumaczą jej również w sposób dostateczny motywy ekonomiczne, bo wpływ i przykład większej postępowej gospodarki, podnoszącej wydajność ziemi i hodowli, musi i małorolnym niezaprzeczone przynieść korzyści, mnożąc przytem ilość chleba w kraju w miarę wzrostu ludności. Nie tłumaczy jej dostatecznie nawet propaganda różnych elementów, które ze względów partyjno-politycznych roznoszą agitację socjalną, bo chłop polski lubi wprawdzie korzystać z przygodnych okazji, ale wogóle zbyt jest trzeźwy i posiada — podnieśmy to z naciskiem — pewne wrodzone poczucie sprawiedliwości, aby mógł wierzyć bezkrytycznie w rezultaty jakichkolwiek gwałtownych reform społecznych czy eksperymentów gospodarczych.

Właściwy powód leży gdzieindziej i nie zdaje sobie z niego dobrze sprawy dziesięciszkie pokolenie, które w wolnej Polsce ulega bezwiednie jego następstwom.

Rządy zaborcze, zagarnawszy ziemie polskie, zastały na nich w olbrzymiej większości dwa stany: szlachecki i włościański. Stan mieszczański miał (niestety) stosunkowo podrzędne znaczenie. Stan szlachecki był, mimo wszelkich jego wielkich wad i błędów, głównym elementem patriotycznego uświadamienia.

W zrozumieniu tego stanu rzeczy rozpoczęły rządy obce, każdy na swój sposób, planową a perfidną akcję wbijania klina niezgody między chatą a dwór, aby tem poróżnieniem dwóch głównych warstw społeczeństwa rozsadzić je, osłabić i tem łatwiej wynarodowić.

A było im z tem spieszo, skoro przecież inicjatywa postępowych reform socjalnych wychodziła zawsze z najwięcej narodowo uświadomionej warstwy szlachecko-ziemiańskiej, poczynając od Konstytucji 3-go maja, aż do usiłowań uwłaszczenia chłopów w Kongresówce w okresie powstania styczniowego.

Zastosowali więc zaborcy wszędzie taktykę najpierw stanowczego przekreślenia wszelkich samorzutnie przez Polaków zamierzonych czy wdrożonych ulg socjalnych na rzecz włościjaństwa i uciskając chłopą jeszcze bardziej, wmawiali w niego przez swych agentów, że ucisk ten pochodzi od szlachty, jakoby przeciwnej wszelkiej reformie; poczem dopiero występował obcy monarcha w roli opiekuna chłopą polskiego, uwalniając go łaskawie „z pod jarzma szlachty”.

Austrjacki komisarz powiatowy i mandatarjusz, rosyjski komisarz włościański i urzędnik pruski wszelkiej kategorii wzięli się do dzieła, nie przebierając w środkach, jak świadczy o tem rzeź galicyjska 46-go roku i liczne inne, choć mniej głośnie objawy i rezultaty tego systemu. Steroryzować szlachtę, zamknąć jej możność działania, uspić politycznie, a jednocześnie podszczuć przeciw niej chłopą, odebrać jej oparcie w ludzie i zmusić tym sposobem jednych i drugich do rzucenia się w objęcia rządu — oto program, realizowany z bezwzględną konsekwencją przez sto lat z górą, który nie osiągnął wprawdzie ostatecznego celu, ale podminował niestety aż nadto głęboko podstawy naszej harmonji społecznej.

Wyrwanie tego klina, białego ongiś z celową perfidją przez zaborców między dwa główne filary narodu, a i dziś jeszcze pogłębianego dorywczo przez różne czynniki, którym z innych względów zależy na naszej dysharmonji społecznej, powinno stać się płomiennem hasłem dla wszystkich uświadomionych, rozumnych obywateli państwa. Nie idźmy bezkrytycznie na lep systemu, który nam istotnie obca narzuciła przemoc, aby osłabić siłę żywotną polskiego społeczeństwa. Niechże ci wszyscy, którzy doniosłość sprawy należycie zdolni są ocenić, podniosą sztandar porozumienia między większą a mniejszą własnością rolną, tembardziej, że niemasz dziś między niemi

żadnego istotnego, ustrojowego przedziału, a jedynie tylko skala różnic obszaru i to tak zmienna i cieniowana, że niepodobna już dokładnie oznaczyć, gdzie kończy się mniejsza własność, a gdzie się większa zaczyna.

Łączy je natomiast wielki wspólny, podwójny interes: wzmożenia wydajności ziemi i wzmocnienia podstawy państwa, którego niepodległość i rozwój ekonomiczny są wielu, bardzo wielu nieprzyjaciołom solą w oku.

Zdajemy sobie sprawę, jak znaczne trudności napotkać może akcja w tym kierunku. Ale skoro tyle wysiłków łoży się na propagandy różnego rodzaju, o daleko mniejszem znaczeniu, tembardziej warto i należy nie szczędzić sił i zachodu na propagandę podstawowej zgody społecznej większości narodu, która, tkwiąc wytrwale i z przywiązaniem przy warsztacie na roli, zakreśla państwu naturalne granice i dostarcza mu chleba. Gdy to nastąpi, wówczas zrealizuje się także w szybkiej ewolucji stosunków „reforma rolna“, ale nie ta, którą sztucznie narzuca nam obce hasło walki klasowej, lecz taka, na której bez wstrząśnień i lud pracujący na roli i kraj cały skorzysta.

26 września 1925.

POLITYKA ZAGRANICZNA A SIŁA WEWNĘTRZNA PAŃSTWA.

Dotychczasowe pociągnięcia, rozgrywające się na arenie polityki międzynarodowej, składają się już na wyraźny obraz dobrze zorganizowanej akcji Niemiec wydobywania się z pod supremacji i kontroli mocarstw, narzuconej im przez traktat wersalski i uzyskania jak największej swobody, celem załatwienia w odpowiednim czasie różnych porachunków z sąsiadami i powrotu do dawnej, dominującej roli w Europie. Gra ta zarysowuje się coraz jaśniej, począwszy od traktatu w Rapallo, a kończąc na obecnej konfiguracji, jaką usiłują nadać Niemcy układom gwarancyjnym z Ententą, Polską i Czechosłowacją.

W całej tej sprawie, o pierwszorzędnej doniosłości dla przyszłych losów Europy, rola i wpływ Polski zyskują, dzięki rozumnej a fachowej polityce dyplomatycznej, niewątpliwie z dnia na dzień na znaczeniu. Obserwując bieg wypadków mo-

żemy stwierdzić z zadowoleniem, że Polska zeszła już na forum międzynarodowym z ławy oskarżonych, broniących się w pocie czoła przeciw ustawicznym atakom i zarzutom różnych państw i państwerek, a natomiast wznosi się do poziomu czynnika, z którym każdy w sprawach środkowo- lub wschodnio-europejskich poważnie liczyć się musi. Zyskaliśmy w każdym razie tyle, że lepiej tam już znają i oceniają wartość naszego państwa dla problemu uregulowania stosunków w Europie, że lada podstępny atak lub paszkwil w prasie zagranicznej, usiłujący wyzyskać dawną nieświadomość mocarstw zachodnich w sprawach polskich, nie robi już zamierzonego wrażenia i że nawet pewne postulaty naszego rządu w sprawach ogólnoeuropejskich znajdują już pewien posłuch i autorytet.

Utrzymanie i wzmocnienie tej roli zależy jednak od spełniania pewnych podstawowych warunków z naszej strony, bez których całą tę zdobycz łatwo możemy stracić. A zyskać ją na nowo będzie tem trudniej, im więcej postąpi naprzód normalizacja stosunków na kontynencie, równoległe z nieuniknionym wzrostem prestiżu Niemiec i Rosji, choćby tylko jako państw o największem zaludnieniu. Każda więc utrata jednej piędzi gruntu w aeropagu międzynarodowym byłaby obecnie szkodą niemal nie do powetowania. Aby więc rola Polski, spotęgowana chwilowo taktowną akcją dyplomatyczną, nie rozwiązała się kiedykolwiek we mgle, musi zyskać silne poparcie w pewnych realnych walorach, których wzmocnienie winno być pierwszą troską i staraniem rządu i społeczeństwa. Sprowadzić je można do trzech zasadniczych: sojusze zewnętrzne, wewnętrzny stan państwa i jego stan gospodarczy.

W pierwszej z tych spraw zrobiono już poważne początki. Pomijając liczne nasze traktaty handlowe (coprawda niedość dotąd jeszcze wyzyskane), łączy nas bliższy stosunek z Rumunią i z państwami bałtyckimi, jakoby zarys wspólnego frontu wschodniego, pociągający w konsekwencji perspektywę wpływów politycznych i handlowych na wybrzeżach morza Czarnego i Bałtyku. Równocześnie zbliżamy się coraz więcej do Małej Ententy, a zwłaszcza Czechosłowacji, z którą występujemy już wspólnie w pierwszych sprawach na forum Ligi Narodów. Wreszcie, objaw bardzo pomyślny i w przyszłe rezultaty może więcej brzemienno, niżby to dziś już dało się przewidzieć, nawiązane zostały pierwsze pertraktacje z Litwą Kowieńską.

Wstępne te rezultaty należy z całem możliwem staraniem pogłębić i utrwalić. Dokładne ustalenie roli Polski w kompleksie wymienionych państw mniejszych, przyciągnięcie ich do siebie i związanie w jeden silny zespół, oparty na wzajemnem zrozumieniu wspólności interesów politycznych, militarnych i gospodarczych — oto poważne i całkiem konkretne zadanie naszego rządu, podyktowane wprost koniecznością naszego geograficznego położenia. Wszystkie te państwa tworzą razem z Polską wielki trójkąt, oparty z jednej strony o Bałtyk, z drugiej o Adriatyk, z trzeciej o Morze Czarne. Naturalnym punktem centralnym tego trójkąta jest niewątpliwie Warszawa. To też powinna stać się nim pod każdym względem siłą rzeczy i przy pomocy odpowiedniej polityki dośrodkowej naszych czynników powołanych.

Co się tyczy następnie stanu wewnętrznego i gospodarczego Rzeczypospolitej, których rozwój i losy są właściwie nierozdzielne, to o ile z jednej strony przesadny pesymizm, wywoływany chwilowem ciężkiem położeniem, nie powinien zasłaniać nam słusznego sądu o dokonaniem dotąd dziele odbudowy państwa i łamać przez to pożądanego i poniekąd usprawiedliwionego poczucia własnej siły, zwłaszcza przy traktowaniu spraw zagranicznych, o tyle opinia publiczna zażądać powinna raz narazie potężnym głosem dokładnego wyjaśnienia sytuacji i ustalenia jakiegoś programu działania sfer ustawodawczych i rządzących.

W każdej bowiem polityce czy gospodarce, jakkolwiek obiorą one sobie kierunek, musi być przynajmniej pewna konsekwencja.

Tymczasem u nas, mimo wysoko nastrojonego patriotyzmu i przywiązania do kraju, które wzmogła jeszcze długoletnia niewola, główną przyczyną stosunkowej słabości państwa i jego wszelkich dotychczasowych niedomagań wewnętrznych, politycznych czy gospodarczych, jest właśnie brak zdecydowanego kierunku i konsekwencji.

Coprawda, uwzględniając warunki, w jakich nastąpiło wskrzeszenie niepodległości państwa, początkowy stan jego zniszczenia, następne zewnętrzne ataki i podziemne zakusy na jego całość i ład wewnętrzny, oraz paraliżujący brak odpowiednich środków na odbudowę gospodarczą, przyznać sobie możemy, że dokonało się wiele, bardzo wiele pod względem strategicznym, administracyjnym, ekonomicznym i społeczno-orga-

nizacyjnym. Zespolenie polityczne państwa, odparcie najazdu, stłumienie potężnej agitacji rewolucyjnej, stworzenie nowej administracji, reforma walutowa własną siłą i ten, mimo wszystko, niezłamany rozpęd ekonomiczny, który podnosi się żywiołowo, ilekroć tylko nastaje na rynku pewna ulga w panującym przesileniu — wszystko to są poważne, fundamentalne walory, na które i sami z dumą możemy spoglądać i wobec zagranicy przy każdej okazji rzucać na szalę.

Niestety jednak, cały ten naturalny, zdrowy rozmach tworczy rozbija się ciągle o niekonsekwencję polityki wewnętrznej, wywołującej wrażenie jakgdyby niepraworządności naszego państwa w oczach zagranicy i naszych własnych, wrażenie wprost przygnębiające żeglowania na los szczęścia, skąd tylko chwilowo wiatr powieje. Wszakże mamy równocześnie: odgrywać nazewnątrz rolę miarodajnego mocarstwa, asymilować czy zaspakajać mniejszości narodowe, utrwać polskość na kresach, wywłaszczać tam Polaków, przewyciężyć rujnujące przesilenie stosując radykalne koncepcje socjalne ostatniej doby, podnieść przemysł i finanse zadowalając każde demagogiczne hasło, wzmacniać produkcję przez jej rozdrobnienie i techniczne obniżenie, zmniejszyć ilość chleba i polepszyć przez to dobrobyt miejskich sfer robotniczych, wywłaszczać 20.000 ludzi po to, aby zadowolić w najlepszym razie 3 miliony, a zbuntować jeszcze bardziej kilkanaście milionów ludu wiejskiego i miejskiego, który musi odejść z kwitkiem, lub nawet straci zajęcie, zawierać konkordat z Kościołem i uprawiać radykalizm, naprawiać skarb oszczędnością z pustej kieszeni, 9-procentową miesięczną stopą w obrocie prywatnym i ujemnym bilansem, który wszystko pochłania, wzmacniać społeczeństwo przez ruinę jego przedsiębiorstw gospodarczych, sławić równocześnie wolność kraju i niewolę osobistą w coraz ciasniejszych więzach etatyzmu — przepraszam — ale to trochę za wiele na raz i na głowę chętnego do pracy obywatela!

A tak jest. Ten labirynt dorywczych, sprzecznych haseł i pościągnień, czasem dobrych, czasem złych, a zawsze niekonsekwentnych, któremi Polska żyje i oddycha, to na razie nasza polityka państwowa! Idziemy absolutnie na ślepo, chwytając przykłady z zachodu i wschodu, z południa i północy. Program i rzeczowy argument, to dwa wyrażenia, skreślone chwilowo z języka polskiego. Uznajemy tylko lokalny, jednostronny impuls chwili. Nikt nie wie, czego się trzymać i na co liczyć.

I dlatego jest źle. Nie wierzymy w zapewnienie poprawy położenia tak długo, dopóki ktoś w tym chosie polityczno-socjalno-gospodarczym nie wyrąbie śmiało jasnej i zdecydowanej drogi. Niepodobna równocześnie wznosić pomnik Chrobremu i sprzedawać innoplemieńcom odwiecznie polskiej ziemi na Kresach. Na coś trzeba się zdecydować!

6 października 1925.

WALKA O ODRODZENIE GOSPODARCZE.

W całym kraju, nawet w najpoważniejszych jego sferach, czuć wrzenie, które przebijać się zaczyna coraz głośniejsze w prasie, do niedawna pod wpływem poczucia obowiązku obywatelskiego bardzo powściągliwej. Pękać zaczyna skorupa skarbowo-gospodarcza, po której dotąd stąpaliśmy w dziwnym jakimś uśpieniu, a z pod skorupy tej ukazuje się co? czy płomień protestu? czy pustka? czy otrzeźwienie?

Jesteśmy przekonani, że i jedno i drugie i trzecie. Protest — bo zbuntować się musi w końcu i najlojalniejsza, najbardziej dyscyplinowana jednostka na widok tego, co się dzieje, wobec przeświadczenia, że wszystkie ofiary jej mienia i pracy idą absolutnie na marne, na chwilowe przedłużenie agonii gospodarczej. Pustka — bo wśród tysiącznych coraz nowszych projektów sanacji gospodarczej, które mają wydać niechybny rezultat „za miesiąc”, odpływają z kraju masowo złoto i waluty. Otrzeźwienie — bo i tłum nawet, ten z reguły bierny i podatny tłum, musi w końcu dojść do przeświadczenia, że coś się psuje w państwie... duńskim. Faktem jest, że ton dyskusji i prasy staje się coraz gorętszy.

Przytoczmy próbki, dwie z pośród tysięcy.

Na posiedzeniu Narady Gospodarczej padło z ust bardzo poważnych charakterystyczne oświadczenie, ilustrujące dosadnie jedną z podstawowych cech naszej oficjalnej psychiki gospodarczej:

„Dotąd w okresach dobrej konjunktury (a od siebie dodajemy: i złej!) starano się wszelkimi siłami nie dopuścić do tego, by kapitał wytwórczy zarobił i dlatego dziś, w okresie kry-

zysu, produkcja nie ma nagromadzonych z lat lepszych zasobów i dlatego kryzys objawia się tak ostro".

A w Tygodniku Handlowym z 2 b. m. woła poważny autor:

„Ludziom, którzy za pieniądze amerykańskie chcą odnawiać nasze gmachy publiczne, huknąć należy pięścią w stół i powiedzieć, że mamy tego dość, że sami posiadamy odpowiednie siły i bogactwa i te bez cudzej pomocy uruchomić należy. Zakaszmy rękawy i wysilmy mózgi”.

Dwie te próbki chwytają i piętnują doskonale kwintesencję ducha naszej gospodarki. Z jednej strony ultra-etatystyczną ideologię urzędową, że obywatel nie powinien zarabiać i nawet będąc w nędzy oddawać swój dochód (ba, nawet majątek!) państwu, które przez to ma się bogacić, jakgdyby było czemś oderwanem od ogółu obywateli. Z drugiej zaś apatyczną, małoduszną ideologię społeczeństwa, które straciło wiarę w siebie, wyznaje swą niemoc i wierzy tylko w obcą pomoc.

Ze wszech stron sypią się teraz gromy na ministra skarbu. Zapewne, że źle się dzieje. Rzucone raz hasło: Co słabe, niech ginie! — mści się teraz dotkliwie w swych konsekwencjach, bo teraz ginie i to, co rok temu jeszcze było mocnem, wielkie banki i pierwszorzędne fabryki i gospodarstwo rolne, duszące się w bezużytecznym nadmiarze produkcji. Mści się także hipertrofia fiskalizmu, traktującego każdy uczciwy, naturalny, niezbędny zarobek twórczy jako paskarstwo, które urzędowo należy hamować. Chciano u nas, zapewne pierwszy raz na świecie, zrealizować paradoks, że z próżnego można nalać.

Ale czy wina leży tylko po stronie rządowej polityki? Przyzwyczajono się u nas trzymać się tylko rządowego fartuszka, widzieć w każdym ministrze skarbu cudotwórcę i wzmacniać przez to jeszcze bardziej etatyzm, jakby go było jeszcze zamało! Powtarza się raz po razie identyczna scenarja: nowy minister skarbu witany bywa z przesadną wiarą w swą wszechmoc zbawczą, robi istotnie pierwsze dobre pociągnięcia, a potem rozpoczęte dzieło sanacji zapada się z łoskotem wśród złorzezeń całego społeczeństwa. Czyż tu tylko minister winien?

Stanowczo nie. Pamiętajmy zawsze, że pomijając wypadki dyktatury monarchicznej lub oligarchicznej, siłą narzuconej, rząd konstytucyjny każdego państwa jest naturalnym, logicznym wytworem, powiedzmy wprost „wydziałem” społeczeństwa i może działać tylko na podstawie podłoża, które go wyłoniło. Otóż jest faktem, któremu chyba nikt nie zaprzeczy, że

dzisiejsza Polska nie wyda na razie ani Colberta, ani Pitta, ani Bismarka, ani nawet Dunajewskiego. Możemy mieć niemniej jednak dobrych ministrów skarbu i dobrą gospodarkę, możemy w każdym razie uniknąć ustawicznych wstrząśnień i grzęźnięcia co rok prawie na mieliźnie z coraz to innej przyczyny, jeżeli się zbudzi energja i samopomoc społeczeństwa, jeżeli z jego łona, a zwłaszcza z jego warstw miarodajnych, wyjdzie ożywczy prąd racjonalnej myśli gospodarczej i zdrowego poczucia własnego interesu na nieco dłuższą metę. Wówczas gniotący nas etatyzm, konsekwentna narośl powojennej niezaradności skarbu, ograniczy się do swej właściwej funkcji regulatora gospodarki finansowej, a minister skarbu będzie jej kierownikiem tylko, schodząc ze swej dotychczasowej arcyნიemiłej roli proroka-cudotwórcy, która wobec generalnej bierności i bezkrytycyzmu społeczeństwa zmusza go ciągle do polityki hazardu i rozpacz. Jeżeli minister niema jasnego programu działania, to dlatego, że niemasz go i w społeczeństwie, które samo nie wie, co począć.

Skąd ma przyjść ten prąd ożywczy? Odpowiedź na to nietrudna, wybija się sama z dotychczasowej powodzi wszelakich projektów i conceptów, wszelakich sanacji i spekulacji i błagań o pomoc zagraniczną i rujnujących gospodarstwo krajowe krótkoterminowych, wysokoprocentowych obrotów, na które wszyscy narzekają, ale którym wszyscy hołdują, mimo, że one są jedynie tym zabójczym narkotykiem, który podminowuje nasze banki i produkcję i kredyt publiczny i wogóle możność jakiegokolwiek racjonalnej pracy. Wszak my już nic innego nie umiemy i nie uznajemy, jak tylko dwu- lub trzymiesięczny weksel z podwójnem żyrem, na kilka lub kilkanaście procent miesięcznie (w ostatnim czasie nawet już na kilkanaście procent dziennie w pewnych wypadkach)! To jest cała i jedyna kwintesencja naszej obecnej gospodarki finansowej, handlowej, przemysłowej i rolniczej, to cała filozofja „polityki gospodarczej” naszych banków! Cały kraj, jak długi i szeroki, zamienił się na jeden wielki kantor lichwiarski i nikomu nie pilno wyjść z tej lukratywnej roli. Ani jeden głos poważnego finansisty lub przemysłowca nie podniósł się dotąd w sposób zdecydowany przeciw temu największemu wrogowi produktywnej pracy w państwie, jakim jest krótkowzroczny, hańbiący zysk z wysokoprocentowych, krótkoterminowych pożyczek!

Wszelką zdrowszą myśl i inicjatywę gospodarczą zabija jeden argument kapitalisty: Nie dam na nic innego, bo przecież pożyczając gotówkę na dziesięć procent miesięcznie, mogę na tym więcej, niż na czym innym zarobić!

W takich warunkach dyskusja o sanacji jest wzajemnym rzucania sobie piasku w oczy, a atakowana zewsząd polityka ministra skarbu w istocie niczem innym, jak rozpaczliwym balansowaniem na trzęsawisku.

Z całego tego gospodarczego chaosu wyłania się jednak nareszcie coraz wyraźniej i potężniej wołanie za inicjatywą twórczą, równoznaczną z długoterminową lokatą pieniądza, z niekoniecznie najwyższym, ale za to produktywnym i nieskończenie szlachetniejszym zyskiem. Pojawia się ono coraz częściej na łamach prasy. Przebija z najnowszych projektów ustaw gospodarczych. Padło już nawet oficjalne oświadczenie przy niedawnej okazji: kredyt ma być udzielany tylko na inwestycje produktywne. Wierzyć się nie chce! Od niepamiętnych czasów nie słyszeliśmy nic podobnego. A więc jednak stara prawda powraca, po długim błędzeniu po manowcach, z dawną swą mocą! Zaczyna się nareszcie rozumieć, że odbudowa możliwa jest tylko przez rozbudowę, nie zaś przez trwożliwe, krótkowzroczne podtrzymywanie starych murów.

Wszakże przez szereg lat byliśmy świadkami, z jaką nietylko już niechęcią i niewiarą, ale wprost ironją traktowało się u nas każdą nową inicjatywę. W młodem państwie, gdzie tyle jeszcze brakuje, traktuje się jako utopię i fantazję każdy projekt nowego, pożytecznego warsztatu pracy, a sama inicjatywa spotyka się z miejsca z najbardziej nieprzyjazną, dyskredytującą kontrakcją ze wszystkich stron. Cała nasza ideologia gospodarcza, cała struktura i organizacja finansowa wysila się dotąd przeważnie tylko na ową taktykę „podpierania walących się murów”. Realnem jest w naszych oczach tylko to, co już istnieje, co ktoś przed nami stworzył, nierealnem zaś wszystko, co ma dopiero powstać. A przecież dzisiejsze granice i rynkowe warunki wskrzeszonej Polski sprawiły, że wiele z tego, co dawniej powstało, co jest, jest już właśnie nierealnem, choćby imponowało zewnętrznym wyglądem, a najrealniejszym dla gospodarstwa krajowego jest nieraz właśnie to, co dopiero ma powstać. I w tem *qui pro quo* leży tragiczna omyłka dotychczasowej myśli gospodarczej naszego społeczeństwa i jego kierujących sfer ekonomicznych. Wszyscy idą dotąd po linii

najmniejszego oporu, za perspektywą chwilowych wysokich zysków z obrotu, nie licząc się z tem, że taki zysk musi prędko wyczerpać i siły produktywne państwa i skarb i kapitał prywatny.

Dlatego też w obecnem, niewątpliwie bardzo poważnem położeniu dwie podstawowe prawdy wysuwają się same przez się z bolesnego siedmioletniego doświadczenia oficjalnej i prywatnej gospodarki: 1) skarb państwa musi uznać, że jego najżywotniejszy interes leży w rozwoju dobrobytu obywateli i do tej zasady dostosować ustawodawstwo i praktykę administracyjną, 2) społeczeństwo, a zwłaszcza jego instytucje gospodarcze, muszą uznać, że o bogactwie ich nie stanowi chwilowy, możliwe najwyższy zarobek na obrocie, albo ustawiczne przefinansowywanie starych wartości, ale w pierwszym rzędzie nowa twórcza inicjatywa, choćby nawet w pierwszej chwili nie przyniosła wielkich zysków. Wiemy, że w danych warunkach nie od razu da się wszystko odrobić i dokonać, ale już sam zwrot opinii i woli w tym kierunku zapoczątkuje naprawdę odrodzenie gospodarcze i umożliwi skuteczne działanie reform, obalając dotychczasowe przeszkody racjonalnej sanacji.

26 października 1925.

TRAKTAT W LOCARNO A POLITYKA EKSPANSJI.

O ile małoduszne, sensacyjne alarmowanie społeczeństwa przy każdej mniej dla nas pomyślnej zmianie koniunktury jest w najwyższym stopniu niepolitycznem i szkodliwem, gdyż podcina energję obrony lub sanacji, o tyle zdobycie jasnego poglądu na położenie jest obowiązkiem obywateli kraju, pod każdym względem tak esponowanego, jak Polska. Jest nim zwłaszcza w momentach krytycznych, gdy zarówno stan gospodarczy państwa, jak i chmury, grożące mu z poza granic nakazują rozwinięcie największej czujności w organizowaniu obrony. Dlatego też, nie wdając się w jałową krytykę przeszłości i uznając w całej pełni wszelkie wysiłki społeczeństwa i jego odpowiedzialnych kierowników, podjęte celem dźwignięcia nawy państwowej z mielizny gospodarczej i zapewnienia jej bezpieczeństwa i powagi na forum międzynarodowem, uważamy je-

dnak za pierwszy obowiązek spojrzeć w rzeczywistość na podstawie faktów.

Dzienniki niemieckie trąbią na tryumf i nie ulega kwestji, że mają powód do tego, jakkolwiek usiłowanoby go z innych stron zatuszować.

Entuzjazm i uczucie ulgi, jakie odezwały się w całej niemal prasie zachodniej na wiadomość o wyniku układów w Locarno, świadczą najlepiej o zmorze, która gniotła dotąd państwa Ententy. Dowodzą zarazem, jak dalece zależy im na tym powalonym przed siedmiu laty i obłożonym karnymi sankcjami nieprzyjaciela i z jakim utęsknieniem oczekiwały sposobności, aby go móc przyjąć jako sprzymierzeńca do swego grona i — co za tem idzie — zapomnieć stopniowo o różnych klauzulach odwetu, narzuconych przez traktat wersalski.

Spojrzymy tylko na to, co się w tej chwili dzieje na zachodzie.

Cieszy się pierwsza Anglja, która, pokonawszy najgroźniejszego swego konkurenta i cofnąwszy jego olbrzymią ekspansję gospodarczą o spory dystans wstecz, powstrzymała następnie wyraźną polityką opiekuńczą dalszy jego upadek i udzieliła mu swą kotrasygnaturą w Locarno gwarancji zarówno politycznego bezpieczeństwa i znacznych ulg w militarnych zobowiązaniach wersalskich, jak i gwarancji swobodnego gospodarczego odrodzenia, oczywiście dlatego, aby zachować sobie jeden z najważniejszych swych rynków zbytu, a zarazem trzymać w szachu i Francję i Rosję. Cieszy się zdala, naturalnie dyskretniej, Ameryka, napomykając już nawet o perspektywach obfitszych zasiłków finansowych dla pogodzonych z przeciwnikami Niemiec.

Dalej jeszcze, niż państwa anglosaskie, idą w entuzjaźmie Włochy, aczkolwiek stosunkowo mniej zainteresowane w tej sprawie. Dzienniki włoskie głoszą, jakgdyby z radością „koniec polityki wersalskiej” i twierdzą nawet, że brak jeszcze całkowitej równowagi między stronami traktatówemi, skoro przecież Niemcy są jeszcze rozbrojone!

Stanowisko Francji, chociaż nie tak jaskrawe, jest niemniej także wyraźne. Wytężywszy swe siły ponad miarę od r. 1914, znękana materialnie do najwyższego stopnia, nie ma także koniecznością utrzymywania dotąd 600-tysięcznej armji pod bronią, skorzystała Francja z chwilowego, więcej ugodowego usposobienia Niemiec, aby drogą szeregu doniosłych ustępstw,

równających się istotnie odwrotowi z Wersalu, osiągnąć nareszcie spokój i jakie takie bezpieczeństwo. Uczyni to przecież Amerykę skłonniejszą do regulacji długów, które ciążą kamieniem nad wyczerpaną Francją. Jak źle tam jest, świadczy o tem fakt, z pewnością od niepamiętnych czasów niebywały, że ostateczna emisja państwowej pożyczki konsolidacyjnej pokrytą została zaledwie w jednej piątej!

Potwierdziła wprawdzie Francja przymierze z Polską, ale to potwierdzenie jest raczej jego osłabieniem. Dotąd bowiem mieliśmy zapewnioną pomoc Francji bez zastrzeżeń, teraz krępują ją jeszcze pośrednie zastrzeżenia, wynikające z paktu reńskiego oraz fakt znamieny, że najnowsza umowa milczy zupełnie o zabezpieczeniu Polsce granic zachodnich, o co przecież najwięcej nam chodziło.

A Niemcy? Miejmy odwagę powiedzieć sobie, że ich taktyka organizacji i działania na dłuższą metę, wyszkolona wiekową dyscypliną, odniosła wielki sukces. Niepodobna istotnie, przy uznaniu całego wynikającego stąd dla nas na przyszłość niebezpieczeństwa, oprzeć się podziwowi nad tak zręczną, niezłomną, konsekwentną taktyką, która w ciągu lat siedmiu dźwignąć zdołała rozgromione państwo już do równego poziomu z całym zastępem zwycięzców i rokuje mu poważne szanse ujęcia stopniowo steru polityki na kontynencie.

Niemieckie dzienniki głoszą, że 16 października zmarła Ententa. I mają rację. Cały bowiem kompleks politycznych klauzul traktatu wersalskiego, narzuconego im jednostronnie, poddany został obecnie postępowaniu arbitrażowemu, na które Niemcy, jako możliwy niebawem członek Ligi Narodów, będą miały niezawodnie wielkie wpływy. Zrzuciwszy w ten sposób jarzmo sankcji polityczno-militarnych, zabiorą się teraz Niemcy niewątpliwie do wstrząśnięcia programu Dawesa, za czem już zresztą odzywają się w ich prasie niedwuznaczne głosy. Coraz częściej czytać tam można okolicznościową wzmiankę: „o ile plan Dawesa okaże się wogóle wykonalnym”.

Jakież ciążą w tej chwili na Niemcach zobowiązania? Po pierwsze, nienapadanie Francji i Belgji, co nie jest jednak żadnem istotnem ograniczeniem, bo w tamtą stronę ekspansja niemiecka z pewnością dążyć nie będzie; mają natomiast odwrotną gwarancję Anglii, że i im z tej strony nic nie grozi. Po wtóre, dług wojenny, ograniczony planem Dawesa z początko-

wych dwustukilkudziesięciu do obecnie już tylko kilkudziesięciu miliardów, z którego z wielkiem prawdopodobieństwem przed czy później w znacznej części się wykreca. Mają zaś na to znakomity środek w postaci problemu o winie za wybuch wojny, który za ich staraniem coraz większych doznaje wstrząszeń. Gdy runie ostatecznie, zanulowany powszechną chęcią zgody, przekreślenie długu wojennego będzie tylko logicznym następstwem.

Natomiast zyskują Niemcy z dniem każdym potężne atuty i występują już z polityką agresywną. Zyskali sympatję Anglii, Włoch i Ameryki, a i we Francji powodują przewrót w umysłach. Przystępując do Ligi Narodów, uzyskują swobodę każdorazowego samookreślenia obowiązku swego militarnego współdziałania w wypadkach, przewidzianych paktem Ligi. Wysuwają postulat zwrotu kolonji Kamerun i Togo, a postulat ten ma wielkie szanse powodzenia, bo równowaga gospodarcza Niemiec zbyt potrzebną jest Europie, która też nie dopuści, aby się ze swem gęstym zaludnieniem i potężnym rozmachem gospodarczym udusić miały w swych uszczuplonych dzisiaj granicach. A jakim tempem idzie ten rozmach gospodarczy, świadczą o tem wymownie cyfry wzrostu kapitałów, oszczędzonych w ciągu ostatnich dwóch lat. Depozyty bankowe, które w grudniu 1923 wynosiły około 2 miliardów mk., wzrosły już w kwietniu 1924 do 6 miliardów, a w sierpniu b. r. do 13 miliardów mk.

Dzienniki niemieckie idą dalej. Piszą, że sprawa granic wschodnich pozostała otwartą i że „o tem będzie można później jeszcze pomówić.“ Powołują się na art. 19 paktu Ligi, obiecujący Niemcom rewizję poszczególnych punktów traktatu wersalskiego, o ile okażą się niewykonalne. A można być pewnym, że dostarczą w tym kierunku wszelkich argumentów. Wreszcie wraca coraz uporczywiej problem korytarza pomorskiego, zyskując bez żadnej kwestji wdzięczny odgłos w prasie zachodu, a obok tego bije ciągle niemiecki taran w zaporę, oddzielającą go jeszcze od Austrii.

W rezultacie uzyskują Niemcy, wstępując do Ligi Narodów, same przywileje, a właściwie żadnych obowiązków, z czego korzystając, występują coraz śmielej z szeregiem postulatów, przywracających im stopniowo dawną dominującą rolę w Europie. Zbierają siły, kaptują sobie sympatje, aby ruszyć do ataku.

Polska staje wobec zmienionej nagle sytuacji. Uznać musimy, że traktaty w Locarno, gruntując do pewnego stopnia pokój

w Europie, spowodowały faktycznie izolację Polski, związanej z zachodem tylko przymierzem z Francją i to w praktycznem wykonaniu znacznie sparaliżowanem. Wiemy, że na razie niepodobna było więcej osiągnąć, ale nie możemy zamykać oczu na faktyczny stan rzeczy. Stoimy politycznie prawie opuszczeni, a gospodarczo zrujnowani, wobec bardzo groźnego niebezpieczeństwa szybkiego wzmacniania się i konsolidowania potężnych sąsiadów, a zwłaszcza zachodniego. Lada dzień odezwie się z niemieckiej strony kateryoryczne żądanie politycznego „porozumienia” z Polską, a wiemy, co to znaczy i wiemy również, ile wówczas na pomoc dawnych wersalskich sprzymierzeńców liczyć możemy. Trzeba się spieszyć, bo periculum in mora.

Zważmy dziwne zaiste zjawisko. Oto od chwili zawarcia pokoju wszystkie państwa kolejno coś uzyskiwały, coś zdołały wytargować. Polska ponosiła same tylko klęski terytorjalne. Czy to nie daje do myślenia?

A główny powód tych strat, to zbyt dosłowne i naiwne przejęcie się zasadą bezinteresowności zewnętrznej. Polska myśli polityczna zasklepiła się od wieków w niechęci do wszelkiej interwencji zagranicą i ekspansji, to też zbyt pohopnie przyklasnęła hasłu zwalczania „imperjalizmu”, używanemu dzisiaj powszechnie jako broń na słabszego przeciwnika, dla pokrycia własnych zamiarów zaborczych. Kogo się chce obrabować, temu wytrąca się najpierw broń z ręki zarzutem imperjalizmu. Dlatego też Polska boi się tego zarzutu jak ognia.

Niechże więc rząd nasz i z nim całe społeczeństwo przygotują się chociaż tym razem nareszcie do należytego odparcia niechybnego ataku, który inaczej znowu nieuniknione przyniesie straty. Trzeba koniecznie zdobyć się na radykalne środki sanacji gospodarczej i podporządkować im wszelkie naiwne „zdobycze postępu”. Inaczej powiedzą, że się nie umiemy rządzić i powiedzą słusznie. A na zewnątrz najlepszą, wypróbowaną metodą jest w takim położeniu wystąpienie z polityką pretenzji i ekspansji, oczywiście pokojowej, wysunięcie żądań, godzących w stan posiadania przeciwnika i poparcie ich silną propagandą. Jeżeli przez szereg lat po traktacie wersalskim sąsiedzi nasi tworzyli sobie z polskich pogranicznych terytoriów przedmioty targu przed ówczesnym areopagiem Ententy i rwali z nich istotnie całe kawały, to dlaczego nie mamy się i my

chwycić tego systemu dla sparaliżowania grożących nam ataków? Wystarczy spojrzeć dokoła, a zwłaszcza na wybrzeża Bałtyku. Tkwi tam od sześciuset lat dotkliwy cierni w naszem ciele i tam też nie zabraknie nam obiektu do ekspansywnej propagandy... Prawdą jest historycznie stwierdzoną, że jeśli my nie będziemy czegoś żądać od innych, to ci inni będą coraz więcej żądać od nas.

31 października 1925.

MOMENT PSYCHOLOGICZNY W SANACJI GOSPODARCZEJ.

Nietylko u nas, ale i w innych państwach, znacznie bogatszych, trwa przesilenie, mniej lub więcej ostre. W Niemczech, których stosunki ekonomiczne z oczywistych względów sąsiedzkich w najwyższym stopniu powinny nas obchodzić, rozpoczął rząd obecnie zaciętą walkę przeciw przemożnym kartelom przemysłowym, upatrując w ich polityce jedną z walnych przeskód obniżenia cen i w konsekwencji normalizacji życia gospodarczego. Cały szereg zarządów karteli pociągnięto do sądowej odpowiedzialności, biorąc nadto w obronę tych wszystkich, którzy się z pod dyktatury karteli chcą wyłamać.

A chodzi w tej kampanji nie o jakieś konkretne, bezpośrednie akty zachłanności handlowej tych zrzeszeń, o czem tylekroć przed wojną była mowa. Rząd zarzuca im raczej szkodliwe oddziaływanie na psychologię gospodarczą społeczeństwa pewnymi zwyczajami, które przedłużają atmosferę okresu inflacji, mimo dwuletniej już stabilizacji waluty. Oddziaływanie to polega na stosowaniu „klauzuli dolarowej” we fakturach, zabezpieczającej dostawę przed ewentualną dewaluacją marki, ale przez to właśnie podtrzymującej w społeczeństwie ciągle ideologję jej nietrwałości. To szkodzi niewątpliwie autorytetowi dobrze zabezpieczonej waluty państwowej i utrudnia zarazem rządowi akcję w kierunku zniżki cen, gdyż za przykładem wielkich trustów idą i drobni przedsiębiorcy, nawet rzemieślnicy, wzbraniając się oznaczać zgóry ceny na zamówioną robotę lub stosując w swym cenniku „skalę ślizgającą”, będącą również wynikiem nieufności do stałości kursu waluty. W dal-

szej konsekwencji rozpowszechnia się w społeczeństwie system robienia zapasów w produktach spożywczych i innych, jakdyby groziła lada dzień inflacja lub nadmierny wzrost cen.

Tak więc rząd niemiecki ocenił trafnie doniosłe znaczenie momentu psychologicznego w zjawiskach ekonomicznych, kierowanych przez niego na zasadach psychiki tłumu, nieraz wbrew wszelkim uznanym prawom gospodarczym. I dlatego wydał wojnę kartelom.

U nas niestety nikt się dotąd z tym ważnym momentem nie liczy. Rządowa akcja sanacji walutowej i gospodarczej, a w znacznej mierze i tendencje prywatnych sfer gospodarczych, całkiem go lekceważą. Traktuje się różne zagadnienia gospodarstwa krajowego według książkowych recept, teoretycznie może słusznych, ale nie uwzględniających podstawowej okoliczności, że człowiek nie jest maszyną, ale istotą wrażliwą, podlegającą wpływom psychicznym i niezawsze przystępną dla ściśle rzeczowego argumentu. Jaskrawym tego dowodem są różne fluktuacje giełdowe, bezwzględnie nieraz przeciwne faktycznemu stanowi przedsiębiorstw, których walory są przedmiotem zwwyżki lub zniżki, a wywoływane li tylko chwilowym stanem psychicznym publiki.

Trzy takie zasadnicze błędy psychologiczne wyróżniają się w dotychczasowej naszej derucie gospodarczej.

Pierwszym było zbyt wysokie oznaczenie nowej jednostki walutowej. Złoty polski o wartości nominalnej np. 25 centymów wpłynąłby był całkiem inaczej na losy dalszej akcji sanacyjnej, niż stosunkowo ogromna jednostka, równa całemu frankowi i pochłaniająca przy wymianie 1,800.000 marek. Rezultatem, wzmożonym jeszcze dawną reminiscencją 15-kopiejkowej złotówki, był nagły wzrost cen, za tem żądań zarobkowych, za tem kosztów produkcji, niemożność konkurowania z zagranicą, wreszcie olbrzymi bilans ujemny i przymusowy odpływ zapasu walut zagranicę.

Drugim było lekceważenie momentu zaufania obywateli do gospodarki rządowej przez zaniedbanie odpowiedniej waloryzacji pożyczek wewnętrznych, co niedawno dopiero zostało sprawiedliwiej uwzględnione, oraz przez niedopuszczalny system waloryzacji hipoteki. Wywołało to wrażenie niepraworządności gospodarczej i w dalszych następstwach przyczyniło się niemało i do deprecjacji pieniądza i do odstręczenia od nas zagranicy.

Trzecim wreszcie błędem tego typu, spadającym już na karb prywatnych sfer gospodarczych, była formalna wojna, wydana nowej twórczej inicjatywie, przeciw której wysilono, świadomie i podświadomie, wszelki oręż zaściankowej argumentacji, niechęci, ironji i prawdziwej manji prześladowczej konkurencyjnej. Obracając się w błędnym kole najpierw spekulacyjnego przefinansowywania starych przedsiębiorstw w okresie inflacji i szału giełdowego, potem w jeszcze błędniejszym kręgu lichwiarskich, krótkoterminowych weskwowych pożyczek (które dochodzą teraz np. w Łodzi już do 15 proc. dziennie!), zabito i zdyskredytowano rozpęd twórczy, zadając tem daleko dotkliwszy cios całemu życiu gospodarczemu pod względem materialnym i moralnym, niż to jest w stanie zrozumieć przeciętny człowiek interesu, myślący tylko o jutrze, a obojętny na to, co będzie za tydzień.

Dlatego, pomijając oczywistą i piekącą konieczność różnych konkretnych reform, dotyczących poszczególnych działów gospodarki oficjalnej i prywatnej, stwierdzić należy na podstawie całego doświadczenia ostatnich siedmiu lat, że kardynalnym warunkiem wszelkiej skutecznej sanacji musi być przede wszystkim gruntowna reforma naszej ideologii gospodarczej, powrót do racjonalnych zasad ekonomicznych, które dopiero umożliwią skuteczną realizację jakichkolwiek usiłowań zaradczych.

2 listopada 1925.

ZŁUDZENIA OBCEJ POMOCY FINANSOWEJ.

Na stole połączonych komisji skarbowej i budżetowej leżą przedłożenia rządowe w sprawie sanacji gospodarczej. Miarą ducha czasu i położenia jest okoliczność, że sejm nasz bał się poprostu zabrać do rozpatrywania tych projektów przed zamknięciem konferencji w Locarno, uważając widocznie sytuację gospodarczą państwa za tak fatalną, a wszelkie proponowane środki zaradcze za tak wątpliwe, iż każde słowo dyskusji mogłoby osłabić wagę naszych postulatów na forum międzynaro-

dowem. Czy właśnie takie wielce wymowne odłożenie sprawy i wzbudzenie przez to w kraju i zagranicą tajemnego dreszczu przed tem, co ma nastąpić, nie pogorszyło jeszcze sytuacji, to rzecz inna.

W każdym razie zawiedli się i ci, którzy oczekiwali jakiegoś groźnego wybuchu, jaki vox populi zdawał się zapowiadać i ci, którzy spodziewali się przecież jakiejs jutrzenki, zwiastującej poprawę stosunków. Ci ostatni zawiedli się tembardziej, że zapowiadane równocześnie rezultaty rokowań o pożyczki z czterema różnemi grupami zagranicznemi okazały się (przynajmniej na razie) złudne, a nawet jeden z dawniejszych naszych wierzycieli, włoski, podniósł protest przeciw obciążaniu nową pożyczką monopolu tytoniowego, dopóki jego należność, monopolem tym zabezpieczona, nie zostanie wyrównana. A tymczasem periodyczne bilanse banku emisyjnego wykazują za każdym razem coraz to większy zanik obiegu banknotów, obecnie już prawie do 60 procent cyfry z przed sześciu miesięcy, a na ich miejsce wciska się bilon i skarbowy pieniądz pomocniczy. Jeżeli ten bieg rzeczy nie zostanie czemś skutecznie zahamowany, to nietrudno obliczyć, że za dalsze sześć miesięcy staniemy u kresu naszej gospodarki, albo też będziemy zmuszeni siłą faktów rzucić się w odmęt inflacji.

W takim położeniu warto bezstronnie się zastanowić, czy i o ile usiłowania reform gospodarczych, idące po linii dotychczasowego systemu myślenia i rządzenia, mają szanse powodzenia? Optymizm jest wprawdzie warunkiem powodzenia każdego przedsięwzięcia, ale zdaje się, że nam go już wszystkim brakuje zaczyna, nawet tym, którzy dotąd najwięcej kopii o niego kruszyli. Jakież są naprawdę widoki sanacji?

Przedewszystkiem wystarczy posłuchać głosów zagranicą. Brzmia one coraz zgodniejszym chórem, że bez wydatniejszej pomocy Ameryki nie może być mowy o normalizacji stosunków gospodarczych w Europie. Wojna osłabiła Europę tak dalece, przenosząc kapitał twórczy w znacznej części na drugą stronę Atlantyku, że bez przywrócenia pewnej w tym względzie równowagi myśleć nie można o trwałem polepszeniu warunków produkcji i zbytu państw europejskich. Siła nabywcza tych państw jest tak osłabiona, że z niewielu wyjątkami przymierają one gospodarczo, mimo wszystkich bogactw przyrodzonych, mimo nadprodukcji węgla i zboża i fabrykatów wszelkiego rodzaju.

które leżą w ogromnych magazynach, niedostępne dla ogółu. Europa przechodzi w tej chwili prawdziwe męki Tantala, nie mogąc należycie wykorzystać własnych owoców pracy, Ameryka zaś, nie ufając trwałości jej stosunków politycznych, nie tylko niezbyt spieszy się z pomocą, ale dyskretnym, niemniej jednak bardzo znaczącym naciskiem wierzycielskim pogarsza jeszcze położenie.

Ten stan rynków kontynentalnych, wszędzie ogromnie skurczonych, a różniących się tylko pewnem stopniowaniem ciasnoty, powinien znacznie ochłodzić nasze nadzieje, wyrażane nawet w sejmie, na możliwość uzyskania „większej pożyczki na miejsce dotychczasowych drobnych, parszywych (sic!) długów”. Niewiadomo, czy które z państw europejskich byłoby nam w stanie większą sumę z własnych funduszków pożyczyć, a tem mniej z zamaskowanych kapitałów amerykańskich, które każdy woli oczywiście zatrzymać u siebie. Nie należy bowiem liczyć na to, że gdzieś tam znacznie lepiej jest finansowo, niż w Polsce. Jest może nieco lepiej, jest niezawodnie więcej wyrobiony system gospodarczy, wykształcony nieprzerwanym rozwojem, wskutek czego ogół odczuwa mniej dotkliwie ciosy konjunktur. Ale groza anemji finansowej zawisła nad całą Europą, czego dowodem choćby obecne projekty stworzenia międzynarodowego banku z udziałem amerykańskim i dlatego od niej jakiejś wydatniejszej pomocy trudno się spodziewać. A nam potrzeba przecież, aby na serjo z miejsca ruszyć, conajmniej miljarda franków w złocie. Tych nie da nam nikt, a już najmniej w warunkach, branych dotychczas za podstawę polityki przez nasze czynniki rządzące i ustawodawcze. Szkoda się łudzić.

Ale, pomijając tę trudność, czy istnieją w Polsce wogóle warunki, które moglibyśmy wobec zbiedzonej lub nieufnej zagranicy wysunąć na przynętę dla obcych kapitałów? Tak bowiem, starając się o pożyczkę czy kredyt, trzeba oczywiście postawić pytanie. Inne sformułowanie byłoby znowu złudzeniem.

Nie chcemy brać na siebie odpowiedzialności dania na to pytanie szczegółowej odpowiedzi. Niech ją dadzą ci, którzy mają odpowiedni wpływ na kształtowanie się stosunków krajowych, którzy dzierżą ster opinii publicznej. Niech ją sobie sformułuje każdy czytelnik. Jedno tylko jest pewnem, że każdy wierzyiciel opiera swe zaufanie na perspektywach rentowności i zwrotu

udzielanej pożyczki i to na podstawie albo pewnych dowodów wypłacalności dłużnika, albo też wiary w jego osobistą tężyznę gospodarczą. Co do pierwszego, to stan naszej gospodarki i jej dotychczasowe dzieje i chwilowe widoki nie mogą być oczywiście dla nikogo zachętą. Ale to może się zmienić. Gorzej natomiast przedstawia się drugi postulat, gdyż niepodobna dziś już przeczyć, że polska myśl polityczna usposobiona jest wybitnie antygospodarczo.

Jakto? Wszak od siedmiu lat całe społeczeństwo i wszystkie jego rządy o niczem innem nie mówią, jak o sprawach skarbowych i gospodarczych! Nigdy interes i propaganda ekonomiczna nie były silniejsze na ziemiach polskich, jak w tym krótkim jeszcze okresie wskrzeszonej niepodległości!

Niestety, to tylko pozory, wywołane przemijającym, bezkrytycznym porywem spekulacji inflacyjnej. Poza to, zarówno polityka władz i ciał ustawodawczych, jak psychika całego społeczeństwa stoją w diametralnej sprzeczności z temi fundamentalnymi zasadami, które stanowią podstawę każdego dobrego gospodarstwa. Wszakże my nie jesteśmy w stanie, nawet w momentach krytycznych, poświęcić dla sanacji gospodarczej ani rąbka naszych utartych formuł politycznych lub socjalnych. Gdzieindziej fale polityki i socjalnego postępu nie wylewają się, mimo całej ich gwałtowności, poza pewien obręb dobrze zrozumianego materialnego interesu państwa i społeczeństwa. Wszelkie różnice poglądów spotykają się i mniejwięcej wyrównują na platformie businessu.

Inaczej w Polsce. Impulsywność polityczna zrywa wszelkie szranki rzeczowego argumentu i logiki ekonomicznej. Hasła znaczą bez porównania więcej, niż rezultaty. Walka partyjna i klasowa, podjęta „dla zasady“, nie liczy się wcale ze swym materialnym wynikiem dla warstw, w których obronie teoretycznie występuje. Nie zdając sobie z tego sprawy, zbliżamy się na tym punkcie do ideologii naszych wschodnich sąsiadów, mimo zajętego przeciw nim zresztą tak zdecydowanego frontu. I to właśnie urabia nam zagranicą opinię państwa „wschodniego“ i budzi nieufność. Urobiona tendencja sfer rządzących zwalcza wzrost dobrobytu jednostek i przedsiębiorstw w dziwnem założeniu, jakoby on miał być sprzecznym z interesem ogólnym - państwowym. Etytyzm stał się alfą i omegą naszego życia narodowego, chociaż liberalne hasła z początkiem r. 1919 głosiły krucjatę przeciw wszelkiej biurokracji. Prywatne zaś

sfery gospodarcze wszystkich zawodów hołdują systemowi wybitnej dezagregacji, zwalczając faktycznie (choć może nie formalnie) wszelką inicjatywę, jakoby szkodliwą dla wąsko pojętych, dorywczych interesów istniejących ugrupowań i przedsiębiorstw. Uznane i wypróbowane gdzieindziej zasady koncentracji sił i kapitałów, wspólności czy równoległości interesów, podziału pól działania oraz dublowania rentowności i rezultatów drogą porozumienia, u nas nie istnieją, ustępując miejsca suwerennemu, w manę przechodzącemu strachowi przed „konkurencją”, o której w naszych warunkach ekstensywnej gospodarki jeszcze na serjo mowy być nie może.

Czyż to jest gospodarczy sposób myślenia? Chyba nie — i to też jest powodem, że w momentach krytycznych społeczeństwo staje bezradne, nie znajdując innego wyjścia ze sytuacji, jak bezwolne oglądanie się na rząd, na którego barki składa całą inicjatywę sanacyjną i któremu w razie niepowodzenia chce wytać procesy. W żadnym innym państwie nie mówią tyle o ministrze skarbu, co w Polsce, a za to więcej o intensywnych wysiłkach i inicjatywie prywatnych sfer finansowych i gospodarczych.

Reasumując stwierdzamy — i to nie na podstawie jakichś teoretycznych założeń, ale codziennego doświadczenia, które każdemu już chyba aż nazbyt dotkliwie się narzuca — że nasza obecna katastrofa gospodarcza jest w istocie swej chorobą nie tyle pieniądza i kredytu, ile przede wszystkim psychiki ekonomicznej społeczeństwa. I dlatego, jakkolwiek wielce pożądaną jest nareszcie jakaś konsolidacja i racjonalizacja programu gospodarczego od góry, to jednak właściwe uzdrowienie stosunków musi wyjść i z dołu, z banków, poważnych przedsiębiorstw i z przewartościowania zapatrywań sfer gospodarczych na istotną wartość interesów i zamierzeń, inicjatywy twórczej, zużytkowania kapitału, kredytu inwestycyjnego, koncentracji sił, systemu zysków handlowych i odpowiedniej organizacji. To wszystko jest dotąd naprawdę wywrócone do góry nogami i dopóki nie wróci do równowagi, nie pomoże nam żadna reforma ani pożyczka, tonąc daremnie w morzu krótkoterminowej, spekulacyjnej, nieprodukcyjnej gospodarki.

Dobry gospodarz poradzi sobie i z lichym pieniądzem i bilansem, zły popsuje najlepszy bilans i walutę. I na to mu najwydatniejsza pomoc rządowa i zagraniczna nie pomoże.

WALKA ŚWIATŁA Z CIEMNOŚCIĄ.

Szeroki ogół czeka na los ustaw sanacyjnych, a zwłaszcza na ich rezultat. A kto głębiej wnika w stan rzeczy i umie z pewnych walnych wskaźników odpowiednie wysnuć konsekwencje, ten pozostawać musi pod wrażeniem niedawnego oświadczenia przewodniczącego komisji budżetowej, który stwierdził i ogłosił oficjalnie, że podkład banku emisyjnego wynosi w tej chwili nie więcej, jak około 100 milionów zł. w złocie i w obcych walutach. Wiemy zaś, że rok temu podkład ten osiągał około 360 milionów, czyli trzy i pół razy tyle.

Sapienti sat! Wszelka dalsza argumentacja zbyteczna. Historia tegorocznej gospodarki finansowej i jej stan obecny są temi dwoma cyframi dostatecznie scharakteryzowane. Dla bardzo ciekawych możemy conajwięcej jeden jeszcze szczegół przytoczyć: że w wymienionej zeszłorocznej cyfrze mieściło się walut obcych za ćwierć miljarda zł., gdy obecny ich zapas spadł do 9 milionów, czyli do trzech i pół procent. Największym zaś pedantom możemy wreszcie przypomnieć, że obieg banknotów zmalał w ciągu tego roku do sześćdziesięciu procent.

Tych kilka cyfr należy wbić w pamięć każdemu, kto prawi o sanacji gospodarczej i wypisać czerwonymi głoskami nad stolami tych wszystkich konferencji, gdzie przedstawiciele finansów, przemysłu, handlu i rolnictwa domagają się ciągle wielkim głosem kredytów od rządu lub banku emisyjnego. Wobec tych cyfr podziwiać należy cierpliwość tych przedstawicieli w niezachwianem powtarzaniu tego postulatu i rządu, który tego słucha i prasy, która to notuje.

Wobec tych cyfr, w których rozpiętości mieści się cała niedola gospodarstwa krajowego, a których spadek daje miarę grożącego niebezpieczeństwa, błędnie wiara w skuteczność projektowanych czy nawet stosowanych już dotąd środków sanacji: ratunkowej redukcji podatków, prohibicji importu, obcinania budżetu, oszczędności w życiu publicznym i prywatnym, kreacji różnych rad, komisji i instytucji dla rozwoju lub kontroli gospodarstwa, zaciągania pożyczek zewnętrznych i t. d. Bo wszystko to już było i na nic się nie zdało. Spadała waluta jakościowo w okresie inflacji, spada teraz ilościowo w okresie stabilizacji i żadne środki i metody nie są w stanie od lat siedmiu uwolnić kraju z pod jarzma miazdzącego kryzysu. Tak in-

flacja, jak i stabilizacja zniszczyły kapitał i uniemożliwiły wszelką skuteczną pracę. Zdaje się więc, że tkwi w tem wszystkim jakaś głębsza wada, że jakaś cięższa, organiczna choroba toczy gospodarkę państwową, wytrąca kolejno broń z ręki wszystkim jej kierownikom i podcina wszelkie wysiłki sanacji. A choroba ta leży najoczywiściej w wielkim, podstawowym paradoksie, na jakim opiera się od początku polska polityka gospodarcza.

Znaną jest z mitologii wschodniej walka światła z ciemnością, Ormuzda z Arymanem. Walka ta przeniosła się do wskrzeszonej Polski w całym i praktycznym tego słowa znaczeniu.

Mamy więc po stronie jasnej, świetlanej, wszystkie dodatnie wysiłki społeczeństwa i poszczególnych mężów stanu, zmierzające do utrwalenia bytu państwa i sanacji stosunków politycznych i gospodarczych, wprowadzenia ładu, praworządności i pozytywnej pracy. Skupiają się tu i reformy skarbowe rządu i ofiarność społeczeństwa i ciężary i straty, bez szemrania przez nie znoszone i rozpoczęta w tysiącnych nowych przedsiębiorstwach twórcza praca i niezliczone związki, zrzeszenia i instytucje do doskonalenia organizacji gospodarczej i podniesienia produkcji i obrotu i wreszcie te wszystkie usiłowania rządowe i prywatne, mające na celu wzmożenie zagranicznego autorytetu państwa i pozyskania mu tem kapitału i stosunków handlowych. Stwierdzić należy, że w całym tym zakresie praca Polski nie jest mniejszą, niż jakiegokolwiek innego państwa, a z pewnością intensywniejszą, niż w wielu. Można nawet iść dalej i stwierdzić, że zrobiliśmy stosunkowo więcej od innych i to w warunkach najtrudniejszych. Między trzema dzielnicami w listopadzie 1919, zniszczonemi wojną i okupacją, niemal obcemi sobie, a dzisiejszem państwem w listopadzie 1925 leży olbrzymi rozmiar pracy i rezultatu.

Po drugiej stronie, ciemnej, piętrzy się jednak szereg faktów, godzących z upartą, a bezkrytyczną zaciekłością w ten gmach narodowej pracy, który przyświecał niegdyś wymarzoną ideą bojownikom o wolność w lochach Sybiru i w który jeszcze dzieś lat temu nikt na serjo nie mógł wierzyć.

Oto fakt pierwszy: Rząd Moraczewskiego rozbudza jednym pociągnięciem pióra nadmierne pretensje zarobkowe mas robotniczych w pierwszej chwili odzyskanej niepodległości, w chwili ekonomicznie najcięższej, gdy nieorganizowana jeszcze, spalona i zburzona Polska nie miała żadnych realnych podstaw, aby temu ukazowi zadość uczynić. Stąd wyszedł pierwszy

impuls do nadmiernej drożyzny, inflacji i nieodpowiedzialnej gospodarki, pierwszy zabójczy cios, wymierzony w rozwój gospodarstwa krajowego.

Drugi, równoczesny, wyszedł z „rewolucyjnego” założenia czynników, które wówczas dorwały się władzy, w formie generalnej proskrypcji i usunięcia od współdziałania niemal wszystkich poważnych, doświadczonych obywateli, którzy pod rządem zaborczym pracowali dla Polski i nabyli duży zapas fachowej wiedzy i rutyny rządzenia. Zapełniono odpowiedzialne stanowiska w kraju i zagranicą w bardzo znacznej części młodzieżą, dyletantyzmem i niedoświadczeniem, niekiedy czemś gorszym jeszcze, każąc krajowi ponosić kosztą tego równie patriotycznego, jak postępowego eksperymentu. System ten, idąc z góry, opanował w znacznym stopniu i prywatne życie gospodarcze, gdzie przy obsadzaniu nawet wybitniejszych stanowisk rozstrzygają zbyt często wszelkie inne względy, tylko nie fachowa i moralna kwalifikacja. Rodzonemi dziećmi tego systemu są dzisiaj z jednej strony wybujała ponad wszelką miarę biurokracja, z drugiej niedołęstwo i korupcja, która już tak oplotła społeczeństwo, że nie wiedzieć, gdzie się zaczyna i gdzie kończy. Jesteśmy z dnia na dzień świadkami, jak ludzie, wyniesieni na świecznik i otoczeni nimbem autorytetu, zapadają się nagle z krachem, wśród niezaszczytnych odkryć i okoliczności.

Trzeci cios wyszedł z łona ideologii i legisyłatywy socjalnej. Kiedy w wysoce cywilizowanych republikach zachodu rozwój idzie w kierunku arystokratyzacji pracy i robotnika, w Polsce postawiono na piedestale „zdobyczy ludowych” proletaryzację i pauperyzację całego społeczeństwa i wydano zaciętą wojnę wydajności pracy. Nigdzie na świecie, poza Polską, nie padają z trybuny parlamentarnej słowa o wyższości pracy ręcznej nad umysłową, nigdzie też rząd nie karze tych, którzy dobrowolnie garną się do intensywniej pracy. Nigdzie gdzieindziej nie ośmielonoby się twierdzić, że im prymitywniejszą będzie gospodarka w kraju i im mniej będą się ludzie trudzić, tem kraj będzie bogatszy, tem bardziej dobrobyt szerokich warstw zapewniony.

Ukoronowaniem tego dzieła jest ustawa o przymusowym wyłączeniu roli, przychodząca znowu w najniewłaściwszej chwili ostrego przesilenia, kiedy całe życie gospodarcze kładzie się pokotem, a skarb państwa jest na wyschnięciu. Rozbudzono apetyty włościństwa, jak poprzednio apetyty robotni-

ków i wystawiono mu weksle, które tylko niewiadomo, jak przyjdzie spłacić.

Czy jest możliwem, aby w takich warunkach, bijących w twarz logikę gospodarczą, jakiegokolwiek reformy wydały pożądaný rezultat?

Tragedja wszystkich naszych dotychczasowych zmagani gospodarczych leży w tem, że chce się równocześnie dwie pieczenie upiec przy jednym ogniu, zapalić świeczkę równocześnie Bogu i diabłu. Chce się stworzyć gospodarstwo radykalizmem, podobnie, jak dwieście lat temu chciano nierządem rządzić krajem. Upadek gospodarczy ma się powstrzymać za pomocą gwałtownych reform socjalnych, jak sto lat temu chciano powstrzymać upadek polityczny „kurzem krwi bratniej”. A to jest paradoks. Losy spraw polskich dostały się w ręce sfer i ludzi, którzy nie są w stanie im podołać. Brak im szkoły i rutyny, wyrobienia politycznego i doświadczenia, które tylko dłuższa daje tradycja. Czują dobrze, że wpadli w odmet beznadziejny, w labirynt gospodarczego i socjalnego paradoksu, że wszystko dokoła nich chwiać się i trzeszczeć zaczyna. I ratując swą sytuację, brną dalej w beznadziejnym kierunku, burząc dzisiaj mimowoli to, co wczoraj zdołali zbudować. A z każdym dniem podnosi się w sumieniu opinii publicznej coraz groźniej pytanie: kto i jak będzie w stanie naprawić skutki siedmioletnich zgubnych eksperymentów?

My zaś zadajemy sobie drugie: Czy i kiedy moc światłości zwycięży? Czy naród polski przejrzy nareszcie, że fałszywą poszedł drogą, stawiając na głowie, pod wpływem niedoświadczonej lub niesumiennej dyrektywy, oczywiste założenia i warunki, na których byt i rozwój państwa oprzeć się musi?

12 listopada 1925.

BANK POLSKI WOBEC SYTUACJI GOSPODARCZEJ.

Dnia 5-go b. m. odbyło się plenarne zebranie Rady Banku Polskiego, o którym zresztą doniosły już dzienniki. Uchwalilo ono szereg rezolucji o charakterze ogólnogospodarczym, rezolucji bardzo znamiennych, mających charakter niejako wyzna-

nia wiary naczelných władz banku, skierowanego zarówno do społeczeństwa, jak przede wszystkim pod adresem Rządu. Dotykają one najważniejszych bolączek gospodarstwa krajowego i formułują zarazem jakgdyby wytyczne programu. Tem więc zasługują na uwagę.

Oświadczenia te zreasumować można w czterech punktach:

1) Stwierdzenie zgubnego wpływu gospodarki, opartej wyłącznie na krótkoterminowym wekslowym kredycie, a więc konieczność odrodzenia kredytu długoterminowego, inwestycyjnego.

2) Konieczność stworzenia podstawowych warunków w kraju, umożliwiających stworzenie takiego kredytu, gromadzenie przez społeczeństwo oszczędności i stałość pracy w warsztatach gospodarczych.

3) Znaczne obniżenie świadczeń publicznych i w związku z tem wybitne zmniejszenie budżetów państwowego i samorządowego i wogóle wydatków administracyjnych.

4) Usunięcie zbytnich wybujałości ustawodawstwa socjalnego.

Rezolucje tego rodzaju, nie przynoszące ze sobą właściwie nic nowego, ale stwierdzające powagą naczelnej, oficjalnej instytucji finansowej w państwie to, co każdy już dobrze odczuwa, noszą cechę nietylko exposé finansowo-programowego, ale wprost manifestacji za koniecznością zmiany ogólnego kierunku państwowej polityki gospodarczej i socjalnej. Są one jednym z wyrazów tego coraz dokładniej i powszechniej kryształizującego się przeświadczenia w społeczeństwie o konieczności podstawowej rewizji naszej ogólnej polityki i gospodarki, zapoczątkowanej nieszczęsnymi i nieodpowiedzialnymi założeniami 1919-go roku, bez czego same techniczne usiłowania poprawy stosunków gospodarczych nie mogą wydać oczekiwanych rezultatów. Są one również wymownem potwierdzeniem z tak wysoce poważnej strony naszej linii wytycznej w analizie i krytyce panującego przesilenia, którą uzasadnialiśmy na tem miejscu w szeregu poprzednich artykułów, twierdząc, że w przesileniu tem odgrywa główną rolę moment psychologiczny i organizacyjny i że wobec tego trwała reforma stosunków zacząć się musi przede wszystkim od przewartościowania naszej ideologii administracyjnej, ustawodawczej, bankowej i gospodarczej wogóle, jak niemniej i socjalnej, na co wskazują wyraźnie wymienione punkty drugi i czwarty rezolucji. „Trzeba

stworzyć w kraju podstawowe warunki dla kredytu długoterminowego", to jest bezwzględna praworzędność, zabezpieczenie własności prywatnej i ciągłości pracy, zabezpieczenie zachęcającego zysku przedsiębiorcy przed zachłannością Skarbu oraz odrodzenie w naszych sferach bankowych i kapitalistycznych inicjatywy inwestycyjnej, proskrybowanej od kilku lat. Postulat zaś usunięcia „wybujałego ustawodawstwa socjalnego", postawiony z tej strony, ma dlatego jeszcze szczególną doniosłość, iż jest pierwszym oficjalnie sformułowanym alarmem, stwierdzającym z gospodarczego punktu widzenia niemożliwość kontynuowania dotychczasowej polityki. Ostrzeżenie tembardziej zniewalające do refleksji, że rzucone przez instytucję apolityczną, mającą przedewszystkiem finansowe i walutowe względy na oku.

Sam fakt takiego wystąpienia Rady Banku Polskiego, zasługuje na największe uznanie z każdego punktu widzenia. Wszak bank emisyjny ma na celu nietylko dostarczanie gospodarstwu krajowemu znaków obiegowych i odpowiednie utrzymywanie i powiększanie ich podkładu, ale i prowadzenie szerokiej polityki kredytowej, regulującej w bardzo znacznym stopniu życie gospodarcze państwa wogóle. Okoliczności zaś sprawiły nadto, że Bank Polski stał się „bankiem banków", jeżeli nie w formalnem, to w każdym razie w faktycznem tego słowa znaczeniu. To wszystko nakłada nań obowiązek wnikać głębiej w całokształt naszej sytuacji gospodarczej, politycznej i socjalnej i zabierać głos w kwestjach zasadniczych, dotyczących z jednej strony podstaw rozwoju gospodarstwa i finansów Polski, z drugiej zaś podstaw skutecznej działalności i ochrony interesów Banku, wyłonionego przez całe społeczeństwo. W państwach o wyrobionych i oddawna ustalonych stosunkach wewnętrznych wystarczą tygodniowe wykazy bilansowe banku emisyjnego; w naszym nieskonsolidowanem jeszcze położeniu, pozostającym pod grozą katastrofalnego kryzysu, samo suche zestawienie cyfrowych pozycji stanu banku niedość jeszcze wyraźnie mówi i dlatego częstsze enuncjacje informacyjne lub ostrzegawcze w rodzaju ostatniej pierwszorzędne mają znaczenie i mogą wywierać wielce zbawienny wpływ na racjonalizację stosunków w państwie.

Nie naruszają one z pewnością w niczem pożądaną neutralności władz Banku w sprawach partyjno- lub nawet socjalno-politycznych. Do szczegółów ich fluktuacji bank emisyjny istot-

nie mieszać się nie może. Ale tylko do pewnych granic. Jeśli skonstatuje, że pewne wybujałości polityki władz rządowych lub ustawodawczych szkodzą oczywiście materialnym interesom państwa, albo, że nieracjonalna taktyka prywatnych sfer gospodarczych, dyktowana krótkowzrocznym, partykularno-zawodowym interesem, godzi w podstawy normalnego rozwoju stosunków ekonomicznych w kraju, wówczas bank emisyjny powinien zabrać głos i sprawę autoratycznie w odpowiedni sposób przed opinią publiczną postawić. Jest przecież „bankiem państwa”, a nie kantorem dla dyskonta weksli.

Z tem wszystkiem łączy się jednak w tym wypadku inna jeszcze kwestja, mniej pożądana. Zdaje się już nie ulegać wątpliwości, że Bank Polski toczy od szeregu miesięcy walkę z rządem, która się coraz wyraźniej zaostrza. Nie usuną tego przeświadczenia uspakajające półoficjalne dementis. Nie bierzemy też na siebie i nie uważamy za celowe poruszać bliżej tę sprawę, do czego zresztą potrzebną byłaby dokładna znajomość wszystkich szczegółów. Ale to pewna, że coś fermentuje w najwyższych finansowych instytucjach państwa, że bank broni się przed czemś tak dalece, że w formie rezolucji apeluje do pewnego stopnia do opinii publicznej. A wynik tej walki nie może być nikomu obojętnym, bo los banku emisyjnego w danych warunkach więcej nas bezpośrednio dotyczy, niż nawet chwilowe przesilenia skarbu państwa.

17 listopada 1925

ZMIANA SYSTEMU JAKO WARUNEK ODRODZENIA.

W pesymizmie naszym, uzasadnionym niestety aż nadto tem wszystkiem, co się w państwie dzieje i co w pewnych przejawach, będących wiernem powtórzeniem dawnej smutnej historii, zmuszało nas już nieraz do stawiania na tem miejscu groźnych horoskopów na przyszłość, zanotować nam wypada z kolei pewien zapoczątkowany zwrot w opinii, jakgdyby brzask zmiany na lepsze. A upoważnia nas do tego w pewnym stopniu (oby nie przedwcześnie!) publiczny rachunek sumienia, wygłaszany coraz częściej i dobitniej przez najnowszą litera-

ture i prasę i poważnych przedstawicieli sfer politycznych i gospodarczych i to nawet z trybuny sejmowej. Wydaje się, jakgdyby budziło się coś w narodzie, jakgdyby ten i ów przecierał nareszcie oczy, wskazując palcem na główną, istotną przyczynę całej dotychczasowej niedoli wskrzeszonego państwa.

Odruch ten powstał dokoła sprawy sanacji gospodarczej, która po tyloletnich daremnych próbach i błędzeniu po manowcach wśród niezmiernie kosztownych eksperymentów, musiała w końcu, wobec bezpośredniej już katastrofy, odkryć ten cierni zatruty, który paraliżował rezultaty wszystkich wysiłków. Ale odruch ten dotyczy nie tylko gospodarstwa krajowego, ale w równej mierze wszystkich dziedzin narodowego życia, pracy i polityki.

Posłuchajmy tych głosów. Oto najpierw kilka zdań ze świetnej mowy posła Wierzbickiego, wygłoszonej niedawno w dyskusji nad ustawą sanacyjną.

„Rozbudowaliśmy nadmiernie nasze ustawodawstwo socjalne. Pracujemy o 35 dni w roku krócej, niż zachodnie państwa przemysłowe, nie mówiąc już o Niemczech. A czemu możemy ten krótszy czas pracy powetować, jeżeli i kapitałów nie mamy i pieniędzy mamy najdroższy na świecie?... Nie możemy prześlizgiwać się nad żelaznymi prawami ekonomicznymi i nie możemy pracować mniej, niż cały świat, w imię fetyszu nieetykalności ustawodawstwa socjalnego. Nie w nadmiernej rozbudowie tych czy innych dziedzin ustawodawstwa, lecz w tworzeniu mądrych norm życiowych jest istota zagadnienia”.

Wkrótce potem oświadcza poseł Dunin przy tej samej okazji:

„Jeżeli dziś stajemy wobec tak ciężkiej i twardej sytuacji w kraju, musimy sobie powiedzieć, że jest ona wytworem nie ostatnich miesięcy, ale całego systemu rządzenia państwem, który u nas w Polsce stosowano... Kto w tych warunkach w państwie polskiem może wyżyć? Ci tylko, którzy na tych niepewnych stosunkach żerują. Kiedy pomór przyjdzie na kraj, mnożą się szakale. Im cięższa sytuacja, tem więcej tych żerujących na resztkach żywego organizmu.

„Przyczyny tego stanu leżą w tym ogólnym nastroju, w jakim szereg ważnych spraw był traktowany. Przypomnijmy sobie, jak to niektóre i to wielkie stronnictwa w tej Wysokiej Izbie odnosiły się do życia gospodarczego wprost z nienawiścią...

Kupcy uważani byli za oszustów, eksporterzy za szubrawców, obszarnicy za wyrzutki społeczeństwa, nie mające prawa żyć... Ta psychologia przeszła w ustawy i rozporządzenia... Program był ten, aby zniszczyć, co jest. Ten program wykonywał nie tylko ostatni rząd, ale wszystkie rządy, nawet te, które opierały się na głosach, siedzących w tej Izbie po prawej stronie. Tworzono nacisk, rewolucję i program musiał być wykonany... Systemem tym doszło państwo po siedmiu latach nad krewędz ruiny. Jeżeli go nie poprawimy, kraj potoczy się w zupełną ruinę".

Posel Michalski powiedział na odczycie w Poznaniu:

„Nie mogę zrozumieć i pojąć, jak państwo polskie może największą wartość, jaką jest praca, karać kryminalnie!... Przy ustalaniu dyrektyw sanacyjnych jako pierwszą powinno się rozważyć reformę ustawodawstwa socjalnego".

„Polonia" pisze w artykule wstępnym jednego z ostatnich numerów:

„Najsmutniejszym jest, że skandale ostatnich czasów sięgają od najniższych do najwyższych szczebli państwowej, od skromnych funkcjonariuszy do najpoważniejszych dygnitarzy... We wszystkich dykasterjach władz naszych (dodajemy od siebie: nie tylko władz, ale zbyt często i w dykasterjach przedsiębiorstw prywatnych!) odgrywają rolę rozmaite względy i względziki, raz na osoby, to znowu na partje polityczne (dodajemy od siebie: przede wszystkim zaś na przyjacielskie kliki oraz na partykularyzm dzielnicowy!), co wszystko szerzy poczucie bezkarności, rozzuchwala do nadużyć i w konsekwencji gangrenuje życie państwowe. Póki czas, należy wynaleść środki zaradcze".

Wreszcie w bardzo poważnej, źródłowej publikacji, która ukazała się bezimiennie w tych dniach na półkach księgarskich, czytamy:

„Sejm dla sprawy finansów państwa nie miał zrozumienia. Żądano od państwa, ażeby przed dokonaniem swojej organizacji i uregulowaniem swoich finansów, podjęło odrazu wszystkie zadania kulturalne i społeczne. Stronnictwa i posłowie szli w tem na wyścigi i szukali w tem łatwej chwały. Sejm uchwalał wszystko. System ubezpieczeń społecznych uchwalono, ubiegając w tem inne państwa, a nie zawahano się na chwilę podjąć

natychmiast wielką reformę rolną, a zarazem społeczną i nie czekając na jej uchwalenie, pospieszono się tworzyć urzędy ziemskie i czynić na jej rachunek miljonowe wydatki. Większość Sejmu, licząc się z usposobieniem swoich wyborców, włościan i robotników, uchwałała podatki tylko pod tym warunkiem, że od nich uwolnione będą najniższe, a zarazem najliczniejsze klasy, a granicę uwolnienia posuwała tak wysoko, że wynik podatku chybiał celu. System ten nie wpajał w ogół ludności przekonania, że ciężar utrzymania państwa wszyscy dźwigać powinni".

Dość na tem. Głosy te i im podobne mnożą się z dnia na dzień, uzupełniając doskonale obraz sytuacji i dotychczasowego systemu, który porywa młode państwo w otchłań nędzy i bezrządu. A kulminują one w jednym, coraz zgodniejszym twierdzeniu, które zresztą, jako już oddawna oczywiste, nie wahał się podnieść w kilku poprzednich artykułach:

Polskę gubi od siedmiu lat systematycznie zaciekły, bezkrytyczny a dziecinnie naiwny radykalizm, godzący w najżywościjsze państwowe interesy polityczne, organizacyjne i gospodarcze i powodujący w konsekwencji nie tylko zabójcze dla rozwoju i bezpieczeństwa państwa normowanie jego ustroju i podstaw materialnych, ale równocześnie i panowanie dyletantyzmu i progresywnej korupcji, będących naturalnym wynikiem opanowania naszego życia publicznego w znacznej mierze przez elementy niezdolne do tej roli, które stworzona ad hoc na samym początku fikcja „przewrotu rewolucyjnego” wniosła na wyżynę.

To jest powodem, że my ciągle jeszcze bawimy się w „rewolucję”, kiedy wszystkie inne państwa, nawet te, które ją istotnie przeżyły, dawno już o niej zapomniały i współzawodniczą w wyteżonych staraniach nad przywróceniem normalnych warunków życia i pracy i realnego dobrobytu. Radykalne hasła, wywracające zdrowe pojęcia gospodarcze, socjalne, kulturalne i etyczne, nie liczące się z niczem i nie cofające się prawie przed niczem w pogoni za doktrynerskim celem, uniemożliwiają twórczy rozwój materialny i organizacyjny państwa i udaremniają reformy, ofiary i wysiłki rozumniejszych i szlachetniejszych czynników w państwie. Na nic prawo, interes państwa, korzyść społeczeństwa, na nic podatki i daniny i oszczęd-

ności i pożyczki i praca — wszystko rozbija się o rozwichrzoną demagogję, taktykę wiecową i nadużycia, służące do podtrzymania panującego systemu oraz tych, którzy „na nim żerują”.

Ale mylnem jest mniemanie, jakoby stosunki te były rezultatem naporu warstw niższych. Stwierdzić trzeba z całą stanowczością, że radykalizm nie wychodzi u nas bezpośrednio ze sfer robotniczych lub włościańskich. Zapewne, mają one swe żądania i odruchy, właściwe warstwom mniej oświeconym, zwłaszcza, gdy się im ciągle programowo w głowie przewraca, jątrzy i obiecuje złote góry. Ale naogół lud nasz jest spokojny i kieruje się zdrowym „chłopskim rozumem”. Nie masz dzisiaj chyba na całym świecie materiału mniej rewolucyjnego od polskiego chłopca i robotnika. Demagogja zaś idzie zgóry, od pewnych warstw inteligentnych i w części nawet zamożnych, które czy to z urojonego strachu przed „bolszewizmem”, czy z nieznamomości abecadła rządzenia krajem, czy wreszcie dla interesu i kariery rzucają wciąż w szerokie masy zarzewie i licytują się w radykaliźmie, albo przynajmniej nie mają zmysłu i odwagi, aby wybijające żądania mas hamować. Winni są też nie mało ci, którzy wprowadzie myślą inaczej, ale z przekonaniem tem zamykają się wyniośle w swej splendid isolation lub w szczupłej grupie najbliższego otoczenia, nie wyzyskując różnych swych walorów dla wywarcia odpowiedniego wpływu na uszlachetnienie stosunków w państwie.

Ten „system” zmienić się musi, inaczej żadna reforma sanacyjna nie wyda rezultatów. Na szczęście zdaje się, że przeświadczenie o tej potrzebie zaczyna na wierzch się wybijać, chociaż dotąd zbyt jeszcze słabo, aby mogło praktycznie stać czoło nietylko rozkołysanym żądaniom tłumów, ale — co ważniejsze — interesom osobistym tych wszystkich elementów, które ze „stanu rewolucji” i „walki klasowej” czerpią jedyną rację swego szkodliwego bytu. Jest teraz najważniejszym zadaniem wszystkich szlachetniejszych, doświadczeńszych i lepiej wyrobionych czynników w państwie podtrzymać i spotęgować ten początek odrodzenia ładu i zdrowego rozsądku tak, aby to wszystko, co stało dotąd na przeszkodzie naprawie Rzeczypospolitej, co panoszyło się z jej szkodą materialną i moralną, zapadło się pokonane siłą państwowo-twórczą narodu i własnym absurdem.

21 listopada 1925.

KIEREŃSZCZYŻNA.

Coraz częściej pojawia się na łamach prasy i w rozmowach prywatnych złowrogi wyraz: Kiereńszczyżna, dla scharakteryzowania sytuacji i jako perspektywa groźnej przyszłości.

Istotnie, reasumując obecny stan rzeczy w państwie, nie chwilowy ani przypadkowy, ale przygotowany siedmioletnią polityką i gospodarką, a kulminujący w bezprzykładnej ruinie ekonomicznej, zniszczeniu i podeptaniu wszystkiego, co szlachetniejsze, rozumniejsze i twórcze, w bezmyślnym, nie liczącym się z niczem radykalizmie i w bezprogramowej, a więc i bezpłodnej walce stronnictw, którym poza doktryną i formułkami brak w decydujących momentach i celów i ludzi czynu — uzasadnionymi się stają największy pesymizm i najgorsze horoskopy. Wszak dochodzi już do tego, że prasa, a z nią razem i szerokie sfery społeczeństwa, wyrażają otwarcie niewiarę w skuteczność akcji jakiegokolwiek rządu, twierdząc słusznie, że w warunkach, jakie się wytworzyły, żaden rząd nie jest w stanie czegokolwiek dokonać, dopóki nie zmieni się od podstaw cała nasza polityka i system rządzenia.

Postawmy jasno sprawę, bo nie czas na dyplomatyczne frazesy. Kraj nasz, zaledwie wyzwolony z obcej niewoli, stał się łupem różnych elementów, które na nim żerują. Wartość moralna, zasługa, wiedza fachowa, praca, zdolność, kultura i poświęcenie dla kraju nic nie znaczą. Niewiele także znaczą rzeczywisty interes państwa, żywotne postulaty jego egzystencji i jego przyszłość. Wszystko to zmieczone zostało z powierzchni przez zaciekle, bezwzględne, skrajnie egoistyczne formuły radykalizmu politycznego i społecznego, stworzonego dla celów licytacji wyborczej. Niemasz i patriotyzmu, takiego przynajmniej, jakiego sytuacja wewnętrzna i zewnętrzna z każdym dniem coraz imperatywniej wymaga; istnieją tylko partykularne patriotyzmu „z zastrzeżeniem”, uznające Polskę o tyle, o ile mieści się w ramach danej doktryny, nie mające żadnej wspólnej platformy, nawet w zapatrywaniach na najważniejsze potrzeby państwa, na cnotę i zbrodnię. Doszliśmy w gronie państw cywilizowanych do takiego upadku kultury, że z postulatami najpoważniejszych sfer obywatelskich w państwie, przedstawianymi rządowi i sejmowi w najgroźniejszych chwilach przesilenia, sfer ziemiańskich, przemysłowych, finanso-

wych, handlowych, górniczych i rzemieślniczych, nikt się absolutnie nie liczy. Zbiorowy głos tych wszystkich czynników, które reasumują całą twórczą pracę w państwie, cały dorobek cywilizacji i potęgę narodu, znaczy nieskończenie mniej, niż wiecowy krzyk pierwszego lepszego radykalnego agitatora. Czyż to nie jasny i wyraźny symptom kiereńszczyzny?

Jest i drugi, jeszcze groźniejszy: kompletny upadek ducha, zmysłu organizacyjnego i odwagi cywilnej we wszystkich wymienionych wyższych sferach społeczeństwa. Jakto? Bezmyślny, rozwichrzony radykalizm, obliczony na efekt ulicy, niszczy w ich oczach ich własne warsztaty pracy, rolne, przemysłowe i handlowe, pogrąża przez siedem lat ojczyznę i wszystkich uczciwie pracujących obywateli w coraz większej ruinie materialnej i moralnej, a sfery te ani nic na to pomóc, ani odpowiednio zareagować nie są w stanie! Cała ich myśl polityczna i gospodarcza obraca się wyłącznie około jednego pytania: kto będzie ministrem skarbu, aby zmniejszyć podatki, a zwiększyć kredyty? I pozatem nic więcej! Wystarczy, że ktoś tupnie nogą i krzyknie: Rewolucja! — a wszystko, co w kraju kulturalniejsze, wykształcone, zamożne i naprawdę silne, coła się tchórzliwie i kornie chyli głowę. Istotnie, to kiereńszczyzna!

Wszystko, co w kraju lepsze, obraca się z sercem w piętach, a w ciemnych okularach na oczach, w wązkim kółku własnych dorywczych spraw i interesów. O jakiejś energiczniejszej organizacji i akcji, o jakimś zdecydowanym, zbiorowym programie i czynie nikt nawet słyszeć nie chce. Co najwięcej czasem jakiś zjazd, szumna rezolucja, potem korna petycja i... cisza. A w kraju tymczasem panoszą się na tysiącnych placówkach elementy, które wnoszą niesłychaną korupcję już na najwyższe szczeble hierarchji społecznej. Tak, to kiereńszczyzna!

Czyż to zresztą dziwi? Wszakże w Polsce od czasów Bato-rego, a więc przez trzy wieki zgórą, nie było nigdy rządu, ani ładu, ani programu. Nigdy! Zrywaliśmy się czasem, aby pogromić Szwedów, czy Turków, czy Moskali, czy bolszewików, ale rządzić się, organizować? Nigdy! Przestrzegał tej złotej wolności dawniej magnat i szlachcic, teraz chłop i radykał, a koniec końcem rządów nigdy nie było. Każdy uważał ojczyznę zawsze tylko jako „zbiór praw i przywilejów dla swej korzyści” i warcholił o tę korzyść bez względu na interes państwa. I skąd tu domagać się ładu i porządku i programu i rządu i organi-

zacji? Kto nas tego kiedykolwiek nauczył? Każdy inny naród miał w nowszych czasach swych monarchów lub mężów stanu, którzy mu żelazną ręką to wpoili. Nam niestety nikt tego jeszcze nie wpoił.

Piekąca zazdrość chwytą, gdy spojrzeć na takie Włochy. Wszak to naród, o którego tężyźnie tak niedawno jeszcze odzywaliśmy się z lekceważeniem. A dzisiaj daje niebывały przykład meteorycznego odrodzenia. Porwany genjuszem i energią wielkiego męża stanu, zgniótł wszystkie antypaństwowe, warcholskie i doktrynerskie elementy i porywy, zorganizował się i zespolił tak, że pulsuje we wszystkich warstwach jednym tętnem i wznosi się szybko na poziom wielkiego dobrobytu, ekspandując ekonomicznie na cały świat, odbierając nam rynek wschodni, zakupując już nawet nasze wielkie banki. Widocznie ma potężne siły żywotne, a przede wszystkim jest naprawdę patriotycznym.

A dla nas, którzy stoimy bez żadnej kwestji na progu przepaści, czyż nie powieje nareszcie silniejszy prąd odrodzenia? Potrzeba go nam zaiste stokroć więcej niż Włochom, bo większe grozi nam niebezpieczeństwo, w danym razie zguba bezpowrotna. Czyż nie znajdzie się żaden rząd lub człowiek silnej ręki, który, nie dbając na próżne groźby ani hałasy, potrafi potężnie przemówić do społeczeństwa, ocknąć co lepsze w nim z letargu, porwać naród za sobą, wyrzucić bałwany radykalizmu, absurdu i korupcji i zacząć rządzić! Czyż nadal mamy brnąć w beznadziejnym kieracie kluczków partyjnych, staczającym państwo nieuchronnie w otchłań czwartego rozbioru!

Ale nie od konspiracji lub adoracji własnej czy partyjnej zacząć musi taki rząd lub człowiek. Zaimponować musi otwarcie decyzją, odwagą i jasnym programem, a przede wszystkim podnieść sztandar bezprzymiotnikowego patriotyzmu, wolnego od wyborczych haseł i socjalnych zastrzeżeń. Pokazać nam powinien Polskę, tę prawdziwą, wymarzoną Ojczyznę, jaką każdy z nas w sercu nosi, a nie tę karykaturę, zniekształconą „niezawodnemi”, jedynie „uszcześliwiającemi” doktrynami, oznaczonemi różnemi literami partyjnego alfabetu. Za takim sztandarem wszyscy pójdziemy, wszyscy, którzy błakamy się dotąd rozpaczliwie po różnych narzuconych nam obozach, w których celowość chyba już zupełnie straciliśmy wiarę. Nikt z pewnością nie zostanie w tyle, kto zasługuje na miano Polaka, nie

zważając na gesty i krzyki tych, którym ten ład i porządek rozbił nadzieje dalszego żeru i kariery.

Dość mamy już tej kiereńszczyzny, tej zabawy w politykę, która wszystkie pracujące warstwy w państwie zadużo już kosztuje. Dość wielkich ludzi i cudotwórców, którzy raz po raz zapadają się z krachem, pogrążając państwo w coraz groźniejszej nędzy i odmęcie, w obliczu wzmagających się w siły wrogów. Chcemy być nie ludem, jak nam to usiłują różni wmówić, lecz narodem!

28 listopada 1925.

SELEKCJA A ZASADA RÓWNOŚCI.

„Na całym świecie wyczuwa się dokładnie, że system parlamentarny, który miał swój okres użyteczności w historii kilku dziesiątków lat w wieku XIX, już dziś nie wystarcza do ujęcia w karby rozszerzających się potrzeb i namiętności współczesnej cywilizacji. Wyczuwa się wszędzie, że w społeczeństwie współczesnym trzeba wznowić surowe zasady porządku, karności i hierarchii, bez których społeczeństwa wpadają w chaos i chylą się ku ruinie. Te zasady mają zastosowanie nie tylko do Włoch, ale do wszelkich państw cywilizowanych”.

Oto kulminacyjna teza ostatniej wielkiej mowy parlamentarnej Mussoliniego. Nie jest ona bynajmniej izolowanym objawem ideologii obecnego przewrotu ustroju we Włoszech, ale harmonizuje z powszechnym, mniej lub więcej świadomym prądem refleksji i tendencji, który nurtować zaczyna coraz potężniej myśl polityczną społeczeństw na całym niemal świecie. Widocznym jest szybki wzrost dążeń dyktatorskich lub monarchistycznych, wybuchających żywiołowo w całym szeregu państw o ustroju radykalno-demokratycznym, lub wogóle tam, gdzie ustrój republikański czy nawet monarchistyczny, zbyt słaby, wykazuje coraz dobitniej i dotkliwiej potrzebę rządów silnej ręki. Objawia się żywiołowo, propagowany nie przez jakąś ad hoc stworzoną doktrynę, ale przez progresywną nędzę materialną państw i narodów i przez rosnący chaos polityczny, administracyjny i społeczny, którym cały arsenał rządów ludowych nie jest już w stanie zaradzić.

Najwymowniejszym wyrazem tego ducha czasu będzie niewątpliwie wniosek, który wpłynie w najbliższym czasie pod obrady Kongresu Stanów Zjednoczonych, obdarzający na pewien czas władzą dyktatorską prezydenta dla unormowania administracji i stosunków gospodarczych w państwie. A więc i tam nawet, w gospodarczo i społecznie najpotężniejszym państwie na świecie, gdzie demokratyczna wolność i równość przeszły oddawna w krew i kość narodu, gdzie obecnie największy panuje dobrobyt i porządek, wyczuwa się potrzeba silnego rządu i autorytetu władzy. A cóż dopiero w zdewastowanej wojnami, rewolucjami i upadkiem ekonomicznym Europie!

Prąd ten, zmierzający ostatecznie do przywrócenia w pewnym stopniu władzy jednostek z równoczesnem uszczupleniem praw szerszej reprezentacji społeczeństwa w państwie, niekoniecznie jest współmierny z konspiracjami czy tendencjami wyraźnie monarchistycznymi w pewnych republikach. Te bowiem rodzą się raczej na tle historii, tradycji lub pewnych osobistych ambicji, podczas gdy ogólno-światowa tendencja, nie przesądzając na razie konkretnej formy przyszłego ustroju, a przynajmniej nie wszędzie, dąży do obalenia wszechwładzy warstw szerokich i skoncentrowania jej w pewnych rękach, celem odrodzenia państw z marazmu i chaosu parlamentaryzmu i z nader smutnych wyników panoszenia się elementów, do władzy absolutnie niezdolnych.

Jest to niewątpliwie reakcja, w całym i najpowszechniejszym tego słowa znaczeniu, reakcja przeciw zbyt już dokuczliwym, a nawet groźnym wybujałościom skrajnych pojęć o równości obywatelskiej i ludzkiej wogóle, która istnieć może i powinna wobec prawa, ale nie może być ślepo stosowana w kwestiach rządzenia państwem. Podobnie, jak na przełomie nowszej historii różne niesprawiedliwości, anachronizmy i absurda dawnego feudalnego czy stanowego systemu zrodziły parlamentaryzm i demokratyzację, tak obecnie absurda i wszelakie zgubne wybujałości tych ostatnich budzą w naturalnej konsekwencji żywiołowy odruch za przywróceniem ładu, porządku, pewnej niezbędnej hierarchji i zdrowego rozsądku w kwestiach politycznych, socjalnych i gospodarczych. A silna władza i porządek nie mogą być dzierżone przez wielu!

Nie śmiemy twierdzić za niektórymi autorami i politykami, że parlamentaryzm wogóle się przeżywa. Człowiek cywilizowany życzyć sobie tego nie może. Pewne współdziałanie i kon-

trola szerszych warstw społeczeństwa w polityce i gospodarce państwowej są niezbędne. Przykłady absolutyzmu czy to carskiego, czy sowieckiego, nie mogą być dla nikogo zachętą. Nie może nią też być doktryna socjalistyczna, nakładająca nieznośne pęta na jednostkę, która dzisiaj zresztą zaczyna się już przetrwać sama w sobie. Ale to pewna, że przeżywa się parlamentaryzm tak rozwichrzony, jakim zrobił go koniec zeszłego i początek bieżącego stulecia.

Wojna światowa, wzywając pod broń masy ludu i nakładając na nie olbrzymie ciężary i straty, zrobiła je zbyt suwerennym panem sytuacji i otworzyła im dostęp do wszelkich stanowisk i godności z pominięciem jakiegokolwiek cenzusu kwalifikacyjnego. To zaś obniżyło fachowo i moralnie poziom sfer i czynników rządzących i sprawiło, że w obecnym, najcięższym okresie dźwigania się z wojennego upadku zabrakło u steru państw, z nielicznymi wyjątkami, sił odpowiednio uzdolnionych. Nie mogły ich oczywiście zastąpić doktryny demagogiczne, ani programy partyjne, ani wszelkie t. zw. zdobycze ludu. Zapanowała coraz większa pauperyzacja społeczeństw, umysłowa i materialna.

Zeszło się wreszcie na drogę zupełnego już absurdu i bezprawia, postawionego na piedestale ideałów państwowych, a nawet międzynarodowych: nienawiść do wyższej cywilizacji i kultury, wywłaszczanie przemocą jednych warstw na korzyść drugich, pogarda dla umysłowej pracy, dążenie do zwiększania dobrobytu przez przymusowe ograniczanie czasu pracy i programowe rozleniwianie pracowników wszelkich kategorii, postulat rządów robotniczo-włościańskich (jakgdyby chłop na roli lub robotnik od warsztatu byli najlepiej przysposobieni do rządzenia!), wreszcie obsadzanie wszelakich stanowisk rządowych i prywatnych ludźmi, absolutnie na nie nieodpowiednimi. Demagogiczna zasada głosi, że wykształcenie jest zbyteczne, bo wszyscy wszystko potrafią.

Zajmują więc młodzieniaszki lub prostaczkowe stanowiska nieraz tak wysokie, że im się w głowie kręci, inżynierowie — prawnicze, artyści — finansowe, lekarze lub sportsmeni — bankowe — równość demokratyczna i paszport partyjny dają wstęp i kwalifikacje na wszystko. I stąd bezgraniczna nędza, nieudolność, korupcja i niepewność jutra, bo i jakże może być inaczej!

W dodatku nowoczesny parlamentaryzm, niwelujący bezkrytycznie wszystko i oddający losy państw w równej mierze w ręce wszystkich bez różnicy, dyskredytuje sam siebie i staje się własną karykaturą, a nie istotnym wyrazem woli narodu czy ludu, bo wiadomo przecież, że najważniejszą rolę w wyborach grają — pieniądze.

Jasne jest, że taki stan rzeczy, przeciwny prawom natury i logice, jak niemniej i oczywistym interesom społeczeństwa, trwać bez końca nie może, bo go żadne państwo ani gospodarstwo na dłuższą metę nie wytrzyma. Dwa tylko są z niego wyjścia możliwe: umiarkowana reakcja z przywróceniem autorytetu i cenzusu kulturalnego w całym życiu państwowym, przy znacznym wzmożeniu władzy głowy państwa, w jakiegokolwiek formie — albo też ochłokracja czyli, mówiąc językiem nowoczesnym, dyktatura proletariatu. *Tertium non datur*.

Ewolucyjna, fizyczna oczywistość tej alternatywy, będącej wynikiem zmagania polityczno-społecznych ostatnich stu lat, a zwłaszcza powojennego okresu, jest już powszechnie tak wyraźną, że ogarnia nie tylko opinię coraz szerszych warstw ludności w poszczególnych państwach, ale objawiać się już zaczyna i w oficjalnej polityce, zmierzającej w sposób mniej lub więcej zdecydowany na prawo, w instynktownej lub programowej taktyce ratowania społeczeństwa przed nędzą i anarchią. Coraz silniej utrwała się przeświadczenie, że wszyscy rządzić nie mogą, że bezwzględne stosowanie w praktyce zasady równości nawet pod względem kwalifikacji fachowej, jest najszkodliwszym nonsensem dwudziestego wieku. Trzeba przywrócić jakiś autorytet hierarchiczny, trzeba wybrać między panowaniem najlepszych lub najgorszych i panowaniu temu się poddać. Włochy i Rosja są chwilowo najskrajniejszymi przeciwnymi przykładami tej tezy. To, co leży w pośrodku, znajduje się ciągle w stanie fermentu.

W nielicznych tylko jeszcze państwach oczywistość ta nie jest jeszcze, a raczej nie chce być jeszcze rozumianą. Do nich należy niestety Polska, przynajmniej Polska oficjalna, bo w licznych kołach naszego społeczeństwa należyte zrozumienie sytuacji i potrzeb epoki toruje sobie już drogę. Złota wolność i równość, wyhodowana u nas od wieków, którą też po odzyskaniu niepodległości postaraliśmy się jaknajśpieszniej i w jaknajszerszym zakresie reaktywować, bronią się zawzięcie przeciw idei silnych rządów, przeciw wogóle

pojęciu, że nie każdy Polak jest do wszystkiego równie genialny i równie przysposobiony. Dlatego łudzimy się ciągle jeszcze, że uda nam się przestarzałym systemem bezwzględnej równości demagogicznej i hierarchicznej zbudować silne państwo i dobrobyt gospodarczy, pomnożyć skarb, warsztaty twórcze i kapitał i ruch handlowy; że uda nam się przeforsować warstwy niższe cywilizacją i kulturą na poziom, na którym bez szkody państwa i własnej nie są naprawdę w stanie się utrzymać; że możemy bezkarnie podeptać wszystko, aby tylko ratować „rewolucyjny” status quo i wykręcić się sianem z niekażdemu miłych postulatów rzeczywistości. I dlatego też nasza demagogiczna konstrukcja państwowa, a poniekąd i społeczna, staje się stopniowo anachronizmem w porównaniu do szybkiej ewolucji wielu innych państw, które z doświadczeń rzeczywistości wyciągają naturalne konsekwencje, stosując u siebie coraz więcej zasadę selekcji społecznej, kiedy my brniemy ciągle jeszcze w jednostronnym, upartym systemie spajania wszystkiego ze wszystkim: kultury z ciemnotą, cnoty z bezmyślną chciwością, patriotyzmu z demagogią, kwalifikacji z nieuctwem, talentu z miernotą, uczciwości z korupcją, prawa z nierządem i rozumem z absurdem, byle tylko nie naruszyć fetysza sztucznej równości.

Poczekajmy jeszcze, skoro nie mamy tego dosyć! Rezultaty nie dadzą zapewne długo czekać na siebie.

10 grudnia 1925.

STRACH PRZED CHOCHOŁEM.

W chwili, gdy nowy rząd, reprezentujący swym składem odpowiedzialność sejmu i szerokich warstw społeczeństwa, przystępuje do dzieła sanacji gospodarczej, dostosowując zarówno budżet jak i kurs złotego, bez forsownych, sztucznych naciągnięć poprzedniego rządu, do istotnej wartości i siły gospodarstwa krajowego, warto poruszyć i wyjaśnić jeden z podstawowych problemów tego gospodarstwa, na którym ostatecznie każda reforma sanacyjna oprzeć się musi, mianowicie istotne znaczenie naszej produkcji rolnej w bilansie ekono-

micznym państwa. Zdaje się bowiem, że wielu oddaje się w tym względzie karygodnym iluzjom w mniemaniu, że skoro Polska jest krajem o charakterze „wybitnie rolniczym”, przeto rola zabezpiecza tak dalece dobrobyt państwa, że żaden eksperyment z nią na serjo mu nie zaszkodzi i wszelkie reformy polityczne, socjalne i gospodarcze dadzą się przeprowadzić bez względu na jej przyszły ustrój i losy. Zbadajmy, jak się rzecz ma naprawdę.

Otóż przeciętny roczny plon zboża w Polsce, w normalnych warunkach zasiewu i urodzaju i przy odtychczasowym poziomie uprawy, wynosi w przybliżeniu około 1,000.000 wagonów, z czego na wewnętrzną konsumpcję przypada mniej więcej cztery piąte, a jedna piąta przeznaczona może być na eksport.

Fascynująca ta cyfra 200.000 wagonów zboża na eksport, po całkowitem pokryciu zapotrzebowania krajowego, pokutuje już od szeregu lat w założeniach gospodarczych naszych mężów stanu — i nigdy się nie sprawdza. Składa się na to cały szereg warunków, mianowicie znaczne wahania urodzajów i konjunktur zbytu, siły nabywczej rynku krajowego, cen wewnętrznych i zagranicznych, warunków transportu i dystrybucji oraz gospodarczych i politycznych stosunków eksportowych. Ważną rolę grają tu również pewne techniczne względy lokalne, zwłaszcza stan młynów i organizacji handlu zbożem w każdej poszczególniej dzielnicy państwa, które decydują w wysokim stopniu o wywozie zboża przez pewne punkty graniczne, a imporcie przez inne obcej mąki. Tak więc zdarza się, że mimo ogólnego nadmiaru zboża w kraju, pewne okolice wskutek niedomagań przemiału i dystrybucji sprowadzają zagraniczną mękę lub nawet ziarno, podczas gdy inne duszą się własną nadprodukcją.

Wobec tego upadają na razie wszelkie marzenia, aby eksport zboża mógł na serjo przyczynić się do dźwignięcia państwa z katastrofy gospodarczej przez decydującą poprawę bilansu. Stwierdzić można tylko, że Polska jest w normalnych warunkach państwem, pod względem wewnętrznego zaopatrzenia w zboże na ogół samowystarczalnem, natomiast zdolność jej eksportowa w tym zakresie jest obecnie jeszcze tak chwiejną, że niepodobna opierać na niej nadziei znacznej i trwałej poprawy. Dobrze, jeżeli w latach urodzaju możemy wyeliminować import oraz uzyskać pewną rezerwę wyrównawczą na lata chude. Poważniejszą zaś nadwyżkę bilansową osiągnąć

możemy zapomocą innych działów produkcji, zwłaszcza węglowej, naftowej, włókienniczej, drzewnej, spirytusowej i cukrowej, nadto wywozem ziemniaków, bydła, drobiu, jaj i t. d.

Wskazują zresztą na to wyraźnie nasze bilanse. Najlepszym z nich był niewątpliwie za rok 1923, ale nie wskutek wywozu cerealjów, lecz dlatego, że był to okres kulminacyjny rozwoju przemysłu, co prawda niestety pod wpływem inflacji i szału spekulacji akcjami. Sam eksport wyrobów włókienniczych osiągnął wówczas zwaloryzowaną wartość 300 milionów zł. Spadek jego do połowy w roku następnym wpłynął bez porównania więcej na zmniejszenie aktywności bilansu, niż równoczesny nieurodzaj. Wielki zaś tegoroczny kryzys w przemyśle, który spowodował półmiliardowe pasywa w bilansie, nie mógł być powetowany, ani nawet wstrzymany wyjątkowo korzystnymi zbiorami, które nie byłyby w stanie w ostatnich miesiącach jesiennych zrównoważyć dalszego deficytu, gdyby nie zastosowano sztucznej prohibicji importu. Z cyfr tych i faktów wynika w sposób niezbity, że mimo całej sławy polska produkcja rolna ma w dzisiejszych warunkach, przy szybkiej wzroście ludności i wzmagającym się zapotrzebowaniu wewnętrznym, stosunkowo już niewielki wpływ na nasz bilans handlowy, a niewielkie niedomagania w urodzajach powodują zaraz import mąki. Niejednemu wyda się to może paradoksem, zwłaszcza wobec zdawna ustalonej renomy rolnictwa polskiego w kraju i zagranicą, ale cyfry i fakta stwierdzają niestety smutną prawdę.

Cisnie się na usta pytanie, skąd taki druzgocący rezultat? Czyż cała ta olbrzymia suma pracy, energii i zamiłowania do gospodarki na roli, wkładanych w nią przez najliczniejszą warstwę ludności w państwie, nie jest w stanie, poza zaspakajaniem głodu, a i to często dopiero z pomocą obcej mąki, przyczynić się do wzrostu bogactwa narodowego, a nawet do powstrzymania katastrofy gospodarczej?!

Odpowiedź na to pytanie jest jasna i prosta, a niemniej druzgocąca od powyższej wymowy cyfr i faktów: Rola nas dźwignąć z upadku nie może, bo my nie staramy się jej dźwignąć i obronić!

Każda gałąź pracy ludzkiej, nawet ta, która opiera się na najkorzystniejszych w danym kraju przyrodzonych warunkach, wymaga dla pomyślnego rozwoju starannej pielęgnacji, poparcia przez czynniki rządzące i ustawodawcze oraz żywiołowej,

zgodnej obrony przez zainteresowane sfery zawodowe. Prawodawca, urzędnik państwowy, przedsiębiorca i robotnik, pracując w danej gałęzi gospodarczej, muszą rozumieć, że zarówno interes państwa, jak i wszystkich, których gałąź ta ma wyżywić, zależy w pierwszym rzędzie od jej niehamowanego rozwoju. Wszelkie też reformy i zmiany dokonywać się mogą z tem tylko zastrzeżeniem, że naturalny rozwój danej dziedziny gospodarczej nie będzie tamowany, ani produkcja jej uszczuplaną. Każda inna taktyka odbija się niebawem najfatalniej na losach i tej dziedziny i wszystkich w niej interesowanych i całego gospodarstwa krajowego.

Odnosi się to przedewszystkiem do naszej kultury rolnej, która, jak wykazaliśmy, jest w tym momencie aparatem niezmiernie czułym na najmniejsze nawet zmiany konjunktur, zwłaszcza wobec długotrwałego kryzysu ekonomicznego wogóle, braku gotówki i rezerw kapitałowych, a niemniej i wobec wzrostu ludności. Polska należy obecnie do gęściej zaludnionych państw w Europie, może więc wyżywić się tylko pod warunkiem stałego wzmagania intensywności uprawy roli, z zastosowaniem coraz doskonalszych środków i organizacji techniki, obrotu i zbytu. Musimy brać pod tym względem przykład z krajów zachodnich, gdzie mimo nieraz mniejszej urodzajności gleby, wydajność jej bywa przeciętnie dwakroć wyższą od naszej. Obowiązuje nas zaś tembardziej ten postulat, jeżeli chcemy podnieść na serjo i trwale zdolność eksportową państwa, która bez wysokiej kultury wielko- a przynajmniej średnioobszarowej i bez zastosowania kosztownych postępowych metod uprawy jest nie do pomyślenia. Wówczas, przy znacznem podniesieniu naszego rolnictwa za pomocą kapitału, techniki i organizacji handlowej, moglibyśmy istotnie liczyć na efektywną zdolność wywozową państwa nietylko dwustu tysięcy wagonów rocznie, ale i więcej.

Wiedzą o tem dobrze ci wszyscy wykształceni ludzie, którzy stanęli mniej lub więcej u steru spraw państwa lub którzy przynajmniej mają wpływ na kształtowanie się opinii i apetytów szerokich warstw ludności. Zdają sobie doskonale sprawę z tego, że samymi administracyjnymi rozporządzeniami, a nawet i pożyczkami, nie zaradzą katastrofie gospodarczej, ale że trzeba równocześnie wzmóc wydajność wszystkich warsztatów gospodarczych, niesłuchanie osłabionych siedmioletniem przesileniem i uchronić je od wstrząszeń. Wiedzą o tem do-

brze — a jednak czynią, a przynajmniej mówią wprost przeciwnie!

Warsztat rolny stał się w Polsce przedmiotem targów polityczno-socjalnych. Zaprzepaszczają go jedni, niedość bronią go drudzy. Przerzucają sobie jego losy z rąk do rąk stronnictwa i ambitne jednostki, używając go za szczebel do popularności, kariery i władzy. Budują jedni na naszej zbiedzonej roli, która częstokroć nie jest już w stanie wyżywić nawet bezpośrednich pracowników, fantastyczne gmachy „zdobyczy ludowych”, nie troszcząc się o to, czy ta gleba rodząca będzie w stanie ich ciężar wytrzymać. Drudzy zaś nie śmiał się tym eksperymentem stanowczo sprzeciwić, ba, nieraz nawet wychodzą na ich spotkanie z otwartymi rękoma, w trwożliwym założeniu, że inaczej wybuchnie... rewolucja! Najodważniejsi zdobywają się czasem na słaby głos protestu, ale milkną pokornie, gdy przeciwnik nasroży wąsa i krzyknie: Rewolucja! Tragikomika sytuacji podnosi się do szczytu przez to, że ci, którzy bez żadnego istotnego powodu, wbrew przyrodzonym i pisanym prawom i realnym interesom państwa i logice gospodarczej, pozbawieni mają być mienia, dali wmówić w siebie i powtarzają „z wewnętrznym przekonaniem”, że reforma rolna jest „konieczna”, tylko oczywiście w nieco innej formie i t. d. i t. d. Oczywiście, że w takich warunkach mowy być nie może o podniesieniu kultury rolnej i wzmożeniu jej zdolności eksportowej.

Strach przeleciał ponad bujną rolą polską, która ongiś rodziła rycerzy, strach przed słomianym fantomem rewolucji, dobywanym od siedmiu lat raz po raz okazyjnie z rupieci agitacji wiecowej dla paraliżowania kontrkandydatów na mandaty. A wiadomo, że strach ma wielkie oczy. Wylękle usta powtarzają mechanicznie narzucone im maksymy gospodarczego i socjalnego odrodzenia państwa, chociaż w nie nie wierzą i zdają sobie sprawę, że mogą tylko krzywdę przynieść krajowi. Ale za teatralnem machnięciem czerwoną płachtą pręży się wszystko co żyje, kładzie ręce po szwach i powtarza rewolucyjne formułki.

Nieprawda! Reforma rolna przymusowa wcale nie jest konieczną, ale przeciwnie, w każdej formie i pod każdym względem szkodliwą. Nie usprawiedliwia jej żaden racjonalny argument ekonomiczny, polityczny, ani socjalno-wychowawczy. Nieprawda, że tylko za tę cenę utrzymać można zgodę społeczną w państwie! Mamy lepsze wyobrażenie o polskim chłopie i ro-

botniku; nie sędzimy, żeby miał być patriotą dopiero za łapówki, kosztem przymusowego wydziedziczenia innych współobywateli. Zgoda społeczna i patriotyzm, za taką cenę osiągnięte, są niemoralne i ani gospodarczych, ani społecznych zysków nie przyniosą, a poruszą tylko lawinę coraz dalszych żądań i rozruchów, której rozmiarów i rozpędu nikt dzisiaj przewidzieć nie może. Dziś mowa o zaborze ziemi, jutro przyjdzie kolej na fabryki, potem na kamienice, banki, sklepy i ruchomości, bo i dlaczego nie miałyby to nastąpić? Wreszcie przyjdzie kolej i na kulturę polską i staniemy się manekinami w rękę sprytniejszem! Gdy raz się wstąpi na tę drogę, nie masz już na niej zatrzymania.

Ach, gdyby zbudziła się nareszcie jakaś zbiorowa energia, która odważyłaby się wyrzucić ten fantom rewolucji, znalazłaby w jego wnętrzu napewno nie groźne zarzewie, ale — słomę i kartki wyborcze in blanco!

Boimy się chochoła, tego samego słomianego, ślepego chochoła, którego nam poeta ukazał w „Weselu“, a rola polska i najżywotniejszy interes państwa czekają wciąż jeszcze na zdecydowanych obrońców.

15 grudnia 1925.

UWAGI NAD EXPOSÉ MIN. ZDZIECHOWSKIEGO.

Programowe exposé min. Zdziechowskiego miało tem większe znaczenie, że rolą jego było, w powszechnem mniemaniu, zapoczątkowanie nowej epoki w zmaganiach gospodarczych wskrzeszonego państwa, dokonanie stanowczego zwrotu taktycznego w chwili, gdy siedmioletni okres błędnej, wielokrotnie wprost nieopatrzonej gospodarki finansowej wyprowadził skarb państwa na brzeg przepaści. Doniosłość przemówienia zwiększa się jeszcze i przez to, że tym razem słuchała go zagranica ze szczególnem zainteresowaniem, wyciągając z niego prognozy naszej oficjalnej pożyczki zewnętrznej.

Miał minister skarbu tym razem zadanie — ogółem biorąc — podwójnie ułatwione. Raz dlatego, że rozporządza bardzo obfitym materiałem doświadczalnym całego poprzedniego okresu w zakresie finansowym, skarbowym, gospodarczym, politycznym i socjalnym. Powtóre, że ma do czynienia z sej-

mem i społeczeństwem, które są bardzo podatnym i cierpliwym materiałem pod względem finansowo-gospodarczym i dają robić ze sobą wszystko, co się ministrowi skarbu spodoba, z niezachwianą, dziecięcą ufnością, że nareszcie przyjdą nieco „lepsze czasy”.

Spółeczeństwo polskie jest istotnie gotowe zrobić wszystko, czego zażąda od niego minister skarbu, nawet zrujnować się (co się już dwukrotnie zdarzyło), byle tylko wybrnąć z dotychczasowej nędzy i niemocy. Żle jest, że przytem i samo poradzić sobie nie umie, że jedyną deskę ratunku widzi tylko w polityce i pomocy rządu, ale przynajmniej poddaje się posłuszenie każdorazowej dyktaturze fiskalnej.

Wygłoszone na takim podłożu exposé p. ministra skarbu podnosi najpierw doniosłość dokonanej poprzednio reformy waluty, nazywając ją słusznie wielkiem dziełem, a następnie w kilkunastu jasnych, a szczególnie wymownych cyfrach katastrofę poprzedniej gospodarki, której główną winą było sztuczne, forsowne dociąganie życia gospodarczego do rozmiarów teoretycznie zestawionego budżetu. Przeciwstawia jej p. Zdziechowski oczywistą, odwrotną konieczność dostosowania budżetu do osiągalnych wpływów i istotnych sił gospodarczych państwa, przez co osiągnie się realność i prawdziwą równowagę preliminarza, jako podstawę do wszelkiej dalszej akcji sanacyjnej. Środki zaś do tego celu przytacza cztery: redukcje, oszczędność, wydatne poparcie wytwórczości i eksportu, oraz pewne sankcje prohibicyjne i karne, przekazując przy tem pożyczce zewnętrznej wprowadzić ważną, ale dopiero dalszą rolę.

Najlepiej wsłuchać się w tok przemówienia i wyciągnąć z niego pewne zwroty zasadnicze:

„Jeżeli naród polski w momencie obecnym nie znajdzie wyrazu skoordynowania wysiłku nietylko na papierze, w hasłach czy formułach, ale i w czynach, to runie, ostrzegam, runie podstawa, na której budowaliśmy w znojmym i ofiarnym wysiłku finanse Rzplitej”.

W gospodarce poprzedniego rządu „blisko 750 milionów zł. wpływów nadzwyczajnych poszło na wyrównanie deficytów budżetów”.

„Mielśmy przed rokiem w Banku Polskim na rachunku dewiz i walut 412 mil. zł., wszystko to zostało pochłonięte przez deficyt bilansu handlowego”.

„Likwidacja przeszłości i stworzenie zdrowych podstaw... nietyłem oparciem na murze ceł, ile na stworzeniu warunków rozwoju produkcji... i na poparciu wywozu całym aparatem środków, jakimi rozporządza państwo. Mamy wybór: wszystko dla produkcji, albo dalszy wzrost bezrobocia”.

„Nie dopuścić do dalszego wzrostu cen, użyć wszystkich sił, aby się mu przeciwstawić”.

„Stabilizacja kursu pieniądza na parytecie gospodarczym”, t. j. dozwoleństwo swobodnego, naturalnego ustosunkowania się kursu waluty do istotnej wartości i siły gospodarstwa krajowego, zamiast dotychczasowego beznadziejnego marnowania wielomilionowych sum na interwencję, celem sztucznego podtrzymania złotego na pełnym parytecie.

„Pieniądz pomocniczy, czy to hipoteczny, czy towarowy, czy państwowy, to zguba”, bo wprowadza inflację.

„Jeżeli nie mamy się stoczyć po pochyłej równi inflacji, to dobro państwa wymaga z żelazną konsekwencją redukcji budżetu o przynajmniej 500 milionów”.

„Podniesienie zdolności nabywczej naszego rolnictwa jest najważniejszym czynnikiem walki z bezrobociem przemysłem. To proste ujęcie zasadniczego problemu posłużyć może jako wytyczna dla sanacji głównych działów naszego życia gospodarczego”.

„Rolnictwo nie może istnieć bez kredytu długoterminowego... Rząd uwzględni w pierwszym rządzie tę potrzebę, używając w tym celu Banku Rolnego, Banku Gospodarstwa Krajowego, oraz prywatnych instytucji emisyjnych... Taka sama akcja dla przemysłu na podstawie obligacji Towarzystwa Kredytowego Przemysłu Polskiego, oraz przez potanieńnię kredytu krótkoterminowego Banku Gosp. Kraj. i poparcie eksportu wszelkimi środkami”.

„Należy przedewszystkiem usunąć te przeszkody, które leżą na drodze do rozwoju wytwórczości”.

Handel i wogóle pośrednictwo są u nas „nadmiernie rozwinięte, wskutek czego konsument jest jeszcze bardziej oddalony od producenta, niż to miało miejsce przed wojną. Tem się tłumaczy szkodliwa rozpiętość między cenami hurtowymi a detalicznymi”.

„Handel ma kalkulować w złotych i zarabiać w złotych”.

„Jeden z najbardziej dotkliwych objawów obecnego kryzysu gospodarczego spowodowany został wadliwą gospodarką nie-

których banków, które wobec braku własnych środków obrotowych, zużyły na operacje kredytowe także sumy, pochodzące z inkasa i przekazu (!!)... Rząd wniesie projekt ustawy, który wprowadzi obowiązek traktowania wpływów z inkasa i przekazów na zasadach analogicznych z depozytami".

„Toczy się walka między złotym, jako pojęciem ustabilizowanego pieniądza, a całą naszą dotychczasową ideologią polityczno-gospodarczą, która nadawała piętno wszystkim dotychczasowym rządóm od czasu odrodzenia państwa".

„Jeżeli będzie potrzeba środków na obezwładnienie szajki spekulacyjnej, których nasze ustawodawstwo nie przewiduje, to jestem pewien, że one będą uchwalone przez ciała ustawodawcze w ciągu 48 godzin".

„Produkcja prowadzi do równowagi budżetu, do usunięcia bezrobocia, do dobrobytu ludności. Na tym programie odbudujemy zaufanie wewnętrzne i oprzemy kredyt państwa".

Oto kwintesencja tego, co powiedział p. minister. Postawił sprawę jasno, odsłonił grozę położenia, nie wahał się zaakcentować, że „są pustki w skarbie" i że działały się „łajdactwa" na różnych polach naszej gospodarki. Wytknął trafnie podstawowe postulaty gospodarczego odrodzenia państwa, wskazał techniczne środki sanacji i zapowiedział wniesienie w krótkich terminach szeregu ustaw wykonawczych. Wskazał bardzo trafnie na piekące potrzeby jednych działów gospodarczych, reprezentujących produkcję, bez której sanacja nie jest możliwą, wytknął natomiast błędy i nadużycia w innych działach, reprezentujących tylko pośrednictwo towarem lub finansowe, których taktyka stoi w pewnym stopniu na przeszkodzie dziełu odrodzenia. Wypowiedział nam to wszystko z duszy p. minister skarbu, co każdy z nas dotąd przeżywał i doświadczał. Powiedział prawdę i wskazał prawdziwą technikę sanacji w zasadach i w szczegółach. A przede wszystkim jest to pierwsze exposé polskiego ministra skarbu, które opiera się nie na teorii i suchej tylko grze cyfr, ale na życiu i na niem też buduje program. I to właśnie ma największą wartość.

Znamy się już bowiem aż nadto na istotnej wartości tych wszystkich ciężko-naukowych skarbowych i ekonomicznych dygresji, któremi nas raczono poprzednio, wiadomo z jakim skutkiem. Wiemy, jak dalece praktyczne normy życiowe odbiegają dzisiaj, szczególnie w naszym kraju, od oficjalnych założeń i zamierzeń ekonomicznych i oficjalnych enuncjacji.

Wiemy, że w naszym codziennym życiu ekonomicznym dwa a dwa wcale nie równa się czterem. Sprawily to zniszczenie wojenne, inflacja, spekulacja, wybujały etatyzm, niedoświadczenie na polu samodzielnej nowoczesnej gospodarki, fałszywe pojęcia o konkurencji, wrodzona niechęć do organizacji, potem skutki nagłej stabilizacji i rozwielenożniona korupcja. To wszystko razem wzięte wywróciło w naszych sferach oficjalnych i prywatnych zdrowe, logiczne pojęcia o normach gospodarczych, udaremniając tem samem wszelkie dotychczasowe wysiłki sanacyjne. Dlatego słusznie wypowiada p. Zdziechowski walkę dotychczasowej ideologii polityczno-gospodarczej i zapowiada „likwidację przeszłości”. Tak, trwałe odrodzenie gospodarcze może się oprzeć tylko na całkiem nowych pojęciach i zasadach, obowiązujących nietylko politykę sejmu i rządu, ale w równej mierze banki, przemysł, handel i całe wogóle społeczeństwo.

I to jest, powtarzamy, najważniejsze w całym przemówieniu, ważniejsze od wszelkich fachowo-skarbowych czy gospodarczych szczegółów programu sanacji, które mogą być ostatecznie takie lub inne. Dlatego też wskazane przez p. ministra poszczególne środki sanacji, oszczędności, kredyty, pożyczka i projekty ustaw, uważamy wprowadzić za słuszne i konieczne, ale stosunkowo drugorzędnego znaczenia, bo nie będą w stanie wydać pożądaných rezultatów bez zasadniczej „zmiany ideologii” i „likwidacji przeszłości” w sejmie, rządzie, bankach i w całym życiu gospodarczym. A o tem nikt dotąd na serio nie pomyślał, nikt nie uczynił sobie z tego programu. I stąd fatalne pomyłki, stąd ta cała siedmioletnia syzyfowa, daremna praca, nie będąca w stanie powstrzymać katastrofy.

Jakież są te zasadnicze podstawy, na których zamierza p. Zdziechowski oprzeć swe dzieło odbudowy? Jest ich sześć:

- 1) dostosowanie budżetu do realnie osiągniętych dochodów,
- 2) wprowadzenie kredytu długoterminowego i obniżenie stopy procentowej,
- 3) moralna sanacja praktyki bankowej,
- 4) wprowadzenie zdrowego systemu zysków handlowych i wyeliminowanie zbędnego pośrednictwa,
- 5) podniesienie produkcji i eksportu, ze szczególnem uwzględnieniem rolnictwa,
- 6) odrodzenie wewnętrznego — a przez to i zagranicznego — zaufania do rządowej polityki gospodarczej.

Przeciw tym sześciu kardynalnym zasadom najbardziej dotąd grzeszono i tem tłumaczy się jałowość wszelkich reform. Usunąć te niedomagania, to znaczy usunąć dotychczasowe hamulce i umożliwić skuteczność szczegółowych projektów sanacyjnych. Jestto problem raczej psychologiczny, niż fachowo-ekonomiczny, i jest równoznaczny z przewartościowaniem psychiki całego społeczeństwa, a zwłaszcza jego miarodajnych sfer gospodarczych, urzędowych i prywatnych. W tem też leży jego skuteczność, ale zarazem i olbrzymia trudność, daleko większa od dobrego zorganizowania wpływów podatkowych lub uzyskania dużej zagranicznej pożyczki, większa nawet od zwalczenia głęboko niestety zakorzenionej korupcji i spekulacji. Tym bowiem hołdują tylko pewne ujemne żywioły w społeczeństwie, tamtym wszyscy.

Jeżeli więc p. minister Zdziechowski nie chce poprzestać na słowach, ale zapowiada „politykę czynów“, to uświadomić sobie musi, że wziął na barki ciężar ogromny, bo wypowiada walkę duchową całemu społeczeństwu. Musi powiedzieć sobie, że każdy — prawie bez wyjątku — z którym się styka, to jego wróg, którego musi dopiero nawrócić. Wrogiem jego każdy bankier, kupiec, przemysłowiec, urzędnik, kapitalista i nieprzejrzane chmary ludzi, żyjących z pośrednictwa. Wrogiem jego każdy, kto ma coś do stracenia i kto już nie ma nic do stracenia, ale chce zarobić. Wystarczy uprzytomnić sobie, co znaczą reformy w przytoczonych powyżej sześciu punktach na tle panujących dotąd suwerennie pojęć i zasad w społeczeństwie:

1) Dostosowanie budżetu do realnych dochodów, to znaczy olbrzymie redukcje w urzędach, skruszenie ideologii i gospodarki etatystycznej, „desocjalizacja“ państwa, selekcja najlepszych sił na stanowiska urzędowe, przełamanie wszechmocnego dotąd systemu demagogicznych protekcji i partyjnej rekrutacji na wszelkie ciepłe posady, odparcie partyjnych pretensji, wzmacnianych nieraz groźbą opozycji czy nawet rewolucji, zahamowanie realizacji wielu kosztownych eksperymentów socjalnych, usunięcie od władzy wszelakich ptaków niebieskich i ciemnych żywiołów i armji niewykwalifikowanych dyletantów i wyrzucenie na bruk gagatków różnych klik i stronnictw, którzy żerują na żywym ciele wskrzeszonego państwa i pchają kraj bezwiednie lub celowo w anarchję bezmyślnego radykalizmu — słowem, znaczy budowanie Polski bezprzymiotni-

kowej. To, a nie co innego, przynosi i narzuca w konsekwencji program realnego budżetu w naszych warunkach, jeżeli ma być wykonalny. Czy p. Zdziechowski temu podoła? Czy to istotnie zamierza? Jeżeli zaś nie zamierza i uważa zagadnienie to za czysto fiskalne, to zgóry możemy być pewni, że nic trwałego nie będzie w stanie dokonać.

2) Kredyt długoterminowy i niska stopa procentowa, to znaczy przede wszystkim wskrzeszenie inicjatywy twórczej, rozbudzenie interesu do nowych inwestycji, zwłaszcza w prywatnym życiu gospodarczym, zachęcenie banków i kapitalistów, aby zamiast pożyczać gotówkę na wysoki procent w krótkoterminowych obrotach, kierowali ją w rozszerzanie istniejących i tworzenie nowych warsztatów wytwórczych. Czy jest choć jeden człowiek lub jedna instytucja w państwie, którzyby zgodzili się dzisiaj na takie użycie swej gotówki? A o to przecież głównie chodzi, bo przeznaczenie kredytu długoterminowego jedynie tylko na podpieranie starych murów (t. j. forsowne utrzymywanie przy życiu dawnych przedsiębiorstw) na zasadach biurokratyczno-hipoteczných, do niczego nie prowadzi. Przekonał się rząd o tem chyba już dostatecznie, topiąc rok rocznie znaczne sumy na bieżące potrzeby warsztatów przemysłowych i rolnych, z wyłączeniem nowych inwestycji, co w niczem nie było w stanie powstrzymać katastrofy. Odrodzenie możliwe jest nie przez protekcyjne, trwożliwe wspieranie tego, co już jest, ale przede wszystkim przez zapładnianie nowego rozwoju, przez rozbudzanie w społeczeństwie inicjatywy twórczej, która zawsze najbardziej dostosowaną jest do aktualnych warunków. Na tę drogę pchnąć trzeba energię społeczeństwa i politykę władz i banków. To zaś właśnie pojęcie zostało poprzednim okresem z naszej psychiki całkowicie wyrwane i zniszczone. Słowo „finansowanie“ wykreślone zostało z polskiego bankowego i przemysłowego słownika, a ono przecież jest najwybitniejszym wyrazem długoterminowego kredytu, przynoszącego ze sobą zniżkę stopy procentowej.

Czy to chce p. minister naszym bankom i kapitalistom wytłumaczyć? Dobrzeby to było, ale — risum teneatis amici!

3) Umoralnienie polityki bankowej, pokrywa się mniej więcej z powyższem, a raczej będzie jego następstwem, skoro nasze banki akcyjne porzucą swą dotychczasową rolę kantorów dyskonta i wymiany, a staną się instytucjami finansowymi

i finansującymi w całym tego słowa znaczeniu, choćby z początku w skromnym zakresie. Będzie to miało niewątpliwie olbrzymi wpływ na publiczność i na giełdę i wielce zbawienny wpływ na życie gospodarcze, ale wymaga też podstawowego zwrotu polityki bankowej do tego właśnie życia, od którego się ona w ostatnich latach niemal całkowicie oderwała, ograniczając się do czysto pieniężnych obrotów, a przez to właśnie szkodząc i bankom samym i warsztatom wytwórczym i zdrowemu rozwojowi gospodarstwa krajowego.

4) Zdrowy system zysków handlowych i ograniczenie pośrednictwa. Punkt ten jest kapitalny i od niego musi się zacząć praktycznie sanacja gospodarcza. W tem tylko miejscu przerwaniem być może najskuteczniej błędne koło, w którym obracamy się beznadziejnie od lat siedmiu, bo tu styka się bezpośrednio sprzedawca z konsumentem i normują się praktycznie ceny, wywierając w konsekwencji wpływ na wysokość kosztów życia i produkcji. Punkt ten znaczy ni mniej ni więcej, tylko zaprowadzenie w Polsce obowiązującego w całym cywilizowanym świecie systemu „małych poszczególnych zysków przy dużym obrocie” na miejsce panującego u nas dotąd wszechwładnie systemu robienia majątku odrazu na pierwszym kliencie i pierwszym funkcie towaru, oczywiście z tym skutkiem, że odstrasza się dalszą klientelę i podcina się sobie rozwój interesu. Ten to nieszczęśliwy system naiwnej chciwości, usiłujący wykorzystać nadmiernie każdą chwilową okazję, bez względu na jutro, jest największym hamulcem naszego handlu i głównym bodźcem zwyczaj cen. Wystarczy, że garstka spekulantów podbije chwilowo kurs dolara, albo że śnieg spadnie lub zbliży się jakieś święto, aby kupiectwo nasze podbijało zaraz swe cenniki. I nietylko kupcy tak robią, ale wogóle wszyscy, którzy cośkolwiek mają na sprzedaż, towar czy świadczenia osobiste, a więc i wszystkie wolne zawody unisono. A potem skarżą się na ciężkie czasy i drożyznę — dzieło rąk własnych! Dopełniają złego legjony pośredników, absolutnie zbędnych pasożytów, których całe grona uwieszają się przy transakcjach, zwłaszcza poważniejszych, a szczególnie eksportowych, uniemożliwiając je absurdalnie wyśrubowanymi żądaniami.

Strasznie twardy to orzech, ale jeżeli go p. minister nie zgryzie, to niewiadomo, czy nie runie cały jego program gospodarczy.

Ostatnie dwa punkty, 5) i 6), łączą się w swej istocie i konsekwencjach w jedną całość, a nadto mają ścisły związek z poprzednimi i to jeszcze specjalne znaczenie, że dotyczą nietylko zmiany ideologii społeczeństwa, ale poruszają przytem mimo-woli pewną zasadniczą nutę, która zresztą nie zabrzmiała wyraźnie w przemówieniu p. ministra. A nuta ta będzie właśnie probierzem przyszłości i rezultatów programu p. Zdziechowskiego.

„Podniesienie produkcji, eksportu i rolnictwa i odrodzenie zaufania do gospodarki rządu“, czego zewnętrznym wyrazem i miernikiem ma być wysokość kursu waluty, ustabilizowanej na „parytecie gospodarczym“.

Trudno osądzić na razie, czy p. minister zdał sobie dokładnie sprawę z istotnych konsekwencji tej części swego programu i czy tylko ze względu na swych sejmowych słuchaczy nie wypowiedział się wyraźniej, czy też wyobraża sobie realizację powyższych postulatów w sposób czysto mechaniczny? Bo związek logiczny, w nich zawarty, jest taki:

Jeżeli waluta ma się utrzymać na pewnym stałym kursie, nie podtrzymywanym sztucznie, ale uzależnionym swobodnie od tętna i rozwoju życia gospodarczego, to oczywiście należy stworzyć w kraju takie warunki dla tego rozwoju, aby istotnie mógł utrzymać się i wzrastać, inaczej bowiem spadać będzie i kurs waluty, przyspieszając wzajemnie tempo upadku produkcji. P. minister trafnie odkrył ten naturalny związek, ale czy zechce i zdoła wyciągnąć z niego praktyczne wnioski? Bo jakże może się utrzymać i podnieść rozwój gospodarczy państwa (notabene pozbawionego wszelkich rezerw i zbiedzonego niemal do ruiny!) przy dotychczasowym bezmyślnym, wyścigowym radykalizmie, programowem obniżaniu wydajności pracy, panowaniu i gospodarce elementów niewykształconych, znoszeniu prawa własności, rozwinięciu walki klasowej, progresywnym etatyźmie i prohibicji, oraz ogarniającej wszystko korupcji? Jakie hasło wybiera p. minister: czy naprawdę, jak twierdzi, „Wszystko dla produkcji!“ — czy też „Wszystko dla zdobyczy ludowych!“ Bo jeśli by sądził, że można wybrnąć z tego problemu jakąś pośrednią drogą i jedno z drugim pogodzić, byłaby to pożałowania godna pomyłka, która zepchnęłaby wnet jego program na dawne, beznadziejne tory.

I w tem właśnie leży sedno sprawy i praktyczna wartość zamierzeń p. Zdziechowskiego. Merytorycznie najśluszniejsze,

ujmują tralnie podstawowe bolączki gospodarstwa krajowego, ale brak w nich czegoś, co natchnąłoby mogło kraj i zagranicę ufnością w ich wykonalność, co przekonałoby mogło wszystkich, że odtąd będzie inaczej, że następuje istotnie stanowczy zwrot ku odrodzeniu. Wydaje p. Zdziechowski walkę całej naszej teraźniejszości i przeszłości, atakuje wszystkie forty rozrzutności, spekulacji, fałszywych pojęć i korupcji, ale omija dyplomatycznym milczeniem główną twierdzę i kuźnię chronicznej katastrofy gospodarczej: radykalizm i jego tak zwane zdobycze. Te pozostają więc nadal nienaruszalnem tabu polskiej myśli politycznej i gospodarczej, ze wszystkimi ich konsekwencjami w praktyce. Na nich to oparł wyraźnie swój program p. premier Skrzyński, sądząc z jego przemówienia, na nich też wspiera się widocznie i gmach programowy p. minister skarbu. Walczą oni z drobnymi szkodnikami, którzy spekulują na czarnej giełdzie, ulegają zaś wielkim, którzy spekulują całą ojczyzną!

Okazuje się to praktycznie, między innemi, choćby w projektowanych redukcjach budżetu, które dotyczą wszystkiego, tylko nie „zdobyczy ludowych”. Obcina się nawet o 150 milionów budżet wojskowy w kraju, strategicznie tak eksponowanym, jak Polska, pozostawiając natomiast nienaruszone wielce kosztowne, a całkiem zbędne wydatki na trzy ministerja, pracy, robót publ. i reform rolnych, które doskonale możnaby zredukować do rozmiarów departamentów lub nawet wydziałów, oraz na różne urzędy i instytucje, które są tylko wyrazem walki klasowej, nakładają na ludność ciężary, a nie przynoszą jej żadnego realnego pożytku.

Inny przykład podobnego rodzaju daje nam „zasadniczy problemat” p. ministra, mianowicie projektowane przez niego podniesienie przemysłu przez wzmożenie siły nabywczej rolnictwa. Czy zamierza p. minister wzmóżyć tę siłę zapomocą przymusowej parcelacji, dzieląc ziemię między niewykształcone masy, znosząc tem samem wyższą uprawę roli, dając wydziedziczonym jej właścicielom prawie bezwartościowe listy zastawne Banku Rolnego (pieniądz hipoteczny!?) i pozbawiając de facto pracy i zarobku wielkie rzesze oficjalistów i służby folwarcznej? Tym systemem mają ruszyć z miejsca nasze zagwożdżone fabryki i wzrosnąć ma „zaufanie wewnętrzne do gospodarki rządowej”?

I dlatego, przy całym uznaniu dla fachowej strony exposé p. ministra, wolno nam jednak, na podstawie siedmioletniego, dotkliwego już doświadczenia, postawić wielki znak zapytania nad jego skuteczną realizacją i nad każdą wogóle akcją sanacyjną, tak długo, dopóki dzieło odrodzenia ojczyzny nie uwolni się z pod supremacji doktryn i eksperymentów socjalno-radykalnych, stając pod sztandarem wyższej cywilizacji i kultury, a zatem i niehamowanych ochłokratycznymi zastrzeżeniami zasad ekonomji i praworządu. W tem leży także warunek uzdrowienia wypaczonych poprzednim okresem pojęć gospodarczych społeczeństwa, bo jaka polityka, taka i gospodarka.

Woła p. minister: „Jeżeli naród polski nie skoordynuje swego wysiłku nie tylko w hasłach, czy formułach, ale w czynach, to ostrzegam, że runie podstawa finansowa Rzplitej“. Możemy odpowiedzieć: „Jeżeli rząd polski nie skoordynuje swego wysiłku w kierunku zwalczenia haseł i formuł radykalizmu, to ostrzegamy, że runą podstawy nie tylko gospodarki, ale i egzystencji Rzplitej!“

2 stycznia 1926.

NA PRZEŁOMIE NOWEGO ROKU.

Spółeczeństwo nasze przeszło od siedmiu lat już przez tyle doświadczeń, kryzysów, strat i zawodów, że odnosi się obecnie do każdego projektu reform i do każdej akcji sanacyjnej, nawet pomyślnie rozpoczętej, ze zrozumiałym sceptycyzmem. Nie imponuje mu już i nie zapala go program gospodarczy żadnego ministra ani stronnictwa, żadna oficjalna enuncjacja, żadna pomyślnie ułożona statystyka, żadna wiadomość o kredycie zagranicznym, choćby największym. Nie podnieca go już żaden nowy rygor podatkowy czy prohibicyjny, wywołując co najwięcej wzruszenie ramion. Zużyły się i starły i zapał ofiarny i lament nad stratą materialną i początkowy rozmach gospodarczy w walce z kryzysem i chęć współdziałania z rządem w uzdrowieniu finansowem państwa i wiara w kolejnych lekarzy. Nic nas już nie oburza i nie ożywia. Popadliśmy w stan apatji, niewiary i obojętności na wszystko, który najtrafniej ze

wszystkich języków określić można zwrotem niemieckim: Wir lassen Alles über uns ergehen, aber es lässt uns ganz kalt!

Z tem liczyć się musi każdy nowy minister, przystępujący z młodzieńczą wiarą i energią do dzieła sanacji gospodarczej, a raczej podejmujący ją na nowo po szeregu swych poprzedników. Jestto względ niezmiernie ważny. Wiadomo, że wiara działa cuda, a tej wiary — w dotychczasowym toku rzeczy — nikt już u nas nie znajdzie. Nie pójdziemy za żadną obietnicą. Zbyt wiele mamy już za sobą praktycznego doświadczenia. Gdyby urządzić w społeczeństwie ankietę nad kwestją, jaki dział wiedzy jest stosunkowo najbardziej rozpowszechniony i spopularyzowany we wszystkich warstwach, to okazałoby się niezawodnie, że mamy dziś w Polsce najwięcej „ekonomistów“, którzy wcale nieźle zdają sobie sprawę z sytuacji i niezbędnych warunków jej poprawy. Niemasz już w kraju patriotów gospodarczych, gotowych do poświęceń, bo wszyscy wiedzą, że się to w danych warunkach na nic nie zdaje. Na wszelkie odezwy odpowiada głuche milczenie. Żadna akcja ani subskrypcja nie ma najmniejszych widoków powodzenia. Ogół uznaje już tylko jedną „zasadę“ ekonomiczną: dolary!

Ten stan naszej wewnętrznej psychiki gospodarczej odbija już nawet jaskrawo od opinii, jaką ma o nas zagranica. Opinia ta jest lepszą od naszej własnej, zwłaszcza wobec dotkliwego przesilenia, jakie przechodzą inne państwa, w pierwszym rzędzie Niemcy i Rosja. Tam jednak społeczeństwo walczy jeszcze z kryzysem, wysila się na środki zaradcze, współdziała z rządem. My natomiast spoglądamy już apatycznie i sceptycznie z galerji na zmieniającą się scenerję pomysłów i zmagañ rządowych, w których skuteczność nikt już naprawdę nie jest w stanie uwierzyć. Milczą nawet najwięksi zawodowi optymiści, w obawie kompromitacji zbytnią łatwowiernością.

A przecież akcja obecnego rządu powinna uprawniać w pewnym stopniu wiarę w rezultaty. Zahamowano wybujałości poprzedniej gospodarki oficjalnej, wypowiedziano zaciętą walkę nadużyciom i spekulacji, redukuje się budżet na serjo, sprowadza zagranicznych ekspertów, perspektywa wielkiej pożyczki bliższą jest, niż kiedykolwiek przedtem. Przede-wszystkiem zaś wniesione przez rząd ustawy sanacyjne i jego zarządzenia mają charakter bez porównania więcej życiowy, niż za wszystkich rządów poprzednich. Złoty spadł nieco ze sztucznie podtrzymywanej wysokości parytetu złota i zatrzy-

mał się na „parytecie gospodarczym“, wykazując disagio, może z początku bolesne, ale lepiej odpowiadające obecnej sile gospodarczej państwa, co powinno ożywić eksport, a za nim produkcję.

Jest więc nie najgorzej: względna zgoda w kraju, której symbolem jest „koalicja“, równowaga budżetu, oszczędności, ulgi podatkowe, partytet gospodarczy, czynny bilans handlowy i dr. Kemmerer, a za nim złotodajne kontury Bankers Trustu. A jednak nikt naprawdę nie chce wierzyć w poprawę.

Dlaczego? Bo społeczeństwo, we wszystkich warstwach bez wyjątku, nauczyło się jednak czegoś w ciągu siedmiu lat chudych. Nauczyło się refleksji i nie wierzy już w hasła. Każdy już dzisiaj analizuje i porównuje na zimno. Robi to i urzędnik i ziemianin i przemysłowiec i kupiec i chłop i robotnik. Politykowanie straciło na kursie i wykazuje również „disagio gospodarcze“. Ani narodowiec, ani ludowiec, ani socjalista nikogo już dzisiaj nie przekona i nie poruszy. Nie uwierzy w to dzisiaj nikt, nawet bezrobotny lub bezrolny, aby kilka mówek wiecowych lub sejmowych i hasło partyjne były w stanie zrobić... dolary! Nie uwierzy nikt, że właśnie pod reżimem endeckim, czy piastowskim, czy wyzwolenicznym, czy socjalistycznym, czy jakimkolwiek innym, mają spaść ceny, napełnić się kieszenie i zmniejszyć bezrobocie. Polityka wygrała swoje i zrobiła stanowcze fiasko. Nudzi nas już jałowy i szkodliwy kołowrót frazesów.

A jednak są jeszcze ludzie, garstka wobec narodu, którzy nie dają za wygraną i trwają przy swoim z uporem, godnym zaiste lepszej sprawy. Siedem lat daremnych zmagania i przykłady światowe, od Ameryki do Rosji, nie nauczyły ich niczego. Trwają ciągle przy mirażu, że dobrobyt państwa buduje się hasłem socjalnem i nakazem i chcą à outrance przeciw wiatrowi żeglować. Chcą odtworzyć zniszczony polski kapitał systemem nawskroś antykapitalistycznym i wierzą (sądzimy!) w realność tego programu. W pocie czoła skuwają ze sobą przeciwności, nie bacząc na to, że może im się i ten aliaż w rękę rozleci i młot i kowadło.

Prawie trzysta lat potrzebowała dawna Polska, aby przełamać upór zasady liberum veto, chociaż zgubny jej absurd każdy rozumiał i dokonała tego dopiero poniewczasie, w obliczu rozbiorów. Iluż lat potrzeba będzie, aby wyklarować naszym kierownikom i reformatorom, że dogadzaniem chimery partyj-

no-doktrynerskim, tępieniem prawa własności, zysków indywidualnych, swobody obywatelskiej i poczucia praworządności, oraz trwożliwą polityką skuwania rozumu z absurdem, niczego się nie stworzy, oprócz coraz większej nędzy, a w ślad za nią anarchji!

A pod tym względem nic się niestety nie zmieniło. Rząd wydał nowe ustawy przeciw spekulacji, ale nie wyrzekł ani jednego słowa, któreby natchnęło sumienie pracujących obywateli lepszym duchem i wiarą we własną ojczyznę. Redukuje się żołnierza i pensje wdów i sierot, ale ani jeden grosz nie został obcięty z budżetu błogosławieństw socjalnych — wprost przeciwnie. I nikt w sferach miarodajnych nie miał odwagi pisać o tem słówka! Idea wyższej kultury i cywilizacji, którą każde państwo stoi, nie otrzymała najmniejszego bodźca, najmniejszej zachęty. Nie otrzymały ich też ani inicjatywa prywatna, ani chęć intensywniejszej pracy. Program sanacji jest czysto techniczny, o zabarwieniu wybitnie radykalno-socjalnem. Nic z tego wszystkiego, co spowodowało w istocie dzisiejszą katastrofę, nie zostało usuniętem, przeciwnie, wyraźnie je jeszcze utrwalono.

I dlatego całe społeczeństwo — śmiało to stwierdzić można — oprócz nielicznych sfer, zaangażowanych w programie, nie może wierzyć w rezultaty. Jedni przyznają to otwarcie, inni myślą i milczą. Nie wierzą nawet w d-ra Kemmerera i w Bankers Trust, bo w takich warunkach i dolar będzie bezsilnym.

Obyśmy się mylili! Oby ten Nowy Rok przyniósł nareszcie zwycięstwo zdrowej myśli i odwagi cywilnej!

13 stycznia 1926.

OSTATNIA CHWILA.

Prasa i wieść publiczna w kraju głoszą niezwykłą grozę sytuacji, nie tylko gospodarczej, ale przede wszystkim wewnętrzno-politycznej, przepowiadając ostatecznie zwycięstwo rodzinnego bolszewizmu, może nie krwawe, ale niemniej nieuchronne.

Nie wdając się w analizę tych głosów i sądów, stwierdzić tylko możemy, że położenie jest istotnie fatalne. Bez uciekania

się do wzbudzających sensacyjny dreszcz rewelacji, wystarczy samo skonstatowanie z jednej strony coraz głębszego upadku wszelkiego autorytetu wyższej kultury, niemal oficjalnie proskrybowanej i prześladowanej, oraz zdrowych pojęć społecznych i gospodarczych, z drugiej zaś takiego zaniku moralności, że nie wiadomo, kto w końcu w państwie nie będzie siedział pod kluczem? To samo jedno wystarczy za wszystko, tłómaczy wszystko i usprawiedliwia najbardziej pesymistyczne horoskopy. Bo czyż w takich warunkach generalnego upadku moralności i opinii publicznej są możliwe racjonalne rządy państwa i jakakolwiek reforma sanacyjna?!

Nie można pominąć milczeniem tego zjawiska, że wśród warstw, reprezentujących wyższą cywilizację i wyższe poczucie moralności i porządku, szerzy się coraz wybitniej tendencja emigracyjna, zrodzona beznadziejnością położenia, niemożebnością owocnej pracy, obawą przed wywrotem i pewnem uczuciem repulsywnem wobec własnej ojczyzny, które zaczyna już niemal górować nad tradycyjnym patriotyzmem. Bo zaprawdę, gdy komuś ojczyzna programowo jest zohydzana, gdy przedstawia mu się na każdym kroku jako zachłanna nacocha, traktująca go jak wroga i pragnąca wydziedziczyć go ze wszystkiego, deptająca naturalne jego przywiązanie i zapal do pracy i uczucia i wartość społeczną i zasługę, gdy zraza go ustawiczny widok progresywnego warcholstwa i bezmyślnego radykalizmu, hołdującego najniższym instynktom tłumu — to próby takiej nie wytrzyma à la longue najwytrwalszy nawet patriotyzm. Dlatego też lepsze elementy w kraju, czując się coraz więcej uciskanymi i obcymi na własnym gruncie, spoglądają poza granicę. Wielu już milczkiem się wynosi, pozostawiając arenę dla gry mniej wartościowych lub nieodpowiedzialnych żywiołów. Wypędza ich świadomość, że ich kultura i praca są w pogardzie, że uważani są za wrogów państwa i „ludu”, że więc zniszczenie ich jest w programie nowoczesnej polskiej myśli państwowo-twórczej.

Ta emigracja inteligencji, zdrowych pojęć i uczciwej pracy, emigracja najlepszych i najtęższych żywiołów z kraju, wyzwolonego niedawno z wiekowej niewoli, bogatego z natury i otwierającego dla wszystkich wielkie pole działania, to najgroźniejsze zjawisko doby obecnej, najbardziej druzgocący rezultat naszego „demokratycznego postępu”. Po powstaniach emigrowano z ojczyzny przed najeźdźcą, pozostawiając w niej

duszę i serce, dziś ucieka się przed ojczyzną z uczuciem jak-gdyby wyzwolenia. A ci, którzy tego jeszcze uczynić nie mogą, spoglądają na to z zazdrością, oczekując z trwogą wypadków.

Czy to nie straszne i czy nie powinno wzbudzić jaknajenergiczniej reakcji? Co będzie z Polską, jeżeli ruch ten przybierze w rozmiarach? Silna patriotycznie idea polska przetrwała zwycięsko stuletnie burze i prześladowania. Ale co będzie, gdy ta idea się załamie, gdy zniszczy się w Polaku przywiązanie do kraju, ziemi, pracy ojczystej, kultury i tradycji, stawiając na to miejsce coraz to skrajniejsze „zdobycze ludu“?

Trzeba ratować póki czas, bo jutro może być zapóźno. A najpierw wyrwać przyczynę złego. Nie leży ona bynajmniej w szerokich masach ludu. Trudno nam nawet zbyt obwiniać te pewne rozpętane, warcholskie żywioły, które rzucają wciąż w masy zarzewie. Daj szalonemu pochodnię do ręki, a oczywiście pożar wzniesi. Dlaczego nie mają szaleć i żerować różne żywioły, kiedy im nikt tego nie broni? Wina leży w wyższych warstwach narodu, które, jakimś nieokreślonym strachem opętane, składają broń, ustępując placu każdemu, kto go zająć zechce. co więcej, potęgują i podsycają jeszcze rozpasanie małoduszną kapitulacją i oklaskiwaniem każdego ulicznego pomysłu. Enuncjacje i czyny poważnych stronnictw i poważnych jednostek nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości w tym względzie. Bo któż wydał rządy nowo wskrzeszonego państwa na samym początku w ręce skrajnego postępu? Kto spowodował pierwszą uchwałę reformy rolnej ucieczką przed głosowaniem? Kto powtarza dzisiaj najgłośniej (oczywiście ze strachu), że ona musi być wykonana? Kto usuwa się gremjalnie od czynnego udziału i wpływu na życie państwa? Kto nie jest w stanie wytworzyć, mimo wszelkich swych sił i atutów, odpowiedniej politycznej, społecznej i finansowej organizacji. Kto patrzy bezczynnie na to, co się w kraju dzieje, dumny widocznie ze swej splendid isolation? Kto powiedział niedawno (sam w to nie wierząc) wśród burzliwych oklasków prawicy i lewicy, że trzeba podkarmić w Polsce kapitalizm, aby go potem razem ze socjalistami stłumić? Kto poddaje się pokornie komendzie każdego tupnięcia nogą wbrew najżywotniejszym interesom kraju i własnym?

Czy robi to chłop? czy robotnik? czy radykał? czy bezrobotny? Nie, to robi polska inteligencja, w naiwnem przekonaniu zaskarżenia sobie łaski tłumu. Każda warstwa, każde ugru-

powanie broni swych interesów i stara się je przeforsować. Boi się tego tylko nasza inteligencja, zwłaszcza wyższa, zdając los swój na grę żywiołów lub conajwięcej wypożyczając sobie skądinąd wątpliwych adwokatów.

Wykształcony Polak nie lubi więzów organizacji i dyscypliny, ani skoordynowanego działania. Jest sobie każdy „sobiepanem”. Dzieli nadto inteligencję naszą z czasów przedwojennych i wojennych niezliczone „orientacje” i różnice przekonań politycznych, dzielnicowych, zawodowych i zaściankowych, dzisiaj już absolutnie bezprzedmiotowe, ale niestety tak silne, że niejeden woli się w domu zamknąć lub pójść na służbę partji, wrogiej jego interesom, byle tylko nie podać ręki ludziom własnej sfery. A przecież interes wszystkich warstw wyższych, ziemian i przemysłowców i kupców i ludzi nauki lub rozlicznych wolnych zawodów, jest teraz jeden i ten sam i bezpośrednio w podstawach swych zagrożony. I tylko niesłychane zróżniczkowanie i śmieszna kazuistyka „przekonań”, nie sięgających zwykle poza dzisiaj i poza płot własny, uniemożliwiają porozumienie i niezbędną organizację tej właśnie sfery, która — jedna jedyna — reprezentuje zdawna najczystsza ideę narodową, bez zastrzeżeń chciwych kastowych korzyści, skrajnie pojętych i za wszelką cenę zdobywanych. W tej sferze przecież istnieje jeszcze Polska jako taka, nie zniekształcona niską, materialną zachłannością, nie ludowa, nie chłopska, nie socjalistyczna czy proletarjacka, ale Polska bez przymiotnika.

Tę Polskę obronić i utrzymać przed drapieżną łapą jest obowiązkiem i postulatem honoru sfer wyższych, jeżeli są zdolne i godne egzystencji.

Grzech śmiertelny popełnia się nietylko słowem i uczynkiem, ale i zaniedbaniem dobrego. I to ostatnie jest często szkodliwsze od innych. Zły czyn bowiem wywołuje odrazę i reakcję, zaniedbanie zaś tylko próżnię, którą wypełnia wnet panoszące się warcholstwo. Oto cała tajemnica naszej obecnej tragedji. Stąd ten bezkarny wzrost demagogji, radykalizmu, konspiracji, korupcji i absurdu, stąd ciągle ta niesamowita sytuacja, niepewność jutra, majaki rewolucyjne lub dyktatorskie różnych elementów i nędza ekonomiczna i nonsensy ustawodawcze i administracyjne, słowem — kiereńszczyzna. Brak w narodzie kości pacierzowej, oporu anarchji i czynnika różnowagi.

Czas już chyba ostatni stworzyć go, wobec rosnącej anarchii i nędzy społecznej i grożącego rozkładu, a w perspektywie bolszewizmu. Czas ostatni skupić w walce z demagogią i anarchią tych wszystkich, którzy jedno mają zapatrywanie na ojczyznę, praworządność, moralność i konieczność uczciwej pracy. Czas wyzwolić wszystkich patriotycznie i prosto myślących z pod narzuconej opieki różnorodnych ugrupowań i fałszywych proroków, którzy rosną naiwnością ziomków. Własne trzeba stworzyć stronnictwo, dostosowane do prawdziwych potrzeb ludzi o wyższej kulturze i umiarkowanym światopoglądzie, do istotnych wymagań epoki, dobra państwa i zdrowego rozsądku, silnie zorganizowane politycznie i gospodarczo. Nie chodzi tu o interes żadnej grupki, żadnej kariery, ale o los setek tysięcy (jeżeli nie milionów) najbardziej wartościowych dla kraju obywateli, o los państwa, jego ideałów i cywilizacji.

Nie potrzeba i nawet nie należy kombinować zbyt wyśrubowanych programów, bo chwila zbyt jest poważną, a program jasny i prosty narzuca się sam przez się: obrona cywilizacji, autorytetu, praworządności, spokojnej pracy twórczej i silnego bytu państwowego, a zdecydowane zwalczanie radykalizmu, absurdu, korupcji, etatyzmu i nieodpowiedzialnych eksperymentów, importowanych ze wszystkich stron świata lub wykombinowanych przez naszych domorośłych karierowiczów demagogicznych jako wyraz rzekomej „woli ludu”.

To wszystko! Nie potrzeba pompacyjnej terminologii, ani uczonych frazesów. Każdy dobrze rozumie, o co chodzi. Reszta, to już tylko naturalna konsekwencja tego programu: silny, fachowy rząd, silna armja, uregulowany skarb, swoboda pracy i ruchu i — spokój. A koniecznym warunkiem jest gruntowne oczyszczenie wszystkich placówek pracy narodowej ze śmiecia, naniesionego siedmioletnim systemem stajni Augiasza. Niechże raz to, co jest mądrym, będzie mądrym nazwane, a co głupie, głupiem, a nie przeciwnie, jak dotąd! Niechże nam nie każą cieszyć się własną stratą, apoteozować zbrodni, wielbić analfabetyzmu lub nonsensu. Nie po to odzyskalismy niepodległość, aby popaść w stokroć gorsze i bardziej upokarzające więzy własnej demagogji, terroru, zaboru mienia i niewoli społecznej.

Zginać muszą oczywiście drobnostkowe różnice zapatrywań, które w danych warunkach są samobójstwem. Powstać musi jeden wielki obóz narodowej pracy, złożony z tych wszystkich,

którzy poczuwają się do jakiejś współodpowiedzialności obywatelskiej, stoją w opozycji do panujących stosunków i chcą być nareszcie wolnymi obywatelami, a nie lalkami w rękę ciemnych lub warcholskich żywiołów.

Inicjatywa, rzucona w tym kierunku śmiało a poważnie, napotka bez żadnej wątpliwości tłumy zwolenników ze wszystkich warstw społeczeństwa, o ile zerwie z balastem przeszłości, a stanie na aktualnym gruncie. Tysiące zmaltretowanych i zniechęconych doświadczeniami minionego okresu czekają tylko na hasło. Inicjatywa taka przetnie też odrazu wszelkie machinacje i konspiracje demagogiczne, dyktatorskie, sielankowo-ludowe, bolszewickie, rabunkowe czy inne, wyrosłe wyłącznie tylko na gruncie karygodnej słabości i dezorganizacji lepszych elementów. Nie bójmy się rewolucji! Żadnej nie będzie. To strachy na Lachy w całym tego słowa znaczeniu. Rewolucja wybucha tylko wobec słabości, nigdy wobec objawu rozumnej, zorganizowanej siły. Sprowadzić ją może dalsze brnięcie w dotychczasowej demagogji i nędzy, ale nie energiczny zwrot na lepsze. A gdy ten zwrot nastąpi, wówczas i sanacja gospodarcza całkiem inne zyska podstawy i gwarancje.

Dzieje się to już w różnej formie w innych państwach. My, którym tego najbardziej potrzeba, wciąż jeszcze czekamy, niewiadomo, na Mussoliniego czy Lenina? Podnieśmy się, pora dobra, czas ostatni!

30 stycznia 1926.

JAK DŁUGO JESZCZE?

Jesteśmy bezsprzecznie w fazie ciekawego a ryzykownego eksperymentu. Po raz pierwszy za wyjątkiem krytycznego momentu inwazji bolszewickiej, skoordynowały się najwpływow-sze w państwie stronnictwa, celem wytworzenia silnego rządu pod hasłem zgody powszechnej i sanacji gospodarczej. Niewiele było takich prób w naszej historii i zawsze krótko trwały. Czy się obecna powiedzie?

Ryzyko teraźniejszej konstelacji leży w niezwyklej rozpiętości przekonań, które zszeregowały się chwilowo pod wspólnym sztandarem: od konserwatyzmu do socjalizmu, Zachowawca, narodowy demokracja, ludowiec i socjalista zasiedli przy wspólnym stole mi-

nisterjalnym. Tego jeszcze dotąd nie było. I mimowoli narzuca się pytanie: Czy idea koalicji okaże się dość silną, czy też, gdy doprowadzi nawet państwową do pewnego punktu, zaleją ją samą flukta, wypiętrzone z jej własnego łona? That is the question.

Przyznać trzeba, że gospodarczo zdaje się działalność koalicji, jak dotąd, pomyślnie zapowiadać. Dotychczasowe zarządzenia ratunkowe wydają się istotnie celowe, bilans handlowy przynosi bardzo poważne, wzrastające nadwyżki. Wypowiedziano zaciętą walkę korupcji. Realizuje się zasada: „według stawu grobla” z widocznym uznaniem zagranicznej finansjery, która też zaczyna bardziej na serjo, niż dotąd, z nami traktować. Panuje jeszcze trzaskająca bieda, ale mniej dzieje się absurdów i mniej rozprawiają ludzie o sanacji gospodarczej i obecnym ministrze skarbu, niż o jego poprzednikach. Może właśnie dlatego mniej mówią, bo czują, iż się coś rzetelnego robi. Ale to tylko wrażenia, nie przesądzajmy wypadków. Wszak jesteśmy już tak doświadczeni!

Natomiast na innych polach źle się dzieje. Tego już niema co ukrywać. Zdaje się, że wszyscy są w tem zgodni, a i ci, co pozornie „dla partyjnego honoru” nie są zgodni, słabo tylko bronią swego stanowiska. Flukta koalicji zaczyna już wzbierać i przelewać się przez brzegi. Przełały się najpierw przez nasze wschodnie granice, w kierunku Sowdepji. Nasza „deputacja parlamentarna” wróciła olśniona porządkiem moskiewsko-komunistycznym. Padły w Leningradzie i gdzieindziej słowa zachwyty przedewszystkiem nad tem, jak dobrze i sprawiedliwie dzieje się Polakom w Rosji. Prosty stąd wniosek, że tak samo powinno się im dziać i w Polsce!

W kraju ferment. Koalicyjny rząd staje co krok wobec sytuacji i wypadków, którym trudno mu zaradzić, bo są logicznym rezultatem i piodem skrajnego kompromisu, koncepcji łączenia i godzenia wszystkiego ze wszystkim, nawet tego, czego ani w niebie, ani na ziemi złączyć niepodobna. Godzenie wszystkiego ze wszystkim — wszak to równoznaczne ze zgadzaniem się na wszystko. Trzeba więc puszczać płazem coraz zuchwalsze wybryki różnych enfants terribles, skoro one przecież należą do podpór obranego i panującego systemu. Nietylko płazem trzeba puszczać, ale nawet milczeć, mimo, że wywoływać to musi w społeczeństwie wrażenie, jakgdyby wszystko to, co się dzieje, należało istotnie do obranego systemu.

Rozzuchwalają się różne domorośłe ambicje, z których każda ma w zanadrzu specjalną Polskę, na własną modłę. Jakież różne są te zakonspirowane Polski od rzeczywistej! Chcąc każdą z nich zrealizować, trzeba by przynajmniej trzy czwarte istniejącej Polski zniszczyć i stworzyć na jej miejsce jakiś twór, którego by z pewnością nie poznali nawet własni jego projektodawcy. Wszystko to się cierpi i znosi w nadziei, że się to „jakoś samo uspokoi”.

Mnożą się strajki, coraz absurdalniejsze, z lada drobiazgowego powodu, inscenizowane już nawet przez partje, wcale nie najskrajniejsze pod względem politycznym czy socjalnym. Strajkuje się za lada kaprysem jakiegoś prywatnego komitetu, mającego pretensje kontrolować i zmieniać autorytatywnie zarządzenia legalnych władz. Strajkują mężczyźni, strajkują kobiety i panienki, niezadługo będziemy mieli może strajk dzieci w ochronkach. Tworzą się w kraju podwójne rządy — obok jawnych tajne. Cóż z tego, że policja zdziera tu i ówdzie plakaty komunistyczne. Te z pewnością mniej są szkodliwe od postępowego, ewolucyjnego bolszewiczenia coraz szerszych i coraz wyższych warstw społeczeństwa.

Kronika codzienna roi się od oszustw i skandali. Kraj zamienia się w bagno. Gdzie stąpić, tam błoto. System demagogicznej selekcji i klikowej protekcji na odpowiedzialne stanowiska wydawać zaczyna w całej pełni rezultaty. Inaczej też być nie może. Niezadługo zapewne drukować będą gazety, jako curiosa, sylwetki osób, którym jeszcze niczego nie można zarzucić, z podpisem „podejrzany osobnik”.

I w takiej sytuacji, w takim nastroju, ma nastąpić reforma gospodarcza, odrodzenie państwa, uobywatelenie ludu, wzmocnienie mocarstwowego stanowiska Polski?! Błogosławieni ubodzy duchem...

A ci, którzy to widzą i zdają sobie z tego dobrze sprawę — milczą. Milczą i zajmują się z mrówczą skrzętnością i egoizmem drobnymi osobistymi interesami z dziś na jutro. Trzymają się wytrwale zasady „nieinterwencji” w sprawy ogólne i publiczne, nawet pod groźbą, że jutro wogóle już może nie będą mieli sposobności jakimikolwiek interesami się zajmować. Zaaferowani sprawami najwęższego podwórka, spoglądają zobojętniałym wzrokiem na upadek kraju i społeczeństwa, na podnoszącą się hydrę anarchii. Wobec „nawału prac codziennych” ponoszą z lekkim sercem ciężką odpowiedzialność wobec ojczyzny, historii i cywilizacji za karygodną bierność, czy brak odwagi cywilnej, za nie-

chęć do zdecydowanego zerwania się z letargu i stworzenia ośrodka równowagi, któryby kres położył warcholstwu. Wszyscy o takim ośrodku, powiedzmy otwarcie: o takim stronnictwie — marzą, wszyscy szepcą sobie o jego potrzebie po salonach, dworach, kancelariach, biurach, a bodaj że nawet często i po chatach i warsztatach, wszyscy narzekają na straszne stosunki, twierdząc z komicznym patosem, że „tak dalej iść nie może”. Wszyscy niemal godzą się z tem, że lud nasz jest przemęczony i zniechęcony beznadziejną, jałową demagogią i bałamutną polityką partji alfabetycznych i chętnie poszedłby za zdecydowaną, rozsądną inicjatywą. Lud nasz doskonale wie o tem, że rządzić nie jest w stanie, to też nie ma wcale zamiaru rządzić, ale chce być rządzonym i od biedy poddaje się w tem każdemu, kto ster chwyta w ręce. A pragnie stanowczej dyrektywy i wzdycha za nią nietylko prosty lud, ale całe społeczeństwo.

A jakaż na to odpowiedź? Luźne rezolucje wiecowe przy drzwiach zamkniętych w Baraniej Wólce? Czy to nie krotkoczwile wobec aż nadto wielkiej powagi sytuacji?

Pożądaný zwrot sprowadzić może tylko potężne rozbudzenie zdrowej myśli narodowej i poczucia odpowiedzialności warstw wykształconych i żywiołowego, zorganizowanego ich odruchu, któryby anarchję chwycił za łeb i przywrócił panowanie praworządu i normalnych, twórczych stosunków w państwie.

Jakże długo kraj na to czekać będzie? I czy się wogóle doczeka? Dobrze przypomnieć sobie, że w roku 1917 stał na czele pierwszego gabinetu republiki rosyjskiej książę Lwow, a jednym z ministrów był umiarkowany socjalista Kiereński. Że panowała polityka powszechnej ugody i kompromisu. I że inteligencja rosyjska mogła w pewnej chwili niewielką dawką energii i kwotą pół miliona rubli, dobrze wydatkowanych, uchronić siebie i państwo od katastrofy. Ale tej drobnej energii tej drobnej kwoty zabrakło...

CO DALEJ?

13 marca 1926.

Stoimy w przededniu doniosłych rozstrzygnięć, których wszyscy z niecierpliwością wyczekują, obiecując sobie po nich wiele. Chodzi o miejsce w Radzie Ligi Narodów, o wielką pozycję zagraniczną i w konsekwencji o utrzymanie w koalicji

największych stronnictw oraz stojących za niemi odłamów społeczeństwa. Doszła niemal do punktu kulminacyjnego walka na dwa fronty, wewnętrzny i zewnętrzny, o egzystencję państwa. Jeśli się załame — to nikt nie jest w stanie dać odpowiedzi, co nastąpi. Jedni twierdzą, że bolszewizm, drudzy, że opieka międzynarodowa, inni wreszcie, że coraz mizerniejsza wegetacja bez widoków lepszego jutra.

Ośmielamy się twierdzić, że prognozy te są niesłuszne, z wyjątkiem ostatniej, ale z tą zasadniczą poprawką, że stan beznadziejnej, niszczącej wegetacji potrwa nadal w każdym razie, bez względu na to, czy otrzymamy lub nie miejsce w Radzie Ligi i kredyt w Ameryce. Twierdzimy to na podstawie całego dotychczasowego rozwoju naszych stosunków. Po doświadczeniach lat siedmiu, obfitujących w tak liczne, różnorodne i niezmiernie pouczające wypadki na polu politycznym, gospodarczym i socjalnym, nie wolno nam już wierzyć w cudotwórczy skutek pojedynczych posunięć, czy nawet sukcesów na polu dyplomacji lub finansów, gdyż wiemy dobrze, że na zgniłym podłożu żaden sukces się nie utrzyma.

Twierdzimy to, widząc, jak marnieją wszelkie zdrowe wysiłki i wszelkie zapoczątkowane rozumne reformy, jak rozsypują się w gruzy najpotężniejsze stronnictwa z całym swym programem, jak zapadają się w nicość kolejno wybitne jednostki, wysunięte zbiegiem warunków do steru spraw, jak wpadają w bezdenną studnię kryzysu gospodarczego pożyczki zagraniczne, kredyty rządowe, ulgi i urodzaje. Twierdzimy to, widząc upartą, zaślepioną demagogię naszych ludowych prowodyrów wszelkich odcieni, pchających państwo w nędzę i anarchję tylko dla swych kombinacji wyborczych, bez względu na następstwa. Twierdzimy to wreszcie, widząc bezprzykładną bierność i płochliwy defetyzm warstw wykształconych, bawiących się w elekcję królów, w mniemaniu, że wysunięciem teoretycznego postulatu czy nawet jakiejś kandydatury do tronu zwolnią się od piekącej potrzeby silnej organizacji i zbiorowego, potężnego wysiłku w walce z anarchją. Wiemy również, jak wielki opór stawiają naprawie Rzeczypospolitej wszystkie sfery, którym wygodnie w obecnym stanie rzeczy. Wszak trzeba sobie uświadomić, że, aby lepiej było w Polsce, pierwszym i nieuchronnym warunkiem jest gruntowne oczyszczenie jej z tego, co obecnie na niej żeruje i panuje,

co bruździ i warcholi i paraliżuje wszelkie zamierzenia sanacyjne. Zbyt wielu ludzi jest interesowanych w utrzymaniu status quo anarchji, aby można było obok nich przeforsować jakąkolwiek zmianę na lepsze.

I dlatego nie wierzymy w zbawczy rezultat mandatu w Radzie Ligi lub pożyczki nawet kilkuset milionów dolarów. Otrzymać coś, to jeszcze nie wszystko, ale trzeba odniesiony sukces polityczny czy materialny odpowiednio zużytkować. To zaś jest w danych warunkach niemożliwem, bo nikt poprawy stosunków (czytaj: zlikwidowania własnej placówki żerowej) na serjo nie pragnie.

Bo i kto w danej konstelacji polityczno-socjalnej w kraju miałby tego pragnąć? Ani stronnictwa ludowe, które, wbrew wszelkiej logice ekonomicznej i najżywotniejszym interesom państwa i samego ludu, dążą do zanarchizowania chłopu, zniszczenia wyższej kultury, obniżenia produkcji i pracy i stworzenia sobie z warstw niższych wiecznie głodnego i niezadowolonego rewolucyjnego fermentu, podatnego do wszelkich eksperymentów na rzecz kariery ambitnych prowodyrów. Ani socjaliści, licytujący się z komunistami w rozpaczliwej walce o duszę i głosy robotników, ani te legjony niedokształconych, wzrosłych na wojennych i powojennych stosunkach, którzy obsiedli tysiączne stanowiska, wprowadzając na nie dyletantyzm, niedołęstwo i niebywałą, urągającą wszystkiemu korupcję. Ani ci wszyscy, którzy egzystują tylko lichwiarską stopą procentową, niezdolni do żadnej produktywnej pracy. Nie pragną poprawy na serjo i kolejne rządy państwa, skoro przytłaczają inteligentną, twórczą pracę niszczącymi ciężarami i uginają się pod każdym podmuchem demagogji ulicznej z obawy przed fantomem rewolucji. Nie pragnie jej sejm, bo jakżeby się wówczas musiał zmienić! Nie pragnie jej widocznie nawet i zagrożona inteligencja, skoro się nie przeciwstawia złemu, mimo swej istotnie wielkiej siły liczebnej, materialnej i moralnej. Ciągłe zjazdy, narady, rezolucje i... naj bude jak buwało! A już najmniej pragną jej różni „wielcy ludzie”, którzy, niezdolni naprawdę do twórczej działalności, potrafią tylko burzyć i mącić w imię monstrualnie wybujałego egoizmu, wychodzącego z maksymy: Polska, to ja!

Słyszymy coraz częściej i z ust coraz bardziej miarodajnych, że nie pozostaje nic innego, jak oddać się pod opiekę i kontrolę Ligi Narodów. I to głoszą nawet powołani przedstawi-

ciele trzydziestomiljonowego państwa, produkującego przeszło milion wagonów zboża i przeszło trzydzieści milionów ton węgla rocznie, bronionego przez jedną z najsilniejszych armii w Europie! A więc raczej wszystko inne, byle tylko nie być zmuszonym do zerwania się z „miękiej pościeli”, do myślenia, zorganizowanego działania i wysiłku.

Nie, nie pomoże nam ani Locarno, ani Genewa, ani finansjera amerykańska, ani król, ani unje zagraniczne, ani ustawy sanacyjne, ani żadna inna kombinacja. Nie pomogą tak, jak nie pomoże maść na raka, który toczy organizm na śmierć skazany. Nie pomogą w każdym razie tak długo, dopóki rząd i lepsze elementy w społeczeństwie nie zainicjują polityki, przywracającej zdrowe pojęcia i stosunki. Sanacja stosunków w Polsce, ekonomicznych czy innych, nie jest wcale problemem technicznym, ale nawskroś psychologicznym. Dopóki anarchja twierdzi, że dwa a dwa jest dla inteligencji dziewięć, a dla ludu trzy (autentyczne słowa z pewnej przemowy wiecowej) i maksymę tę starają się realizować wszyscy i wszędzie, jedni z warcholstwa, drudzy ze strachu — tak długo żadne poszczególne wysiłki dyplomatyczne, czy finansowe, czy ustawodawcze, ani żadne sukcesy na tych polach nie wydadzą spodziewanych rezultatów.

To powinien sobie każdy jasno uświadomić i z tego punktu widzenia patrzeć na to, co się dzieje i na przyszłość państwa. Dlatego też z rezygnacją oczekujemy wyniku obecnej sesji genewskiej i pertraktacji z Bankers Trustem, bo dobry lub zły wynik tych zabiegów nie zmienia praktycznie w niczem fatalnego upadku losów państwa po równi pochyłej, jeżeli w psychice społeczeństwa nie nastąpi radykalna zmiana.

20 marca 1926.

BRZASK KONSERWATYZMU.

Długoletnia przedwojenna akcja wszelakich ultrapostępowych lub wywrotowych doktryn, stronnictw i elementów, następnie katastrofa i nędza, spowodowane wojną na całym świecie, masowy osobisty i materialny udział w tej wojnie najszerszych warstw ludności, wreszcie wybuch rewolucji

w zwyciężonych państwach, który nie pozostał bez pewnego wpływu i na zwycięzców — wywołały powszechny podmuch szaleńczego radykalno-demagogicznego, który, nie licząc się z niczem, wyrzucił chwilowo wszelkie zdrowe, racjonalne pojęcia społeczne i gospodarcze i zapanował wszechwładnie, zwłaszcza w Europie, nie oszczędzając i młodej, wszelkim nowinkom zagranicznym zawsze sprzyjającej Polski.

Stan obecny naszego państwa, po pierwszych siedmiu latach niepodległości, jest tylko naturalnym rezultatem tego kataklizmu pojęć i wyłonionego przezeń systemu. Cała polityczna, administracyjna i gospodarcza struktura Rzeczypospolitej jest zbudowana narazie prawie wyłącznie ad usum szeregu stronnictw radykalnych, prawicowych i lewicowych, a raczej rządzących nimi ambitnych a bezwzględnych jednostek. Przed tym partyjnym, ślepym radykalizmem ustępują na bok wszelkie względy realnego dobra państwa, prawdziwego interesu jego ludności, a nawet logiki i zdrowego rozsądku. Dlatego też wszelkie zamierzenia sanacyjne nie były dotąd w stanie wydać rezultatu, dlatego wszelkie ofiary materialne obywateli i walory państwa, tak bogatego z natury, beznadziejnie się marnują, dlatego i zagraniczny nasz kredyt i zaufanie do naszej gospodarki spada do zera. Dlatego też poprawa stosunków nie jest narazie możliwą, bo przeszkadza interesom partykularnym miarodajnych dotąd stronnictw i różnych wpływowych jednostek, które utrzymują się na widowni jedynie tylko wskutek istniejącego stanu rzeczy.

Mówimy z naciskiem: narazie. Bo reakcja przeciw panującemu systemowi bezmyślnego radykalizmu zaczyna już kielkować, zwolna, ale żywiołowo. Proces ten, coraz widoczniejszy, rodzi się pod wpływem impulsów zarówno zewnętrznych, jak wewnętrznych. Zewnętrzną, zagraniczną podniecię stanowi ruch faszystowski, promieniujący z Włoch na inne kraje, gdzie szerzy się w postaci albo bezpośredniego naśladownictwa dyktatury zachowawczej, albo wzmożonej propagandy monarchistycznej. Obie wychodzą z jednej zasady: walki z hipertrofią radykalizmu. Jest to częścią świadomy, częścią automatyczny odruch przeciw wybujałościom demokracji i nowoczesnego bankrutującego parlamentaryzmu, dyktaturze demagogii ulicznej i absurdowi doktryn socjalistycznych oraz wynikłej z tego

wszystkiego anarchji i nędzy. Powstaje ogólne zniechęcenie do radykalistycznej gospodarki, jej płonnych obietnic i opłakanych skutków.

I tu właśnie działa drugi impuls, wewnętrzny. We wszystkich warstwach społeczeństwa zaczyna świtać przeświadczenie o jałowości wszelkich haseł i dążeń radykalno-postępowych. Piana rewolucyjna, z której wyłonić się miał raj robotniczo-włościański, zaczyna opadać, odsłaniając coraz wyraźniej obraz beznadziejnej nędzy i nierządu, na których zyskują i tuczą się tylko pewne jednostki i kliki. Raj ludowy staje się mirażem, w którego realność nikt już nie wierzy. Obiecanki radykalnej prawicy i lewicy przewartościowały się i przeżyły gruntownie w ciągu ubiegłych siedmiu lat, pograżając państwo w coraz większej niedoli, trawiąc, jak nienasycony moloch, wybitniejsze jednostki i talenty i nie będąc w stanie ani na chwilę zahamować upadku gospodarstwa narodowego, kultury, moralności i stopy życiowej wszystkich warstw społeczeństwa. Najmniej oświeceni zaczynają przecierać oczy wobec miażdżącej rzeczywistości.

To też gnijący ustrój rozsypuje się w gruzy. Leci tynk z naszych najpotężniejszych ugrupowań partyjnych, które podtrzymują się obecnie już niemal tylko chwilowym składem sejmu, tracąc oparcie w społeczeństwie. Dość mają ludzie tego jałowego żonglowania hasłami i złotych obietnic i absurdalnych eksperymentów i walki klasowej i warcholstwa i doktryn, skuwających „wolnego obywatela” w nieznośne pęta i kontrolujących jego życie i kieszeń w sposób nieznany nawet w najbardziej absolutnej monarchji, a o ileż bardziej przykry i szkodliwy! Po kilkunastu latach niesłychanej nędzy i poniewierki, ma już każdy dość tego „postępu” na rzecz kariery różnych ludowych proroków, a pragnie być nareszcie znowu obywatelem, chce spokojnie żyć, pracować i — zarabiać!

I na tem tle, na tej reakcji pragnień, rozpoczyna się w siedem lat po wskrzeszeniu niepodległości powolne, ale elementarne wskrzeszenie ideologii zachowawczej, jako ostoi po burzy „rewolucyjnego” zawrotu, jako drogi może dłuższej, ale pewniejszej do osiągnięcia dobrobytu państwa i każdego poszczególnego obywatela. Zjawisko to tembardziej znamienne,

że znikąd nie propagowane ani nie organizowane, w żadnej planowej akcji nie ujęte, ale tem właśnie trwalsze, bo żywiołowe, naturalne. Powstaje równocześnie na różnych krańcach Rzeczypospolitej, pozornie bez żadnego ze sobą związku, jako odruch zdrowej myśli narodowej przeciw zbyt długo-trwałej niewoli absurdu i anarchji. Powstaje jako wyraz odwiecznej prawdy, że burzyć i warcholić może każdy, ale budować państwo i racjonalnie niem rządzić może tylko ten, kto się na tem rozumie.

Odruch ten może napełnić otuchą w lepszą przyszłość. Ale grozi mu niestety jedno wielkie, podstawowe niebezpieczeństwo: że zabraknie mu, jak to u nas ze wszystkim bywa, zdecydowanych przywódców i organizatorów. Ci bowiem, którzyby rzecz w rękę wziąć mogli i powinni, sami sobie nie wierzą, brak im dotąd poczucia budzącej się siły, przeświadczenia dokonywującej się w społeczeństwie ewolucji i odwagi cywilnej. Z lękiem i trwogą pragnęliby budować dalej mizerną egzystencję na dotychczasowym układzie (a raczej rozkładzie!) stosunków. Są tak steroryzowani podartą już czerwoną płachtą i przegniłym chochołem, którymi ich dotąd straszono, że oglądają się konwulsyjnie za dotychczasowymi menerami polityki „narodowej” czy „ludowej”, bez których rady dać sobie nie mogą. Raczej wszystko, byle tylko nie być zmuszonym do stanowczego gestu: zgarnięcia do kosza jednym zamachem wszystkich liter partyjnego alfabetu i potężnego, męskiego apelu do instynktu samozachowawczego społeczeństwa, w śmiałym przeciwstawieniu do tych, którzy dotąd na najgorszych tylko jego instynktach grali!

Nasi domorośli demagodzy, wydali wojnę prawom ekonomicznym i przyrodzonym — i w niej paść muszą, razem z całą ideologią radykalną minionego okreu. O ile wczas jeszcze zapanuje po nich rozumny, zorganizowany kierunek, to będzie w Polsce może nie legendarny raj ludowy, ale... w każdym razie znacznie lepiej.

I wówczas, ale dopiero wówczas, zyska Polska odpowiedni autorytet zagraniczny i zaufanie finansowe, o które dotąd napróżno się dobija.

25 marca 1926.

DWIE IDEE.

Wśród długiej galerii wybitnych sylwetek, jakie przesunęły się dotąd, na tle tragedji wojny światowej i wywołanych nią przewrotów, dwie tylko dodatnie postacie przejdą prawdopodobnie trwale do historii, jako pionierzy dzieł naprawdę przełomowych, chociaż w tej chwili jeszcze niedokończonych, rzecz można nawet dopiero zaczętych: Wilson i Mussolini. Wszyscy inni, pomijając typy już wprost ujemne, dorywczą tylko odegrali lub odgrywają rolę, nieraz świetną, ale zawsze tylko chwilową, przemijającą. Po tych dwóch natomiast coś zostanie, bo każdy z nich wniósł ze sobą nie tylko czyn, ale i ideę, i to ideę wielką, szczytną, skierowaną ku podstawowej naprawie stosunków. A takie idee dopiero, w czyn ujęte, znaczą epoki w dziejach ludzkości, nie zaś bitwy lub manewra dyplomatyczne.

Wilson postawił zasadę moralności państwowej, której nie uznawała przedtem wielka polityka, głosząc przeciwnie zasadę racji stanu, usprawiedliwiającą wszelkie zbiorowe, oficjalne zbrodnie. Odpowiedzialność jednostki rozciągnął Wilson także na państwo, wysuwając koncepcję Ligi narodów, jako aeropagu, zdolnego zastosować sankcje karne wobec państwa-przestępcy. Z tej głównej zasady wyłoniła się w konsekwencji zaraz druga: prawo narodów samostanowienia o sobie. Obie te wielkie tezy, chociaż im przykłaśnieto z chwilowych względów polityczno-utylitarnych w momencie zawieszenia broni, przyjęto jednak z cichym, chytrym uśmiechem. Unoszą się one wprawdzie ponad stołem konferencji międzynarodowych, ale na razie pokpiwają sobie z nich w duchu kierownicy państw „sprzymierzonych”, gotowi każdej chwili chwycić za oręż, gdy im się coś na serjo nie spodoba. Ale idea, raz w świat rzucona, już cofnąć się nie da. Przetrwają drwiny dyplomatów i chciwość zaborczą rządów i niejedną zapewne jeszcze burzę, ale wyjdzie wkońcu zwycięsko, nakładając więzy bezwzględnej racji stanu płomiennymi głoskami: Nie zabijaj, nie kradnij!

Mussolini nie sięgnął odrazu tak daleko, ale zato konkretniej, bezpośredniej. Postawił sobie za zadanie uwolnienie swego narodu z pod jarzma gangrenujących hasel i organizacji wywrotowych i wzmożenie jego ciężyzny do takiego napięcia, aby

uczynić go zdolnym do wstąpienia w ślady rzymskich przodków, do wskrzeszenia — o ile to w dzisiejszych warunkach możliwe — państwa cesarów. I stworzył istotnie ogólnonarodową organizację, zupełnie bezprzykładną w dziejach nowożytnych, a bodaj i dawnych, przeobrażając w ciągu kilku lat duszę, energję, politykę i gospodarkę swego społeczeństwa w sposób, budzący podziw i zdumienie.

A na tej nawskroś realnej podstawie, na tej jedynej w swym rodzaju organizacji militarnej, politycznej, socjalnej i ... finansowej, buduje teraz wielki dyktator wielką ideę, która obala narzuconą nam od stu lat słowem i gwałtem sofistykę socjalistyczną. Głosi wspólność interesu pracy i kapitału. Pisali o tem wprowadzie ciągle umiarkowani ekonomiści, ale żaden polityk nie wpadł dotąd na myśl, aby z tej prawdy, tak prostej i oczywistej, zrobić hasło narodowe i porwać za niem masy, którym przez sto lat przewracali bezkarnie w głowie fałszywi prorocy. Po ujemnej agitacji, skierowanej przeciw intensywności pracy, swobodzie indywidualnej i prawu posiadania, która płynęła dotąd w nieoświecony lud szeroką falą, podniósł Mussolini sztandar agitacji dodatniej, rozumnej, nie na walce klas, ale na współdziałaniu klas opartej. I w tem leży wielkość idei i doniosłość ustawy, uchwalonej niedawno przez senat włoski.

Że sukces całej tej olbrzymiej reformy nie ogranicza się do samych tylko Włoch, ale działa magnetycznie i na sąsiednie (i nie tylko sąsiednie) państwa, tego dowodem ruch koncentryczny, jaki objawia się w opinii środkowo- i południowo-europejskiej w kierunku Rzymu. Grawituje ku Włochom wszystko, co pragnie wzmocnienia i wyzwolenia z pod jarzma demagogji, anarchji, nędzy gospodarczej i absurdu.

A Polska? Niepodobna w obecnem położeniu i wewnętrznych warunkach naszej ojczyzny nie wysnuwać mimowoli porównań, które narzucają się same. Jeżeli jaki naród, to właśnie polski był powołanym, aby w epoce wskrzeszenia i tryumfu podnieść sztandar wielkich, twórczych idei i zaświecić innym przykładem, wyszkolonym na ciężkich doświadczeniach własnego ongiś upadku i półtorawiekowej niedoli! Jeżeli kto, to my przedewszystkiem, przy wrodzonym nam idealizmie i gorącym uczuciu patriotycznym i zrozumieniu piekących

potrzeb egzystencji i wielce eksponowanem położeniu winniśmy wykuwać drogi harmonji narodowej, dyscypliny, twórczej pracy i racjonalnego rozwoju, zamiast poddawać się bezwolnie niszczącej tyranji hasel demagogicznych i prestiżowi różnych bożków, którzy nam nic, absolutnie nic nie przynoszą, oprócz ustawicznego wicherzenia, konspiracji i hamowania wszelkiej zdrowej reformy.

3 kwietnia 1926.

MONARCHIZM W POLSCE.

Niedawno jeszcze agitacja monarchistyczna traktowana była przez ogół nasz z pobłażliwym lekceważeniem i to tak dalece, że nie uważano jej nawet za godną publicznej dyskusji.

Nie wzruszał się nią ani lewicowiec, ani prawicowiec, a już najmniej konserwatysta, chociaż go zasadniczo ten ruch najbardziej mógł obchodzić. A tymczasem idea monarchistyczna zataczać zaczęła w ostatnim roku takie kręgi, że dzisiaj nie tylko niepodobna byłoby oczu na nią zamykać, ale staje się wprost koniecznem wyświecić jej istotne znaczenie i zająć względem niej jakieś zdecydowane stanowisko.

Otóż przedewszystkiem mylnem byłoby, porównywanie obecnego polskiego monarchizmu z francuskim rojalizmem, zdyskredytowanym, prawdopodobnie raz na zawsze, przez ucieczkę i stracenie Ludwika XVI i przez kilkakrotne niefortunne próby restauracji Burbonów. Francja stała się republiką z krwi i kości po bankructwie ustroju feudalnego i po daremnem wypróbowaniu w ciągu zeszłego stulecia wszelkich innych form rządu, dyrektorjatu, konsulatu, królestwa konstytucyjnego i cesarstwa. Wskrzeszona Polska przybrała natomiast ustrój republikański sama nie zdając sobie z tego sprawy, wbrew zakorzenionym głęboko tradycjom, czczonym przez wszystkich. Powstała w chwili upadku trzech tronów zaborczych, w momencie zawierania „demokratycznego” pokoju, więc też pewne ruchliwe a głośnie elementy, które dostały się wtedy do steru, ogłosiły fikcję stanu rewolucyjnego i narzuciły państwu formę republiki, oczywiście robotniczo-włościańskiej,

bo to hasło było wówczas w modzie. Jest więc Polska republika z mody, w całym i pełnym tego słowa znaczeniu. Ale nie jest nią wcale z przekonania.

Król polski! Jakżeż potężnie przemawiają te słowa do uczuć olbrzymiej większości Polaków, budząc zmartwych pełną chwałę przeszłość, zwaloną przejściowo do grobu tylko brutalną pieśnią zaborcy! Wszakże przerwała się historia nasza (t. j. historia całej Polski) w chwili zaprzysiężenia nowoczesnego, konstytucyjnego ustroju państwa przez króla. Z tą chlubną chwilą łączyły się przez stokilkadziesiąt lat uczucia całego narodu pod jarzmem niewoli, do niej też nawiązały naturalnym odruchem z chwilą wskrzeszenia niepodległości. Wszak naszym świętem narodowym jest nie dzień 11-go listopada, choć on znaczy bezpośrednio datę wskrzeszenia, lecz 3-go Maja!

To też poza pewnemi sferami, które mają specjalny, osobisty interes w utrzymaniu republikańsko - radykalnego status quo, jesteśmy wszyscy w głębi duszy rojalistami i niema wątpliwości, że uczciwy plebiscyt w kraju wykazałby przygniatającą większością głosów zwycięstwo tej idei.

Stałoby się to zwłaszcza dzisiaj, po faktycznym bankructwie siedmioletniej gospodarki demagogicznej, wobec ogólnego zniechęcenia do haseł, metod i namacalnych rezultatów systemu radykalnego analfabetyzmu i niszczących eksperymentów. Pragną króla wszyscy: jedni dla nawiązania przerwanej tradycji, drudzy jako puklerza przeciw doktrynom wywrotowym, inni wreszcie jako symbolu normalizacji stosunków, wzmocnienia mocarstwowego stanowiska państwa i zapewnienia spokojnej, twórczej pracy obywatelskiej. Nawet i obojętni muszą przyznać, że lepiej mieć jednego, za swe rządy jakkolwiek bądź odpowiedzialnego króla, niż tysiąc, lub więcej, nieodpowiedzialnych, wichrzących i żerujących ochłokratów.

Ale—tu się kończą marzenia — monarchja może zmartwychwstać tylko w dwojaki sposób. Albo jakaś potężna indywidualność zaimponuje społeczeństwu, zapanuje nad niem i sięgnie sama po koronę, a takich ludzi nie mamy i może nie wydamy, co zdaje się potwierdzać zresztą historia kilku ostatnich wieków. Albo też odrodzi się i zorganizuje jakaś potężna warstwa w narodzie, która zawładnie i pokieruje resztą społeczeństwa i stanie się naturalną podwaliną ustroju

monarchicznego. Jakaż warstwa ma u nas odegrać tę rolę? Rozwój sytuacji w pierwszych siedmiu latach wskrzeszonej niepodległości stawia nad tą kwestją potrójny znak zapytania. Niepotrzeba niestety dowodzić. Każdy dzień przynosi nowe, rozpaczliwe dowody beznadziejnego warcholstwa jednych warstw, a równie beznadziejnej słabości i dezorganizacji drugich. Polska stoi nierządem! A przecież, chcąc godnie przyjąć monarchę, trzeba według słów wieszczki najpierw „dom oczyścić”. Bez tego nikt nie będzie w stanie tronu zbudować.

I w tem leży odpowiedź na pytanie. Monarchizm ma w Polsce wszelką moralną rację bytu, ale nie ma, przynajmniej narazie, destatecznej realnej podstawy. Niema na serjo ani kandydata na monarchę, ani odpowiedniego zastępu tych, którzyby mogli być silną podporą tronu. Bo gdyby tacy byli, gdyby mieli w sobie moc i zmysł organizacyjny tak wielki, aby utorować monarsze drogę na Wawel, to mieliby go tembardziej na tyle, by sobie samym przedewszystkiem zapewnić egzystencję i autorytet w państwie i stawić zwycięsko czoło demagogii i anarchji.

Ale myślą się protagoniści monarchizmu, o ile sądzą, że samem wysunięciem idei czy kandydatury załatwić można sprawę, że osoba króla zastąpić może twardy obowiązek, ciążący na całej społecznie umiarkowanej inteligencji, gruntownego zreorganizowania się i podjęcia zdecydowanej walki w obronie praworządu, wyższej kultury i najżywotniejszych interesów państwa. Tego bowiem pierwszorzędnego zadania monarcha za nich nie zrobi. Dopiero, gdy dźwigną się zdecydowanym odruchem państwowo-twórczym te wszystkie sfery, które cywilizacyjnie stanowią kwiat i rdzeń narodu, wtedy, dopiero wtedy wybić może godzina dziejowa na zamku wawelskim. A ta chwila zdaje się jeszcze daleka.

Jeżeli tak, to jakież może mieć właściwie znaczenie obecny ruch monarchistyczny? Zbliża się termin nowych wyborów. Dawne hasła i programy przetarły się już beznadziejnie w opinii szerokich sfer. Wszystko już zbankrutowało, trzeba więc czegoś nowego, aby przyszłych wyborców zelektryzować i porwać za sobą. Tę rolę spełnić może hasło monarchistyczne w obecnych warunkach. I przyznać trzeba, że może odnieść sukcesy. Społeczeństwo tak jest już przemęczone radykali-

zmem, że idea królewska może znaleźć oddźwięk i u inteligenta i u chłopa.

Tylko nie wiadomo jeszcze, w czyjem ręku to hasło się znajdzie w chwili wyborów? Trzeba być gotowym na niespodzianki. W każdym razie zwycięży i rządzić będzie nie ten, kto wystawi koronę w tarczy, lecz kto okaże się **żyćciowo tęższym i lepiej zorganizowanym**. Jeżeli w tej walce ruch monarchistyczny wzniesie się praktycznie do roli bodźca, podniecającego uspioną dotąd energję warstw patriotycznie myślących, przyczyniając się do ich silniejszej konsolidacji, żywszego działania i politycznej ekspansji, to już przez to samo wielką położy zasługę w dziele odrodzenia Rzeczypospolitej.

9 kwietnia 1926.

PASYWIZM CZY POLITYKA CZYNU?

Całe społeczeństwo, bez różnicy warstw i przekonań, woła coraz większym głosem, że źle się dzieje w państwie, wydanem na łup demagogji i warcholstwa, że lecimy w przepaść, że tak dalej iść nie może i t. d. Niektórzy stawiają jeszcze smutniejsze horoskopy z powodu szerzącego się już i w armji gorszącego rozdwojenia, a najwięksi defetyści widzą jedyny ratunek w oddaniu się wprost pod kontrolę Ligi Narodów. Położenie pogarsza prawda, niemożliwa już dziś do ukrycia, że nam nikt pożyczki dać nie chce, bo nikt nie ma zaufania do naszej gospodarki, przeciążonej doktrynami i świadczeniami o charakterze wybitnie socjalistycznym, rozkładowym, uniemożliwiającym rentowność jakiegokolwiek twórczej pracy i inwestycji.

Wiemy też już dobrze, że rząd nie ma żadnego programu ani w kierunku politycznym, ani gospodarczym. Ma tu i ówdzie pewne krótkoterminowe, dorywcze projekty, które kolejno spalają na panewce, ale nie ma żadnej linii wytycznej, ani żadnego celu przed sobą, bo go nawet mieć nie może, skoro przy falującym ustroju rządzenia i gospodarki żaden racjonalny cel nie da się osiągnąć, żadna reforma przeprowadzić. Dlatego też coraz szersze koła w społeczeństwie, zdając sobie sprawę z beznadziej-

ności położenia, z którego nie widzą wyjścia, głosić zaczynają hasło kapitulacji z niepodległej gospodarki.

W takich warunkach, w takim nastroju, któremu ulegać już zaczynają najwięksi nawet optymiści, szuka refleksja gorączkowo rozwiązania tej rozpaczliwej zagadki naszego położenia, usiłując dotrzeć do podstaw, które spowodowały obecną niemoc państwowo - twórczą polskiego społeczeństwa i każdego wyłanianego przezeń rządu. Żadne bowiem poszczególne fakta i zewnętrzne przyczyny, obserwowane w szeregu siedmiu lat ubiegłych, nie wystarczają jeszcze same przez się do całkowitego wyjaśnienia tego stanu marazmu i beznadziejności, w jakim znalazło się obecnie państwo, mające za sobą tyle walorów. Czem przedewszystkiem wytłumaczyć ten niesłychany, niczem niezahamowany wzrost absurdałnych pojęć i doktryn, stworzonych tylko dla olśnienia ulicy, których niszczący wpływ uznaje każdy, a nikt nie jest w stanie mu się oprzeć? Czem wytłumaczyć tę bezkarność wicherzenia różnych jednostek, którą każdy widzi i potępia, a jednak z nią się liczy i biernie uznaje? Czem wytłumaczyć to, że każdy warchoł może w Polsce zrobić wszystko, a dodatnia jednostka niewiele, albo nawet nic zgoła?

Historja mści się dotkliwie za popełnione błędy, więcej, niż to przypuścić może dyletant-zapaleniec, któremu się zdaje, że jest politykiem. Każde ujemne pociągnięcie, każde rzucone w masy szkodliwe hasło, choćby nawet chwilowo motywowane pewnymi warunkami, pozostawiają ślad po sobie, który rozgałęzia się potem nakształt raka, paraliżując siły żywotne społeczeństwa.

Otóż takie hasło rzucono z początkiem wojny światowej w inteligentne masy społeczeństwa polskiego w postaci koncepcji pasywizmu. W dobie, kiedy cały świat zapłonał, kiedy zerwały się do walki o charakterze nacjonalistycznym nawet na wpół dzikie szczepy Albańczyków i Arabów, aby zadokumentować przed światem swój był narodowy i prawo do życia, w chwili, kiedy kwestja polska uznana została za „jeden z celów wojny”, o który przelewały krew wielomiljonowe obce armje, gdy ziemie polskie stały się jedną z głównych aren tytanicznych zapasów, słowem, gdy wybiła godzina dziejowa, przepowiadana przez wszystkich wieszczów, poczynając od Wernyhory—w tej epokowej chwili rzucili protagoniści patriotyzmu polskiego w szerokie masy narodu „ostrożną” maksymę nieinterwencji, wyczekiwania, bierności. Zabroniono rodakom angażować się

w jakimkolwiek kierunku i występowano zaciekle przeciw tworzeniu armji polskiej i jakiegokolwiek prowizorycznego rządu zarówno w zaborze austriackim, jak następnie i w rosyjskim, zalecając natomiast wyczekiwanie z założonemi rękami, aż Francuz, Anglik, Moskal lub Japończyk złoży nam do nóg wskrzeszoną ojczyznę „od morza do morza“, zaopatrzoną oczywiście w wojsko, rząd i pieniądze!

Wiemy dobrze, jak wyszliśmy na tej koncepcji z chwilą ustąpienia zaborców, gdy znaleźliśmy się nagle z wielkim obszarem kraju, zewsząd zagrożonego, bez rządu, bez wojska i broni, bez jakiegokolwiek ładu i programu, gdy nawet stworzonej w ostatniej chwili daleko poza krajem armji Hallera nie dozwolono wkroczyć do ojczyzny, aby broń Boże, nie tamować prawa samostanowienia Ukraińców we Lwowie, Litwinów w Wilnie, Czechów na Śląsku Cieszyńskim i w Galicji Zachodniej, Niemców na Górnym Śląsku, socjalistów w Lublinie, a komunistów w całej Polsce!

Ale, co najgorsze, zasada pasywizmu, rzucona raz w masy i podniesiona na piedestał narodowej racji stanu, weszła następnie rozpędem bezwładności w krew i kość społeczeństwa, skryształizowała się w całej naszej obecnej gospodarce. Naród nauczył się czekać na czyjąś pomoc we wszystkim, tak dalece, że z ideologii tej nie zdołał go wyrwać nawet epizod zwycięskiego wysiłku walki z bolszewikami. Czekamy więc z założonemi rękami na cuda kolejnych ministrów skarbu, na pożyczki zagraniczne, na wynik konspiracji i eksperymentów demagogicznych, patrzymy de facto obojętnie na niszczenie majątku prywatnego i narodowego, na postęp gospodarczego paraliżu i na zgubny rezultat tych wszystkich nonsensów, które wbijają się w fundamenta naszego ustroju i życia publicznego. Widzimy to, oburzamy się, piorunujemy w salonach, ale — nie możemy zdobyć się na czyn, aby temu kres położyć. Tak nas bowiem nauczono w kolebce niepodległości. Wpojono w nas bierność i wyczekiwanie, jako szczyt rozumu politycznego. Niech się narażają inni, ostrożny Polak nie powinien angażować się w żadnym kierunku, nie robić żadnego stanowczego kroku, zachować w każdej sytuacji bierną rezerwę! Mści się dzisiaj idea wygodnego, tchórzliwego beczyny.

Zmianę przynieść może tylko uznanie błędu niedawnej przeszłości, obalenie zgubnego ideału i zerwanie się do czynnej polityki społecznej, obywatelskiej i gospodarczej, wyrażającej się w zdecydowanym ruchu organizacyjnym, w śmiałym, bezkompromisowym, otwartym wypowiedzeniu walki temu wszystkiemu, co

w kraju żeruje, osłabia go i niszczy. Nie wyjdzie nam na dobre taktyka, która we wrogie państwo lub żerujące na niem żywiły wpaja przekonanie o naszej słabości i bojaźliwości. Jeżeli Polska naprawdę jeszcze nie zginęła, to zerwać trzeba z ideologią pasywizmu w jakiegokolwiek postaci.

Pamiętajmy, że ta sama polityka, która hamowała odrodzenie żołnierza polskiego, podcięła potem mimowoli, ale w naturalnej konsekwencji, inicjatywę gospodarczą i rzuciła nas, znowu mimowoli, ale w naturalnej konsekwencji, bez oporu, w objęcia etatyzmu, demagogii, korupcji i obecnego bezwładu. Mówiono nam dziesięć lat temu: Nie ruszajcie się, bo przyjdą Francuzi! Dzisiaj mówią nam: nie warto się ruszać, bo przyjdzie pożyczka amerykańska! My wierzymy i czekamy, a tymczasem wyrastają na naszym organizmie pasożyty, tak, że niebawem istotnie nie będziemy w stanie się ruszyć, bo nas wyssa, przytłoczą i zagłuszą.

Niechże powstanie z martwych potężna idea twórczego konserwatyzmu, idea odwagi cywilnej, decyzji i zorganizowanego, konsekwentnego czynu. Wschodzi ona już wszędzie bujnym posie-
wem na grobach fałszywych doktryn i kłamliwych ideałów, które zrodzić się mogły w długoletniej, deprawującej niewoli. Potrzeba odrodzenia na podstawie zachowawczej jest tak wielka, że — jak się ktoś wyraził przy innej okazji — gdyby nawet idei konserwatywnej w Polsce nie było, to trzeba by ją stworzyć.

Ale ona jest, żyje, tętni i czeka tylko hasła!

Uwaga. Apel, wystosowany przy końcu powyższego artykułu, doczekał się niespodziewanie szybkiej realizacji. Dnia 28. czerwca odbyło się pierwsze zebranie organizacyjne warszawskiego oddziału Stronnictwa Prawicy Narodowej, co zapoczątkowało szeroki rozwój tego stronnictwa i zmianę jego charakteru, dotąd wybitnie „krakowskiego”, na ogólnopolski. Prawie równocześnie rozpoczęła się organizacja Związku Zachowawczej Pracy Państwowej w Warszawie i podobnego związku w Wilnie, co doprowadziło następnie do złączenia się ich w warszawsko-wileńską Organizację Zachowawczej Pracy Państwowej. Niezależnie od tego powstały Kluby Pracy Zachowawczej we Lwowie i w Poznaniu,

a w Stronnictwie Chrześcijańsko-Narodowym zrodził się coraz bardziej zdecydowany prąd w kierunku konserwatywnym.

W okresie tym nastąpiła dłuższa przerwa w mojej serii artykułów, spowodowana czynnem współdziałaniem w organizacji ruchu zachowawczego, a przede wszystkim Stronnictwa Prawicy Narodowej.

5 stycznia 1927.

KONSERWATYZM W POLSCE.

Ankieta, zapoczątkowana pod powyższym tytułem przez ks. Pawła Sapiechę w noworocznym numerze naszego pisma, wysunęła szereg podstawowych, a conajmniej szczególnie aktualnych zagadnień, dotyczących konserwatyzmu polskiego i jego stosunku do pewnych innych ugrupowań o charakterze umiarkowanym. Ujęto całokształt tej sprawy w czterech pytaniach: czym jest polski konserwatyzm, czy sprzeciwia się uczciwiej pojętej demokracji, czym chcą zastąpić go w Polsce przeciwnicy, wyznający zasady umiarkowane i czym są te ich zasady, mieniające się poważnemi, a jednak wrogie pojęciu zachowawczości?

Pytania doskonale sformułowane, trafiają w sedno problemu. Odpowiedzi sprowadzają się jednak właściwie do jednej: czym jest konserwatyzm w nowoczesnem tego słowa znaczeniu? Stwierdzić musimy, że panują w tym względzie, nawet w poważnych i wysoko wykształconych umysłach, nieraz tak błędne i przestarzałe pojęcia, że gruntowne wyjaśnienie tej właśnie kwestji jest sprawą podstawowego znaczenia dla naszego życia politycznego i naszego społeczeństwa wogóle. I tu spotkać musi zawód zarówno hasłowych przeciwników idei zachowawczej, którzy przyzwyczaili się identyfikować ją z pojęciem wsteczności, jak i niektórych niepoprawnych jej zwolenników, którzy wyczekują od niej zawsze jeszcze przywrócenia prastarego porządku rzeczy.

Otóż konserwatyzm, w nowoczesnem, praktycznem tego słowa znaczeniu, jest przede wszystkim najwierniejszym wykład-

nikiem naturalnej, zdrowej ewolucji, jest matematyczną funkcją żelaznego, nieubłaganego prawa rozwoju, któremu podlega świat cały, czy chce, czy nie chce. Można podzielić ludzi na dwa odłamy zasadnicze: tych, którzy uznają oczywistą konieczność poddania się prawom przyrody i, stosując się do nich rozumnie, starają się wyciągnąć z nich rzetelne a trwałe korzyści dla państwa i społeczeństwa — to właśnie konserwatyści; i tych, którzy z jakichbądź względów czy założeń praw tych uznać nie chcą, walczą z niemi i usiłują w zarożumiałym porywie obalić lub przyspieszyć naturalny rozwój stosunków sztucznymi doktrynami i programami — to demokraci, radykali i wogóle wszyscy t. zw. postępowcy, od skrajnych nacjonalistów, do skrajnych wywrotowców.

Konserwatyzm żyje życiem realnem, liczy się z rzeczywistością i oceniając ściśle obiektywne stosunki, stara się, bez gwałcenia naturalnych praw kulturalnego postępu, osiągnąć na ich podstawie takie trwałe zdobycze, aby można je było z korzyścią dla ogółu trwale „zachować”. Stąd jego nazwa. Radykalizm zaś, niezadowolony z rzeczywistości, stwarza sobie sztuczny fantom idealnych stosunków i goniąc za nim, usiłuje wyprzedzić, nagiąć lub łamać rozwój naturalny, osiągając przez to oczywiście tylko efemeryczne lub wątpliwe zdobycze, dające może chwilową korzyść pewnym jednostkom lub szczupłym grupom, ale okupione zbyt wielkimi stratami ogółu i hamujące przez to dotkliwie prawdziwy postęp kulturalny i materialny społeczeństwa. Konserwatyzm uznaje, że dwa a dwa może dać tylko cztery, demokracja zaś, że pięć albo dziesięć, stosownie do stopnia swej „postępowości” — i w tem leży właśnie zasadnicza różnica obu światopoglądów i wszelkich praktycznych konsekwencji w polityce obu kierunków. Konserwatyzm buduje stopniowo, ale solidnie, tak, aby dalsze piętra gmachu spoczywać mogły na odpowiednio silnych fundamentach. Radykalizm wznosi gorączkowo, często lekkomyślnie, budowle z kart, które raz wraz zapadają się z krachem, grzebiąc w swych gruzach zbyt śmiałe projekty i wygórowane ambicje.

Ale jeżeli konserwatyzm nakłada racjonalny hamulec na sztuczny rozmach doktryn postępowych wszelkiego rodzaju, to z drugiej strony, jako wykładnik naturalnej ewolucji, dotrzymuje śmiało kroku postępom prawdziwego rozwoju i nie cofa się przed żadną, choćby najśmielszą reformą, mającą

zdrowy sens, realne podstawy i rzetelne widoki powodzenia. I pod tym względem jest nieraz śmielszym, niż niejeden kierunek, nazywany potocznie postępowym, bo działa nie w imię hasła, ale z przekonania, przechodząc bez wahania ponad utartymi przesadami, formułkami i doktrynami lub autorytetem partyjnym czy osobistym. Dlatego kierunek, zwany zachowawczym, jest nie tylko biegunem przeciwieństwem wszelkiego wstecznictwa, ale ściśle biorąc, jest daleko bardziej postępowym, młodzieńczym, świeżym, od tych wszystkich doktryn radykalnych i socjalizujących, które wnoszą z uporem w wiek XX dawne, przestarzałe pojęcia i zasady, wymyślone przed stulety przez ówczesnych marzycieli w całkiem odmiennych, dawną już nieaktualnych warunkach.

Dlatego myślą się gruntownie zarówno ci, którzy według utartej formułki mieszają konserwatyzm z feudalizmem, sądząc naiwnie, że tylko firmowy postępowiec lub zgola wywrotowiec potrafi iść naprzód i coś nowego zbudować, jak i ci, którym się marzy, że konserwatyzm dąży do oddania losów społeczeństwa w ręce jakiejś socjalnie uprzywilejowanej warstwy i budzenia ech, dawno przebrzmiałych.

Celem, zadaniem i racją bytu konserwatyzmu jest przywrócenie zdrowych, logicznych pojęć w życiu publicznym, zwalczanie zgubnej dla wszystkich demagogii, wyzwolenie społeczeństwa z więzów radykalizmu, doktryn socjalizujących i etatyzmu i wpojenie wszystkim warstwom narodu tej idei państwowo-twórczej, bez której nie ostoi się na dłuższą metę żadne państwo, a która zespala społeczeństwo z rządem w rozumnej, dobrze zorganizowanej pracy na wszystkich polach.

Wzywając wszystkie warstwy społeczeństwa do takiej pracy i wyznaczając każdej z nich odpowiednią, ważną rolę, jest konserwatyzm tem samem identyczny z pojęciem demokracji w szlachetnem tego słowa znaczeniu, bo nakłada na każdego obowiązki względem ojczyzny, a nie przyznaje nikomu przywilejów. Ale żądając pracy naprawdę skutecznej, tchawowej, przeciwstawia się jednocześnie stanowczo potocznej doktrynie demokratycznej, bo nie uznaje równości w uzdolnieniu wszystkich obywateli do rządzenia państwem, skoro taka równość jest oczywistą fikcją. Nie uznaje też skoków w przepaść w imię frazeologii haselkowej, ani radykalnych eksperymentów na żywym organizmie społecznym.

Takie sformułowanie pojęcia konserwatyzmu zawiera zarazem najlepszą odpowiedź na dwa ostatnie pytania ankiety: konserwatyzm, jako dążność do pozytywnej pracy państwowo-twórczej, dostosowanej do realnych warunków i naturalnego rozwoju, nie da się naprawdę zastąpić żadną inną umiarkowaną doktryną, a ci, którzy twierdzą, że chcą zbawić państwo inną metodą „zachowawczą”, łudzą siebie i drugih, bo taka metoda nie istnieje. Jeżeli więc ktoś uważa konserwatyzm za „kamień obrazy”, to nie jest niczem innym, jak poprostu zwolennikiem radykalizmu lub demagogji, bez względu na obśłonki, jakimi usiłuje upiększyć lub zakryć prawdziwe oblicze głoszonych haseł.

13 lutego 1927.

AKTYWIZACJA SPOŁECZEŃSTWA.

Nie o tym aktywiźmie i pasywiźmie chcemy tu mówić, które rozdzieliły w czasie wojny światowej społeczeństwo nasze na dwa obozy, przeciwne sobie temperamentem politycznym i przewidywaniem wyników wojny.

Mamy dziś bowiem do czynienia z żywym, młodym organizmem: niepodległego państwa, wielce eksponowanego geograficznie i politycznie, ściśniętego groźnemi kleszczami od wschodu i zachodu, zdanego w zbyt znacznym stopniu tylko na siebie i cierpiącego na liczne, piekące niedomagania i potrzeby. Dlatego o tem przedewszystkiem myśleć należy.

Ale właśnie z tego aktualnego punktu widzenia niepodobna zamknąć oczu na jeden podstawowy fakt, aż nazbyt oczywisty, o który potykają się, jak o przeszkodę, a często nawet załamują różne usiłowania sanacyjne i wogóle twórcze zamierzenia. Jakże często zachodzą w głowę swoi i obcy z zadziwienia, że kraj bogaty i naród tak zdolny nie są w stanie wyzyskać należycie swych walorów! Dlaczego topią się u nas dotąd i talenty i praca i pieniądze i zdrowe idee jak w bezdennej studni? Dlaczego nadewszystko jest tak wzgardzona, wprost proskrybowana w praktyce inicjatywa prywatna, chociaż ciągle się ją w teorii wysuwa, a dlaczego na jej miejscu rdziera się suwerennie etatyzm, prze-

chodzący już niemal w częściową socjalizację — tak sprzeczny właściwie z odwiecznym, wybujałym indywidualizmem narodu?

Musimy tu już wstecz sięgnąć i stwierdzić, że cała historia naszego narodu rozwija się od czasów wolnej elekcji, a więc od trzystu kilkudziesięciu lat, wybitnie pod znakiem polityki bierności. Wstręt do zdecydowanego działania, do sprężystej organizacji i energicznych, rozumnych reform wewnętrznych oraz do aktywnej polityki zagranicznej — oto nic czarna, która wije się poprzez dzieje ostatniego okresu dawnej Rzeczypospolitej i sprowadza w nieuchronnej konsekwencji osłabienie prężności społeczeństwa i rozkład dawnego organizmu państwowego, a i we wskrzeszonym obecnie państwie paraliżuje każdą myśl i akcję prawdziwie twórczą.

Jej skutkiem jest niemal kompletna etatyzacja społeczeństwa, opanowanego nie tylko fizycznie, ale i psychicznie przez niedołążny, niewprawny, a niezmiernie zachłanny biurokratyzm i załamanie wszelkiej inicjatywy prywatnej. Polska myśl państwowa wyładowała się w postaci szeregu absurdalnych tez i ustaw w zakresie legilatywy, administracji, skarbowości, warunków pracy i t. d., sprzecznych ze sobą w założeniu i rezultacie i godzących w najżywotniejsze, najoczywistsze interesy państwa.

Zamiast w krytycznym okresie początków nowego niepodległego bytu myśleć o sobie samodzielnie a rozumnie na nieco dalszą metę, zamiast zerwać się, organizować i działać według pewnych racjonalnych zasad, a tem samem i wspomóc istotnie twórcze zmierzenia kolejnych rządów kraju w polityce wewnętrznej, czy zewnętrznej, wisi cała myśl społeczeństwa polskiego od ośmiu lat stale a biernie na pewnych pojedynczych kierownikach nawy lub gospodarki państwowej, spodziewając się od nich wszystkiego i wkładając im przez to ciężar na barki, któremu nikt w takich warunkach nie byłby w stanie poddać. Puste politykowanie, jałowe różniczkowanie orjentacji i programów, doktrynerskie hasła lub emfatyczna opozycja przeciw bieżącej pracy państwowo-twórczej znajdują zawsze aż nazbyt wielu ambitnych prowodyrów i ochotników. Ale pozatem bierność, neutralność, wstręt do organizacji i zrzeszonej pracy i — wyczekiwanie cudu. My już o niczem nie jesteśmy w stanie myśleć bez pomocy rządu, co nam jednak nie przeszkadza ustawicznie na niego narzekać.

Czas ostatni, naprawdę już ostatni, aby zerwać z tą ideologią bierności, w której zwygodniał naród nasz od śmierci Batorego, a która, skombinowana z przerostem demagogii i sejmo-władztwa od trzystu lat z górą, spowodowała już raz katastrofę rozbiorów. Wskrzeszenie i reorganizacja nowej państwowości odbyły się niestety pod tym samym złowróżbnym znakiem. A przecież naród, który chce żyć i zająć mocarstwowe stanowisko, nie może być biernym, nie może wywieszać pasywizmu czy neutralności na swym sztandarze, nie może uważać etaty-zmu za idealną formę swej struktury państwowej. Aktywność nasza sprowadzała się dotąd najczęściej tylko do hałasu i bez-krytycznie stosowanych recept demagogicznego postępu, podobnego w skutkach raczej do ciemnego wstecznicstwa, niż do zdrowego rozwoju. Wszystko pożyteczne, co się u nas poczyna, rwie się jakoś po krótkim czasie, jak pajęczyna. Gdzie stąpić, tam grunt się zapada — ani charakteru, ani twardych przekonaniań, ani męskiej decyzji w ludziach. Rozpędu do prawdziwej, twórczej aktywności nie widać jeszcze, tej aktywności, która tworzy mądre prawa, wyzyskuje naturalne walory państwa, stwarza doniosłe dzieła, ściąga kapitał i podnosi kulturalnie i materialnie wszystkie warstwy narodu.

A godzina do takiej akcji właśnie wybiła. Niechże staną w szeregu ci, którzy ją słyszą i zdają sobie sprawę z jej znaczenia. Niech rozbudzą wszystkie warstwy społeczeństwa do aktywnej, twórczej, zorganizowanej pracy według zasad trzeźwych a prostych, rokujących realne rezultaty. Oczywiście nie usłyszają lub nie zrozumieją tego ci, którzy nigdy niczego nie chcą zrozumieć, zawsze niepoprawni, a zakuci w swych przestarzałych doktrynach i taktykach. Ale nad tymi przejdziemy do porządku!

17 lutego 1927.

ROLA PRZEMYSŁU W POLITYCE.

Przemysł polski, a zwłaszcza wielki przemysł, ma przed sobą olbrzymie zadanie, sięgające daleko poza zakres czysto gospodarczy. Nader szybki wzrost ludności w kraju, zamkniętym w stosunkowo szczupłych obecnych granicach, będzie

utrudniał coraz bardziej jej utrzymanie z roli i zmuszał coraz liczniejsze rzesze włościańskie do szukania zarobku przy warstacie przemysłowym. Jest to zjawisko elementarne, nieuchronne, któremu nie zaradzą żadne reformy agrarne, ani inne sztuczne środki.

To niezbędne zatrudnienie musi dać rzeszom bezrobotnym i bezrolnym rozwój przemysłu krajowego, jeżeli państwo nasze nie ma popaść w chroniczny kryzys socjalny i gospodarczy, podważający ustawicznie samą egzystencję państwa, nie mówiąc już o jego dobrobycie. Ale chcąc spełnić to wielkie zadanie, musi sam przemysł znaleźć się w stanie kwitnym, zdolnym do znacznej ekspansji zarówno ilościowej, jak i jakościowej, a w tym celu stworzyć sobie powinien odpowiednie warunki i ramy ustawodawcze oraz usunąć z drogi te wszystkie trudności i hamulce, które mogą mu stanąć na przeszkodzie pod względem materialnym lub formalnym. Leży to nietylko w jego oczywistym interesie, ale i w najżywotniejszym interesie całego społeczeństwa i państwa.

Ale osiągnięcie tego celu nie będzie tak długo możliwem, dopóki podstawowe decyzje o losach i strukturze gospodarczej państwa rozstrzygać się będą bez odpowiedniego wpływu i udziału sfer przemysłowych — udziału nietylko w sprawach ekonomicznych, ale i w ogólnej polityce państwowej. Sama bowiem ingerencja w pewnych doraźnych kwestjach, obchodzących daną gałąź przemysłu, nie wystarcza. Interwencje związków przemysłowych lub delegacje do ministrów czy różnych urzędów, wysyłane w ostatniej chwili celem obrony pewnych szczegółowych kwestji, nie stworzą jeszcze same przez się tego pożądanego wpływu sfer przemysłowych na rozwój stosunków w państwie. Dorywczą prośbą zwykle niewiele można wskórać. Aby osiągnąć wpływ istotny, musi przemysł zainteresować się, o ile możliwości, całokształtem spraw państwowych, wziąć żywy udział w polityce i zaważyć na jej szali całym swym autorytetem moralnym i materialnym.

Kto decydował u nas dotąd naprawdę o strukturze stosunków gospodarczych i o losie poważnych warsztatów pracy w kraju? W bardzo niewielkiej mierze ci, którzy je stworzyli i nimi zarządzają. Gospodarstwem krajowem rządziła przez osiem lat blisko demagogja z punktu widzenia swych haseł radykalnych, a nie w imię prawdziwych potrzeb przemysłu, rolnictwa i państwa wogóle. I podczas, kiedy w innych państwach

interesy przemysłu i handlu decydują nieraz o najdonioślejszych sprawach państwowych, o wojnie i pokoju, mógł u nas lada demagog jednym hałaśliwym wnioskiem w sejmie rozstrzygnąć dla swej osobistej reklamy o losie całych wielkich gałęzi gospodarczych, miliardowych wartości i setek tysięcy pracowników.

A działo się to dlatego, że przemysł, pogrążony w swych fachowych wyłącznie sprawach, niewiele interesował się ogólną polityką, reprezentowaną u nas, co prawda nieświetnie, przez jałowy aparat sejmowładczy. Można się było istotnie do tego zniechęcić. Ale wypadki takie, żeby nagłać petycje sanacyjne, kierowane zbiorowo do najwyższych czynników miarodajnych przez wszystkie najpoważniejsze instytucje gospodarcze w kraju, wędrowały nieuwzględnione do kosza, jak to się stało właśnie rok temu, nie powinny się powtarzać. Jedynym na to środkiem jest polityczna organizacja przemysłu, handlu i rolnictwa pod egidą jakiegoś racjonalnego programu, zdolnego uwzględnić naprawdę żywotne interesy prywatnego gospodarstwa w kraju w imię korzyści ogólnie - państwowych.

I z tego bardzo aktualnego punktu widzenia stanowi organizacja łódzkiego Oddziału Stronnictwa Prawicy Narodowej, w ośrodku wielkiego przemysłu, fakt bardzo doniosły, zarówno dla sfer gospodarczych, jak i dla sprawy poważnego ujęcia naszej polityki krajowej w ogóle. Dowodzi to, że nasze sfery wielkoprzemysłowe zrozumiały tę prawdę, iż interesy gospodarcze nie dadzą się pomyślnie traktować w oderwaniu od innych spraw państwowych, w których przemysłowcy winni wystąpić stanowczo ze swym zdaniem i postulatami. Wzmocni to znakomicie powagę i wartość integralną traktowania spraw publicznych, jeżeli miejsce różnych haselkowiczów demagogicznych i niedoświadczonych eksperymentatorów zajmą, przynajmniej w znacznej mierze, żywioły, reprezentujące wielkie wartości gospodarcze w państwie. Zresztą losy naszego przemysłu, a za nim — jak to zaznaczyliśmy na wstępie — także i pierwszorzędną sprawę zatrudnienia coraz liczniejszych rzesz bezrobotnych, rozgrywają się w mniejszej tylko części przy biurku lub warsztacie fabrycznym, w daleko większej zaś na forum, publicznym. I kogo tam zabraknie, ten nie będzie miał wpływu ani na kierunek gospodarstwa krajowego, ani nawet na los swego własnego warsztatu.

IDEA JAGIELLOŃSKA.

Wielka ekspansja granic politycznych i kultury polskiej w epoce jagiellońskiej nie miała w sobie ani cienia tego, co dzisiaj nazywamy imperjalizmem. Była to ekspansja drogą naturalnej atrakcji, działającej na tych wszystkich, którzy w obrębie granic lub pod egidą potężnego państwa widzieli wybitne dla siebie korzyści. Państwo było silne, bogate, więc każdy grawitował do niego, chociaż nie miało żadnych tendencji podbójczych. Ale miało mądrą, celową politykę. Ludzie ówcześni umieli patrzeć na dłuższą metę. Dlatego też epoka ta pozostała nam najświetniejszą spuścizną tradycji.

Ta tradycja, ta jedyna może w swym rodzaju taktyka, dążąca do osiągnięcia wielkich politycznych i kulturalnych rezultatów drogą spokojnej, żywiołowej ekspansji, dufnej w swe posłannictwo i siłę, pozostawiła nam najcenniejsze wytyczne na przyszłość. Polityki tej, która w naszym położeniu jedynie jest wskazana, nie powinny przesłaniać ani dorywcze namiętności, ani krótkowzroczne uprzedzenia, ani jednodniowe partyjne rachuby, ani wreszcie małoduszne obawy czy łatwowierność wobec intryg, podstępnych haseł lub krzyków nieprzyjaznej nam zagranicy.

Rozbiory sprawiły, że wielkie, etnograficznie nie polskie, ale silnie związane z państwem połacie dawnej Rzeczypospolitej dostały się na długie lat dziesiątki pod rozkładowy wpływ zaborców, którzy, nie szczędząc środków i sposobów, zdołali wreszcie zabić w tych dzielnicach starodawne ich uczucia państwotyczne i z rodaków urobić nam wrogów. Odnosi się to w pierwszym rzędzie do Litwy Kowieńskiej, do tej „świętej Żmudzi“, która spojona z Polską dziełem Jagiellonów, brała jeszcze przed pół wiekiem udział w walce o niepodległość. Ale wystarczyło tych ostatnich właśnie kilkudziesięciu lat rozkładowych zabiegów zaborcy, potem kilka lat niemieckiej okupacji, aby przekreślić kilkowiekową chlubną przeszłość i postawić dziś jeszcze, w osiem lat po ustąpieniu zaborców, Litwę Kowieńską w „stanie wojny“ z Polską.

Naszem teraz zadaniem jest destrukcyjne to dzieło przerobić, tak, jak przerobić bezwzględnie musimy podobne rezultaty poróżnienia nas z różnemi narodowościami, w obrębie naszych granic zamieszkałymi. Polska jest państwem, mającem pierw-

szorzędne kwestje narodowościowe do rozwiązania i od trafnego ich rozwiązania zależeć będzie w bardzo znacznym stopniu jej byt i stanowisko mocarstwowe.

Najważniejszą spuścizną epoki jagiellońskiej była niewątpliwie unja z Litwą, która uczyniła z obu tych państw mocarstwo pierwszorzędne, zdolne do odparcia ataków ze wschodu i zachodu. Bez tej unji nie byłaby się ostała Litwa, a niewładomo, czy byłaby się ostała i Polska. O tem w obu dzisiejszych państwach nikt ani na chwilę nie powinien zapominać.

Dzisiejsza Litwa Kowieńska nie jest coprawda współmierna z dawnem W. Ks. Litewskiem i nie przedstawia dla Polski tak wielkiej wartości. Bez porównania większe ma znaczenie dla Litwy przymierze z Polską. Ale i ta dzisiejsza, tak uszczuplona w swych granicach Litwa, stanowi dla nas klucz do pomyślnego rozwiązania niejednej pierwszorzędnej kwestji, zwłaszcza silniejszego osadzenia się nad Bałtykiem, zlikwidowania nieustannego zarzewia krzyżujących się wpływów i porozumień rosyjsko-niemieckich, a przez to i skuteczniejszego rozsądzenia obejmujących nas kleszczy. Zgoda polsko-litewska, ale zgoda silna i trwała, zmniejszy ogromnie rozmiar niebezpieczeństwa i nacisku, na jakie oba kraje są wystawione, a nadto wprowadzi t. zw. kwestję bałtycką na całkiem inne, daleko dla nich korzystniejsze tory.

Dla ugody potrzeba dobrej woli obustronnej. Kto ma zrobić początek? Niewątpliwie strona silniejsza i wyższą rozporządzająca kulturą. Nie przyniesie to jej żadnej ujemy. Nikt nas nie posądzi, że się staramy o względy wielokroć mniejszego państwa, każdy natomiast uzna, że robimy dobrą politykę. Litwa rozumie dobrze, że ma bez porównania więcej od nas do stracenia, bo jest pod każdym względem zbyt słabą, aby się długo mogła utrzymać. Najkorzystniejszym dla niej wyjściem jest bez żadnej wątpliwości unja z Polską. Żaden zdrowo myślący Litwin nie wierzy na serjo w szczęście swej ojczyzny pod egidą miękiej lub twardej pikelhauby. Narazie oślepia go jeszcze rozdmuchany sztucznie nacjonalizm i pola-kozerstwo, dzieło rosyjskich czynowników i pruskich okupantów. Ale otrzeźwienie już następuje, a naszą jest rzeczą, aby proces ten przyspieszyć.

Obawiają się tego przyspieszenia coraz bardziej zarówno Niemcy jak i Sowiety. Pierwsi miękną na samą myśl unji polsko-litewskiej i przez nacisk dyplomatyczny i finansowy oraz

przez wroga nam propagandę starają się podtrzymać słabnąca ku Polsce nienawiść. Drudzy usiłują zapomocą pojedynczych, pospiesznych traktatów z państwami bałtyckimi uprzedzić niewątpliwe skutki porozumienia polsko-litewskiego. Ale czas i siła faktów pracują na naszą korzyść, a konjunktura międzynarodowa przynosi nam w tej kwestji poparcie Anglii i całej zachodniej Europy, która wywiera nawet niedwuznaczny nacisk na Litwę w kierunku zbliżenia jej do Polski. Chwila jest więc wyjątkowo dogodna.

Nie mogą Litwini zresztą ani wątpić, ani zaprzeczyć, że istnieje w społeczeństwie polskiem jak najlepsza w tym kierunku wola, a nawet wyraźne tendencje.

Nie mogą tylko oczywiście Litwini żądać przekreślenia pięciowiekowego procesu historycznego i powrotu do państwa Gedymina, podobnie jak i Polska nie mogłaby dzisiaj żądać np. zwrotu całego piastowskiego Śląska, Łużyc i Szczecina. Jak Wrocław i Szczecin są dzisiaj zbyt niemieckimi miastami, wzrosłymi od niepamiętnych czasów na niemieckiej kulturze i objętymi od zbyt dawna naturalną ekspansją niemiecką, abyśmy mogli rościć jakiegokolwiek, choćby nawet teoretyczne pretensje do nich — tak i Wilno jest od zbyt dawna ogniskiem polskiej kultury i jedną ze stolic polskich, uświetnioną wielką polską tradycją, aby mógł dzisiaj ktokolwiek występować z żądaniem przerobienia go nagle na narodowościowo litewskie miasto. Na stolicę chwilowo sprzymierzonego z Polską państewka, wrogiego polskiej kulturze i gotowego każdej chwili łączyć się z Niemcem czy z bolszewikiem, żaden Polak Wilna nie odda. Pod tym względem niech powiedzą sobie Litwini za Dantem: *Lasciate ogni speranza...* Ale rzecz inna, że może się Wilno znowu stać ośrodkiem wielkiego a trwałego przymierza polsko-litewskiego, będącego odrodzeniem tradycji i współżycia, przerwanych brutalnie przez najeźdźców przed stu laty. Do tego każdy Polak i każdy Litwin może i powinien dążyć.

Pojednanie dwóch historycznie, kulturalnie i gospodarczo związanych ze sobą przez wieki całe narodów mogą czynniki zewnętrzne wszelkimi dostępnymi im środkami utrudniać. Ale czas jest już może niedaleki, kiedy polityka Litwy, dzięki mądrej, czujnej i konsekwentnej polityce Polski, odnajdzie klucz do zagubionej przez siebie idei jagiellońskiej.

16 kwietnia 1927.

INICJATYWA PRYWATNA W SANACJI GOSPODARCZEJ PAŃSTWA.

Wytyczne polityki obecnego rządu nie powinny być dla nikogo zagadką. Niestusznie też skarżą się niektóre stronnictwa i dzienniki na brak programu rządowego lub na zasłonę, która rzekomo jeszcze pokrywa cele czynników miarodajnych.

Istotnie, pewna zasłona okrywała z początku te cele, wytwarzając przez to pewien moment nieufności różnych sfer społeczeństwa do dróg i poczynąń sfer rządzących. Ale zasłona ta rozwiała się stanowczo w ostatnich miesiącach i dzisiaj wątpliwości istnieją już tylko dla tych, którzy się ich z uporem dopatrują. Marszałek Piłsudski wyszedł z założenia, że głównym powodem wszelkich niedomagań państwa była hipertrofia partyjnictwa politycznego. Dlatego chce zniszczyć, a już conajmniej znacznie zniwelować dotychczasowe różniczkowania partyjno-polityczne w społeczeństwie, a na ich miejsce zainicjować szeregowanie się narodu w grupy interesów zawodowych i gospodarczych pod sztandarem realnej pracy państwowej. Że zaś praca tego właśnie rodzaju nie jest możliwą bez wydatnego współdziałania walorów kulturalnych i państwowo-twórczych, którymi rozporządzają przede wszystkim wyższe, politycznie i społecznie umiarkowane warstwy społeczeństwa, więc też rząd obecny — w zrozumieniu tej prawdy — usunął im z drogi różne przeszkody, które przedtem hamowały ich działalność i wezwał je temsamem całkiem niedwuznacznie do intensywniejszego współdziałania w wielkiem dziele odrodzenia państwa.

Na miejsce różnych poprzednich koncepcyj o ustroju naszej ojczyzny, podyktowanych doktryną czy ambicją partyjną, powstać ma Polska „bezprzymiotnikowa”, t. j. nie nacjonalistyczna, nie ludowa, nie socjalistyczna, ale krótko Polska — ta właśnie, której idea tkwiła w naszych uczuciach pod rządami zaborców, a którą po odzyskaniu niepodległości zniekształciły chwilowo rozwydrzony radykalizm lewicowy i prawicowy oraz bezmyślna sejmokracja.

Oto najniezawodniej program marszałka Piłsudskiego i jego rządu. O tem każdy już dzisiaj powinien wiedzieć i nie zniechęcać się tem, że w dążeniach do osiągnięcia tego celu widzi tu i ówdzie nawet dotkliwe przygodne niedomagania i usterki.

Na taki też program pisać się mogą wszystkie naprawdę pa-trjotyczne żywioły w państwie i o ile rząd pójdzie dalej kon-sekwentnie po tej drodze — a nie mamy powodu o tem wą-pić — to pewien być może niekłamanego poparcia ze strony tych żywiołów oraz wydatnej ich współpracy.

Ale kapitalną rolę gra w tem wszystkim jedna kwestja z zakresu techniki gospodarczo-politycznej. Jeżeli rząd jakie-goś państwa dąży do „odpolitykowania“ ludności, to powinien dać jej odpowiednie zajęcie i możność wydatnej, lukratywnej pracy. Im więcej produktywnej pracy ekonomicznej, im więcej zarobku i dobrobytu — tem mniej będą ludzie politykować. Wszelka hipertrofia politykowania wpływa przedewszyst-kiem z nędzy, bezczynności i niezadowolenia. Jestto prawda stara jak świat i tego żywiołowego zjawiska nie zmieni żaden nacisk ustaw czy rozporządzeń, ani wola kierowników nawy państwowej. Niemasz skuteczniejszej broni w walce z par-tyjniactwem, a zwłaszcza z radykalizmem i demagogją, jak od-powiednie poparcie inicjatywy i przedsiębiorczości prywatnej, zainteresowanie umysłów twórczą pracą i wysokim zarob-kiem, stworzenie pola dla szerokiej ekspansji energii i zdol-ności indywidualnych oraz dla godziwego zysku.

Tymczasem, mimo licznych enuncjacji przedstawicieli rządu przy różnych sposobnościach oraz rozgłosnej reklamy, robio-nej inicjatywie prywatnej rzekomo w uznaniu jej konieczności, ewolucja naszego życia narodowego, dzięki nieszczęsnemu dziedzictwu poprzednich rządów, idzie ciągle jeszcze wybitnie w kierunku etatyzacji, aby nie użyć wprost słowa socjalizacji. Wszystko robi i ma robić państwo, przejmując na siebie coraz większe ciężary administracyjne, a twórcza myśl i przedsię-biorczość obywatelska są w istocie rugowane, redukowane, proskrybowane w opinii rządu, a za nim niestety coraz bar-dziej i w opinii publicznej, nawet w opinii naszych szerokich sfer gospodarczych. Kto nie wierzy, niech nie dyskutuje, ale wystąpi z jakimkolwiek projektem twórczym, projektem stwo-rzenia czegoś nowego w zakresie gospodarstwa krajowego, a przekona się aż nadto dobitnie o smutnej prawdzie powyż-szej tezy.

Państwo ma swym kapitałem i swymi urzędnikami budować i prowadzić fabryki, kopalnie i koleje, zakładać banki, two-rzyć flotę handlową i partycypować we wszelakich przedsię-biorstwach, narzucając im w szczegółach swą wolę. Państwo

ma władać rolą i lasami i gospodarować za swych obywateli, decydując o losach własności prywatnej. Gdzie nie występuje państwo, tam działać mają conajmniej samorządy. Prywatny przedsiębiorca — to paskarz lub obszarnik, którego zniszczyć należy, bo daleko lepiej przysłużą się gospodarstwu krajowemu urzędnicy, lub conajmniej dzierżawcy. Jeśli zaś tymczasowo toleruje się w pewnym stopniu pracę i inicjatywę prywatną, to obciążać i krępować ją trzeba skombinowanym aparatem ustaw, koncesji, przepisów, świadczeń i wszelakich „zdobyczy postępu”, aby tylko nie rozwinęły się ponad interes pochłaniającego wszystko i wszystkich etatyzmu. Wszak zarabiać — to rzecz zdrożna, niedemokratyczna. Obywatel powinien płacić podatki; skąd na nie weźmie, to jego rzecz, ale zarabiać nie powinien. Smutne to i śmieszne zarazem — ale prawdziwe.

Zapewne, że na zanik inicjatywy prywatnej z jednej, a na hipertrofię etatyzmu z drugiej strony złożyły się w ciągu ośmiu lat ubiegłych także pewne przyczyny wyższe, natury walutowej i ogólno-gospodarczej. Znamy je dobrze. Skończyło się na tem, że przejściowo państwo tylko znalazło się w posiadaniu większych gotówkowych kapitałów i dlatego nie tylko zapanowało nadmiernie nad prywatnem życiem gospodarczem, ale, co gorsza, przyzwyczaiało swych obywateli myśleć i kalkulować tylko z uwzględnieniem pomocy państwowej. Wszakże dzisiaj żaden projekt nie rodzi się w niczyjej głowie bez przyjęcia z góry przynajmniej „pewnego udziału” państwa.

Gdy niedawno na zebraniu Stronnictwa Prawicy Narodowej w Krakowie jeden z mówców podniósł potrzebę pobudzenia inicjatywy prywatnej w społeczeństwie, zgromił go nazajutrz „Głos Narodu”, a więc organ wcale nie lewicowy, za hamowanie „społecznych funkcji” państwa! Sapienti sat.

A przecież — powie ktoś — popiera się u nas dosyć przedsiębiorczość prywatną. Istnieją przecież kredyty i gwarancje różnego rodzaju, a banki państwowe idą na czele tej akcji. Wspomaga się, jak tylko można, przemysł, rolnictwo, rękodziela i t. d.

Tak, ale najpierw tego mało, bardzo mało i najeżone to jest takimi trudnościami i formalnościami, że prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż uzyska pomoc finansową ten, kto naprawdę jej potrzebuje. Powtóre zaś — i przedewszystkiem — zachodzi w całej tej sprawie pewna wielka omyłka,

która hamuje dotkliwie cały nasz rozwój gospodarczy i wiele już kosztowała zarówno państwo, jak i banki i prywatnych kapitalistów.

Wspomaga się mianowicie tylko to, co już istnieje, co przedstawia odpowiednią wartość hipoteczną. Dobry obiekt hipoteczny znajdzie prawie zawsze źródło zasiłku czy kredytu, nowa inicjatywa nigdy. Przyzwyczailiśmy się finansować z reguły tylko istniejące mury i instalacje, nie zaś interes jako taki, niewiele zastanawiając się nad tem, czy dane mury lub instalacje, chociaż nieraz imponujące z pozoru, mają w dzisiejszych specjalnych warunkach istotnie więcej racji bytu i perspektywy rentowności, niż jakiś dobrze obmyślany, aktualny nowy projekt czy interes.

Z chwilą ustąpienia zaborców ze zniszczonego wojną kraju wyłoniło się żywiołowo hasło odbudowy gospodarczej. Ale hasło to rozumiano zbyt jednostronnie i skierowano prawie cały wysiłek oficjalny i prywatny na rekonstrukcję starych murów i ruin wojennych, nie bacząc na wypróbowany aksjomat, że najlepszym bodźcem do odbudowy zniszczonych osad i warsztatów jest przede wszystkim śmiałe tworzenie nowych placówek wytwórczości i zarobku. A i dzisiaj jeszcze, po ośmiu latach dostatecznego doświadczenia i czasu na refleksję, opinia publiczna, nawet opinia sfer gospodarczych, nie liczy się z tem, że nie wszystko to, co wojna na ziemiach polskich zniszczyła, godne jest naprawdę większego wysiłku na odbudowę czy podtrzymanie, gdyż nowe granice państwa stworzyły nam całkiem odmienne od przedwojennych warunki produkcji, zbytu i rentowności. Dlatego też jednostronny wysiłek pracy i kapitału w kierunku forsownego podtrzymywania wielu przedsiębiorstw przedwojennych, dzisiaj w istocie niezdolnych już do intensywniejszego życia, a co najwięcej tylko do miernej wegetacji, jest topieniem walorów narodowych w beczce Danaid. Odczuły to już dotkliwie i kapitał prywatny i polityka kredytowa banków państwowych.

Nie uwzględnia się natomiast oczywistego faktu, że obecny nasz organizm gospodarczy, zlepiony z trzech części zaborowych, z których każda była przez długie lata tylko skrawkiem wielkich obcych organizmów, jest tworem kadłubowym, w którym brak wielu najważniejszych czynników, bez jakich organizm ekonomiczny dużego samodzielnego państwa obyc się nie może — i że wobec tego właśnie nowa inicjatywa i nowe war-

sztaty gospodarcze, celowo zaprojektowane i dostosowane zakresem swego działania do aktualnych warunków, przedstawiają najlepsze widoki żywotności i rentowności. Ale o tem nasza opinia gospodarcza, zorientowana raz w kierunku podpierania starych murów i restauracji ruin, a odstraszoną nadto chwilowymi przewrotami walutowymi oraz chwilową szczupłością i drożyzną kapitału, nawet słyszeć nie chce, uważając wszelką inicjatywę za „nierealną i nieaktualną”. Jeśli zaś coś nowego wogóle się tworzy, to naprawdę zawsze albo na niezdrowych podstawach spekulacji, skazanej z góry na zagładę, albo z inicjatywy rządu, wprowadzającej postępową etatyzację życia gospodarczego do państwa.

Poza tem żaden bank i żaden kapitał prywatny (a nie brak go jednakże całkiem w kraju) nie chce wystąpić z inicjatywą twórczą, nietylke dlatego, żeby istotnie nie mógł, ile przede wszystkim dlatego, że nie chce. Przyczynia się do tej abstynencji niemało także i nawskroś antykapitalistyczny ustrój i nastrój państwa, który nietylko nie popiera wyższej rentowności przedsiębiorstw, ale pod wielu względami godzi nawet wprost z podstawy ich większego rozwoju, powodując ogólne zniechęcenie i rezerwę kapitalistów, zarówno swojskich, jak i obcych. W dziwnem przeciwieństwie natomiast do tej powszechnej, grubo przesadzonej ostrożności wobec zdrowej inicjatywy twórczej stoją liczne wypadki, gdzie ostrożność i selekcja w polityce kredytowej bardzo byłaby wskazana, a gdzie jednak dziwna panuje bezkrytyczność, która „zagważdza” lub nawet topi kapitały prywatne i bankowe w różnych przedsięwzięciach, niedobrze zbadanych, ale dobrze „zarekomendowanych”.

I w tem błędnem kole obracamy się od lat ośmiu i chociaż obecnie warunki pracy ekonomicznej znacznie się już poprawiły, to jednak nie widać jeszcze jaśniejszej drogi na przyszłość, bo nie widać zdecydowanej woli wyjścia z tego koła. Drogę tę utorowałoby na serjo dopiero stanowcze zerwanie ze systemem antykapitalistycznym w każdej postaci i takie ułatwienie i uprzywilejowanie twórczej inicjatywy, aby kapitał prywatny polski i obcy został odpowiednio zachęcony do śmiałego podjęcia nowych interesów i tworzenia nowych, racjonalnych i aktualnych placówek pracy i zysku.

W tym też kierunku pchać trzeba stanowczo i nasz świat bankowy, którego doniosłej roli jako pierwszorzędnego instru-

mentu gospodarczego i politycznego rządu nasze zdają się nie doceniać. Ale banki nasze, zbiegiem całego szeregu okoliczności technicznych i psychologicznych, wykoleiły się od kilku lat ze swej roli, zrywając bliższy, fachowy kontakt z życiem gospodarczem i tracąc przez to zarówno głębsze zrozumienie dla niego, jak częstokroć i zdrową, trafną krytykę. Zbyt łatwo idą po linii najmniejszego oporu, dając się unosić każdym chwilowym fluktuom, a żadnego na serjo nie robią wysiłku, aby nad nimi, przynajmniej w pewnym stopniu, zapanować. Żyją bez programu, konjunkturą chwili — i w tem jedna z głównych przyczyn ich słabości i upadku. Dlatego też gruntowna reforma techniki i taktyki (aby nie rzec: psychiki!) naszych poważniejszych instytucyj finansowych jest pierwszym i nieodzownym warunkiem zapoczątkowania prawdziwej sanacji stosunków ekonomicznych w państwie i to tembardziej, że na tem polu najlepiej stworzyć się może podstawa dla szerokiego rozwoju inicjatywy prywatnej.

A inicjatywa ta — to zarazem energia i prężność narodu, a więc najcenniejszy walor społeczny, który każde państwo jak najstaranniej pielegnować powinno. Nie zastąpi jej nigdy ciężka i kosztowna gospodarka państwowa, ani też wola czy wymowa kierowników rządu.

28 maja 1927.

FRONT GOSPODARCZY.

Zginać musi z anemji każde stronnictwo, czy ugrupowanie, któremu brak idei jasnej, praktycznej i aktualnej w danych warunkach. Nie zastąpią jej ani ambicje przywódców, ani zapal szeregowców, ani najgorętsza propaganda, ani pieniądze. Stronnictwo bez idei jest trupem, którego chwilowa galwanizacja wyborcza, ani różne dorywcze zastrzyki nie są w stanie naprawdę ożywić.

Nasze stronnictwa sejmowładcze, nawet najpopularniejsze, chromają wszystkie na brak lub conajmniej na mocne wypłócenie idei, które ongiś powołały je do życia. Doktryny ich zużyły się i wytarły, a wobec szybkiego marszu postępu i wy-

magają rzeczywistości straciły aktualność. Przyspieszył ich upadek nadmiar egoizmu partyjnego czy klasowego w założeniu i w praktyce, nie liczący się z nikim i z niczem, nawet z własnym, dobrze zrozumianym interesem. Zeszły do roli żłobu, z dniem każdym próżniejszego. Nikt już, nawet wśród ich własnych protagonistów, na serjo w ich twórczość nie wierzy. Idzie jeszcze tłum za nimi okolicznościowo, rozpędem bezwładności mas, ale bez wiary. Tracą szybko adeptów na prawo i lewo. Na prawo jest konserwatyzm, na lewo komunizm.

Komunizm, którego lekceważyć nie wolno, jest doktryną przede wszystkim gospodarczą. Głosi wspólność dóbr materialnych, ze wszystkimi jej konsekwencjami. Robi zastraszające postępy na podłożu zniechęcenia mas i jałowości ideowej naszych ugrupowań politycznych. Oświadczyła się za nim, mimo unieważnienia jego listy, prawie jedna czwarta głosów przy wyborach do Rady miejskiej w stolicy kraju. Z doliczeniem zaś głosów innych ugrupowań socjalizujących, opowiedziało się niemal połowa Warszawy przeciw gospodarce prywatnej i prywatnemu stanowi posiadania. To są fakty.

A fakty te są przede wszystkim naturalną konsekwencją suwerennego lekceważenia, z jakim traktowały u nas dotąd niemal wszystkie stronnictwa sejmowe tę właśnie prywatną gospodarkę i stan posiadania. Nie oszczędziła ich w bezwzględnej pogoni za popularnością w szerokich, ciemnych masach ani prawica, ani lewica. Ale i same zainteresowane sfery gospodarcze i posiadające, rolnictwo, banki, przemysł, handel, rzemiosła i nieruchomości miejska, nie starały się na serjo o reformę tego stanu rzeczy, oddając się bezkrytycznie w ręce stronnictw demokratycznych, mimo raz po raz doznawanych gorzkich zawodów.

Trwożliwy antykapitalizm z góry idzie na spotkanie coraz śmielej panoszącego się antykapitalizmu z dołu. I na to żadne fundusze wyborcze, ani tonny odezw, rozrzucanych w ostatniej chwili, nie pomogą.

Pomódz może i musi zwalczanie wspólnego nieprzyjaciela własną jego bronią — gospodarczą. Złemu uświadomieniu bałamuconych mas przeciwstawić trzeba dobre uświadomienie warstw posiadających — i nie tylko uświadomienie, ale zwartą, silną organizację. Podnieść trzeba śmiało i bez wahania sztandar obrony własności prywatnej, inicjatywy indywidualnej i in-

interesów gospodarstwa narodowego — podnieść go nie tylko w imię ich własnych korzyści, ale zarazem ochrony naszego bytu państwowego, ideałów narodowych, cywilizacji i kultury, jednak zagrożonych postępowaniem doktryn proletaryzujących.

W tem założeniu, nieuchronną koniecznością narzuconą, złączyć się muszą w jeden wspólny front wszystkie żywioły, reprezentujące w państwie poważne walory gospodarcze, a przede wszystkim produktywne warsztaty pracy. Muszą wyzwoić się z pod opieki wątpliwych protektorów, zacząć raz nareszcie myśleć samodzielnie o swych losach i niemi też pokierować. Muszą także zrozumieć, jeżeli chcą istnieć, że ich warsztat pracy jest częścią państwa i że wspólne są obu koleje. Polityka — byle realnie i uczciwie traktowana — i gospodarstwo krajowe, to nie dwa różne pojęcia czy zajęcia, ale jedno. Polityka, która nie uwzględnia w całej pełni żywotnych interesów gospodarczych, nic nie jest warta, ale niewiele też wart jest gospodarz, który nie ma zrozumienia dla spraw politycznych państwa i powierza obronę swej egzystencji na arenie publicznej niepowołanym pośrednikom.

W tej akcji, jasnej i oczywistej, grupującej w imię realnych interesów własnych i państwowych stan posiadania i produktywną pracę, tkwi najżywotniejsza idea i więcej, bo obowiązek patriotyczny, dyktowany nakazem położenia. I w niej też najwybitniejsza, niejako naturalna rola przypada ugrupowaniom o charakterze zachowawczym.

ETATYZM CZY INDYWIDUALIZM W GOSPODARSTWIE PAŃSTWOWEM.

Uwagi nad zagadnieniem frontu gospodarczego w Polsce
w związku z programem Stronnictwa Prawicy Narodowej.

(Odczyt wygłoszony na zebraniu dyskusyjnym Oddziału Stronnictwa Prawicy Narodowej w Warszawie 30 maja 1927 r.)

Każde poważne ugrupowanie polityczne, zdolne naprawdę do życia, musi posiadać w swym programie pewną zasadniczą myśl przewodnią, pod której impulsem się rodzi i która stanowi jego rację bytu i platformę działania. Brak lub zanik takiej

idei twórczej pociąga za sobą w nieuchronnem następstwie rozkład i upadek każdego stronnictwa, któremu w takim wypadku ani silna organizacja techniczna, ani wpływy polityczne, ani środki materialne, ani nawet popularność nie są w stanie pomódz.

Ale idea twórcza tego rodzaju, powołująca do życia nowe prądy opinii publicznej i nowe silne ugrupowania polityczne, nie da się stworzyć sztucznie. Musi wyłonić się sama przez się, żywiołowo, z biegu wypadków i konjunktur politycznych, jakim podlega w danym okresie społeczeństwo. Stronnictwo, które powstaje pod jej impulsem, ujmuje ją tylko i doskonali w szczegółach, buduje na niej swój program i doktrynę — ale jej nie stwarza. Idee bowiem, stworzone sztucznie przez ambitne jednostki lub żadne władzy kliki polityczne, nie mają siły twórczej i nie są niczem innem, jak polityczną lub socjalną spekulacją. Nie pomogą im też nawet znaczne chwilowe sukcesy.

Stronnictwo Prawicy Narodowej stoi w tej chwili na przełomie swej historii. Wyszedłszy z murów Krakowa i rozszerzając swą akcję na całe państwo, niesie wszędzie swój bardzo cenny dorobek tradycji, dyscypliny organizacyjnej i taktyki, która obiektywizmem swym i umiarem góruje bezsprzecznie nad innymi, bardziej uczuciem lub porywem dyktowanymi kierunkami polskiej myśli politycznej. Ale działa w tym momencie tym właśnie tylko dorobkiem, ustosunkowując się na tej, raczej tylko technicznej platformie działania do wypadków dnia. Nie może bowiem przenieść w obecne warunki swej naczelnej idei, która niegdyś, po upadku powstania styczniowego, stała się motorem jego genezy i działania. Była to idea realnej pracy nad odrodzeniem pogńębionego politycznie narodu, opartej na lojalizmie wobec monarchji austro-węgierskiej, a specjalnie wobec dynastji Habsburgskiej. Ta idea, to podstawowe założenie, najzupełniej usprawiedliwione ówczesną sytuacją i realnością widoków powodzenia, które je konserwatystom krakowskim wprost narzuciły jako jedyny środek ratowania i wzmocnienia życia narodowego pod obcym zaborem, straciło oczywiście aktualność z chwilą wskrzeszenia państwa polskiego. To też energja i prężność Stronnictwa oraz cały jego sześćdziesięcioletni zasób doświadczenia oprzeć się muszą w niepodległej ojczyźnie o nową platformę działania, nową myśl przewodnią, równie realną i aktualną i równie owocną dla kraju, jaką była dawna w okresie zaborów.

A idei takiej i tym razem szukać nie trzeba, bo narzucają ją znowu historyczne warunki. Wyłania się istotnie żywiolowo, jako naturalny odruch, dyktowany wszystkim zdrowo myślącym sferom społeczeństwa polskiego przez pewien państwowy instynkt samozachowawczy. Unosi się i akcentuje coraz wyraźniej, coraz intensywniej w obecnej atmosferze szybkiej ewolucji wewnętrznych stosunków państwa. Ma zaś dwa fronty: jeden walki z doktryną wywrotu, drugi twórczy, na polu przedewszystkiem gospodarczem, a za nim i na innych.

Do upadku dawnej Rzeczypospolitej Polskiej przyczynił się w wysokim stopniu nadmierny przerost indywidualizmu w rządzącej wówczas państwem warstwie szlacheckiej, który jej doraźną, krótkowzroczną korzyść postawił na piedestale polskiej racji stanu, z niemal zupełnem pominięciem interesu ogólnopaństwowego. To też, w zrozumieniu tej wielce szkodliwej anormalji, wszystkie hasła i usiłowania naprawy Rzeczypospolitej, podejmowane przed i po rozbiorach, miały właśnie na celu przedewszystkiem przywrócenie równowagi między interesem publicznym o prywatnym, okrojenie zbyt wielkiej ilości indywidualizmu prywatnego na rzecz niezbędnych potrzeb państwa.

Dzisiaj, po wskrzeszeniu niepodległości, jesteśmy świadkami wprost przeciwnego zjawiska. Mimo demokratycznych haseł wyzwolenia społecznego i wolności osobistej, rzuconych rozgłośnie przez wszystkie ugrupowania postępowe, mimo niemniej rozgłośnego potępienia przez całe społeczeństwo polskie, zwłaszcza w stolicy, dawnego biurokratyzmu rządów zaborczych, ogarnął Polskę prawdziwy zalew etatyzmu i biurokracji, hamujący od początku dotkliwie normalny rozwój państwa, nakładający na społeczeństwo i jego pracę publiczną nieznośne pęta i przewyższający naprawdę najprzykreszejsze doświadczenia w tym względzie okresu zaborów.

Jesteśmy świadkami wcielonego w czyn paradoksu, że w miarę rozpowszechniania się haseł i idei demokratycznych, coraz radykalniejszych, obiecujących szerokim warstwom społeczeństwa raj wolności, w miarę niemal nieograniczonego rozszerzania praw obywatelskich, państwo-moloch zagarnia coraz dalsze dziedziny prywatnego życia i pracy, ingerując wszędzie, hamując coraz dotkliwiej swobodę osobistą, regulując drobnostkowo każdy niemal ruch i krok obywatela, wydzierając jednostce i inicjatywie prywatnej coraz większe obszary z ich do-

tychczasowego zakresu działania i wprowadzając wszędzie swój ciężki, zbyt często nieudolny, a zawsze wielce kosztowny aparat biurokratycznej administracji. Formalistyka etatystyczna święci też z dnia na dzień swe tryumfy i to takie, o jakich w czasach przedwojennych nikomu się nawet nie śniło.

Wszystko, co się w kraju tworzy lub ma tworzyć w jakiegokolwiek dziedzinie, robi i ma zrobić państwo. Rząd lub wyłonięne przez niego instytucje oficjalne, albo już conajmniej samorządy, występują w coraz szerszym zakresie nie tylko jako kierownicy gospodarki narodowej, ale wprost jako przedsiębiorcy, eliminując z dnia na dzień coraz więcej przedsiębiorców prywatnych, utrudniając im różnymi ciężarami i więzami inicjatywę i chęć do pracy.

Państwo obejmuje siecią monopolów lub conajmniej ścisłej kontroli najważniejsze gałęzie produkcji krajowej, utrzymuje własne banki, odgrywające dominującą rolę finansową w życiu gospodarczym, zakłada fabryki, uczestniczy w największych przedsiębiorstwach. Jakkolwiek pomyślnie są same w sobie wszystkie te fakta powstawania wielce użytecznych instytucji, to jednak słuszne w innych warunkach uczucie zadowolenia hamuje tu przygnębiająca świadomość, że są zarazem rezultatem wzmagającego się etatyzmu.

Co więcej, ustrój państwowy podrywa i niszczyć zaczyna zasadnicze podstawy najproduktywniejszych prywatnych warsztatów pracy, stanu posiadania i prawa własności wogóle. Przymusowe wywłaszczenia, dokonywane pod różnemi postaciami, znaczne ograniczenie praw właścicieli realności miejskich, nieracjonalny ustrój podatkowy, skierowany wyraźnie ku pognębieniu doskonalszych warsztatów pracy, przeróżne reglamentacje finansowe i formalne oraz niezliczona moc wszelakich nakazów i zakazów w każdej dziedzinie, w których współzawodniczą na wyścigi wszystkie nasze dykasterje urzędowe — oto wymowne symptomy tego postępowego etatystycznego paraliżu, na który choruje od lat ośmiu polska myśl państwowa.

Zaraża się nim i inicjatywa prywatna, o ile mimo wszystko gdzieś jeszcze wegetuje, bo — *consuetudo altera natura*. Stopniowo przyzwyczajają się wszyscy w swych zamierzeniach myśleć tylko przez państwo i to tak dalece, że dzisiaj już prawie żaden projekt nie rodzi się w niczyjej głowie bez równoczesnej kalkulacji na pomoc państwa.

Zważyć zaś przytem i to jeszcze należy, że panuje w kraju nastrój wybitnie antykapitalistyczny, mimo wszelkich pozorów walki ze socjalizmem i komunizmem. Rozwiczrzony, bezmyślny radykalizm, podsycany ustawicznie przez demagogów, a nie zwalczany dostatecznie przez rząd oraz warstwy posiadające, przerobił psychikę oficjalną i opinię szerokich mas w kierunku jeżeli już nie wprost nienawiści, to conajmniej niechęci do wszelkiego większego stanu posiadania, wyższej kultury i doskonalszej produkcji, uprawianej przy pomocy większych środków. Idea proletaryzacji społecznej, konsekwentny rezultat współdziałania przerostu etatyzmu oraz różnych idei radykalnych i wywrotowych, zatacza coraz szersze kręgi, wżerając się w krew i kość społeczeństwa, wytwarzając ferment, nieprzyjazny wzrostowi kultury i prywatnego dobrobytu. Faktem jest, że ludzie, którzy coś mają i coś umieją, są zmuszeni tego się wstydzic.

Nie należy się tu łudzić i stanu rzeczy obślaniać. Stoimy pod znakiem powolnej i spokojnej, ale niemniej postępującej naprzód socjalizacji, która z roku na rok, to wyraźnie, to nieuchwytnie, prawem i lewem, bez względu na zmiany rządów i przemiany w naszych ugrupowaniach politycznych, ogarnia nietylko cały ustrój państwowy, nietylko stan posiadania i pracę prywatną, ale równocześnie i psychikę społeczeństwa. Walcząc z komunizmem i socjalizmem, zwalczamy tylko formę, a nie zwalczamy wcale ich treści — etatyzmu. Wśród zawieruchy zmagania partyjnych, klasowych, narodowościowych i wyznaniowych, wśród całej walki naszej wewnętrznej, niestety zbyt dorywczej, o ustrój i mocarstwowy rozwój państwa, która absorbuje całkowicie nasze myśli i wysiłki, nie dostrzegamy, nie czujemy nawet tego żelaznego walca etatyzmu i socjalizacji, który toczy się naprzód nieubłagane, nie hamowany na serio przez nikogo, niwelując coraz bardziej usiłowania i swobodę jednostki na rzecz maszyny państwowej, w myśl założenia socjalistycznych.

Na ten stan rzeczy złożył się szereg przyczyn, których działanie kumuluje się od samego początku wskrzeszonej niepodległości, a mianowicie:

- 1) Wszechświatowy ruch socjalistyczny, który po wielkiej wojnie rozwinął się ze spotęgowaną intensywnością w większości państw i zaakcentował się niemniej w całej rozbudowie podstaw ustrojowych młodego państwa polskiego, podporząd-

kowując swej komendzie wszelkie inne tendencje radykalne, rozpowszechnione wśród szerokich warstw ludowych. U nas ruch ten socjalizujący, zwłaszcza od czasu przybrania dość znacznego narodowego zabarwienia, powołać się może na pewne niezaprzeczane zasługi. Z łona bowiem socjalizmu polskiego wyszła pierwsza inicjatywa walki o niepodległość, która skrzystalizowała się potem w Legionach, a w pewnej naturalnej konsekwencji i w pierwszych rządach oswobodzonego państwa. Nie należy przy tem przeoczyć ważnej okoliczności, że jakkolwiek fatalne były te pierwsze rządy pod względem ustawodawczym, administracyjnym i gospodarczym, to jednak charakterem swym zdecydowanie narodowym przeciwstawiły się skutecznie silniejszemu wtargnięciu do Polski bolszewizmu. A działo się to w okresie, kiedy, poza narodową demokracją — zawsze skrajnie jednostronną, demagogiczną, a pod względem twórczym nieudolną — wszystkie więcej wartościowe czynniki w społeczeństwie polskiem skapitulowały nagle wobec olśniewającego faktu niepodległej, demokratycznej ojczyzny i pozornie nasrożonego, chociaż w istocie niezbyt groźnego widma swojskiego radykalizmu. Nie trzeba nadto zapominać, że wśród członków obu naszych kolejnych ciał ustawodawczych socjaliści mieli bodajże najtęższych, politycznie i parlamentar nie najbardziej wyrobionych przedstawicieli.

Nic więc dziwnego, że w takich warunkach musiała w nowo powstającej strukturze państwa zapanować w bardzo znacznej mierze, jeżeli nie wprost doktryna, to przynajmniej ogólna tendencja socjalistyczna, wyrażając się wybitnie w naszym ustawodawstwie i praktyce administracyjnej, poczynając od idei wszechwładzy państwa, reformy rolnej i innych „zdobyczy ludowych”, aż po zwalczanie szkoły polskiej na kresach, zgodne z pewnemi narodowościowemi założeniami światopoglądu socjalizującego.

2) Gospodarka wojenna, która ze względów militarnych i aprowizacyjnych spowodowała chwycenie w rękę przez rządy państw wojujących najważniejszych gałęzi gospodarstwa krajowego, oraz niebywałe przedtem skrępowanie swobód obywatelskich. Rządy młodej Polski, pod wpływem nieszczęsnego hasła gospodarki przejściowej, nie potrafiły uczynić z początku nic innego, jak przejść się tym systemem, zużytkowując aż na zbyt gorliwie stworzony przez władze zaborcze i okupacyjne stan rzeczy i aparat administracyjny.

3) Niewyrobienie ogółu urzędników państwowych, którzy objęli w pierwszych latach funkcje i odpowiedzialność, przerażające znacznie ich wiedzę fachową i doświadczenie. Wszystkich, zwłaszcza zdolniejszych i zasłużonych urzędników z czasów przedwojennych, którzy z natury rzeczy byli predestynowani do stworzenia zdrowej podstawy przyszłej administracji polskiej, ogłoszono za przedawczyków i biurokratów, a w ich miejscu stworzono na prędce nowy aparat, oczywiście zupełnie niefachowy, który właśnie swym brakiem zawodowego wykształcenia i doświadczenia zapoczątkował od razu system etatyzmu i całkiem swoistej biurokracji, w skutkach wielokrotnie gorszej i przykrzejszej od dawnej rutyny urzędowej państw, administracyjnie wyrobionych.

4) Jedną z najważniejszych przyczyn postępu etatyzmu był i jest jeszcze po dziś dzień niedostatek kapitału prywatnego. Pomijając krótki okres inflacji i szału spekulacyjnego, który dodał pewnego chwilowego bodźca inicjatywie prywatnej, co-prawda w skutkach częstokroć nieszczęśliwie, jest państwo u nas dotąd jedynym naprawdę poważnym szafarzem kapitału i kredytu. Ta anormalna preponderancja finansowa państwa nad zredukowanym do minimum kapitałem prywatnym musiała pociągnąć za sobą tem większy rozrost etatyzmu. Zubożały obywatel oraz prywatne instytucje finansowe poczuły się tak dalece bezsilne i od państwa zależne, że nie śmiały nawet występować z inicjatywą gospodarczą, która przechodzi żywiołowo w ręce państwa, samorządów i różnych oficjalnych instytucji ekonomicznych.

5) Ostatnią wreszcie, może najciekawszą ze wszystkich przyczyną rozrostu etatyzmu jest obecne bankructwo indywidualizmu polskiego, wykazane przez wszystkie stronnictwa sejmowe pod względem zdolności rządzenia państwem i gospodarstwem narodowym. Wszak zamach majowy nie był w gruncie rzeczy niczem innym, jak reakcją wobec nadmiaru lekkomyślności, niesumienności i nieudolności tego hiperindywidualizmu narodowego, wcielonego w politykę partyjną — smutną regenerację tych samych mniej więcej tendencji, które sprowadziły niegdyś katastrofę rozbiorów, a które rok temu jeszcze gnały nawet państwową w odmet ruiny gospodarczej i politycznej. Zamach stanu był reakcją żywiołową, gdyż znalazł nietylko odpowiednią siłę, ale również głośną lub conajmniej cichą aprobatę całego umiarkowanego, partyjnie nie zaślepionego

społeczeństwa. Nie była to jedynie uległość wobec chwilowej przemocy militarnej, ale równocześnie i przekonanie, wynikłe z uświadomienia sobie zgubnych skutków poprzedniego reżimu i nieodzownej konieczności gruntownej sanacji stosunków.

Ale tenże sam przewrót majowy, zakończony w pierwszej swej ostrej fazie znaną groźbą bata, rzuconą pod adresem poprzedniej gospodarki i korupcji partyjnej, był zarazem ostatecznym stłumieniem tego wybujałego indywidualizmu, który — raz jeden tylko w ciągu naszych dziejów nowożytnych chwilo-wo i niestety bezskutecznie zwyciężony, a raczej zaskoczony przez twórców konstytucji 3-go maja — zwalczał uparcie wszelką zdrową myśl państwowo-twórczą w Polsce i uniemożliwiał wszelkie racjonalne reformy. Przewrót majowy był jakgdyby reakcją idei silnej władzy państwowej przeciw swawoli indywidualnej, personifikowanej dawnej przez szlachcica-warchoła i bezmyślny egoizm warstwowy, dzisiaj przez partyjnego demagoga i niemniej bezmyślną walkę klasową. W rezultacie utrwalił więc jeszcze silniej panowanie etatyzmu, całkiem nawet niewspółmiernego z łagodną i paktującą z resztkami dawnego parlamentu dyktaturą, pod którą żyjemy. Bo dyktatura ta wcale nas nie przymusza do oglądania się we wszystkim na dyrektywę i współdziałanie państwa, przeciwnie, składa dowody, że chciałaby wydobyć na wierzch ze społeczeństwa jakąś samodzielną energię twórczą i organizacyjną i do niej w znacznym stopniu dalsze swe rządy dostosować. Ale społeczeństwo, jak dotąd, niewiele okazuje w tym kierunku tężyzny i inicjatywy. Nawet poważne jego ugrupowania, politycznie jeszcze nie wylarte i rozporządzające wielkimi walorami moralnymi i materialnymi, stoją jeszcze dość niezdecydowane, obawiając się każdej śmielszej akcji, każdego bardziej zdecydowanego publicznego występu, wyczekując zbyt biernie dalszego biegu wypadków, a nadewszystko wykazując zbyt mało zdolności czy chęci organizacyjnych. Stąd też rząd obecny musi z konieczności brać na siebie w dalszym ciągu cały odziedziczony ciężar gospodarki etatystycznej, a nawet ją rozszerzać, bo rozwój państwa, a zwłaszcza jego rozwój gospodarczy, nie może stać na miejscu. Zgnieciono chorobliwy, warcholski indywidualizm, a ponieważ ten zdrowy, twórczy, tkwiący w lepszych elementach naszego społeczeństwa, nie miał dotąd odwagi i mocy się ujawnić, więc w naturalnej konsekwencji etatyzacja czyni tymczasem dalsze postępy.

Rzućmy okiem obiektywnie na prawdziwy stan gospodarstwa krajowego. Ministerstwo Skarbu, ministerstwo przemysłu i handlu, Bank Polski, Bank Rolny i Bank Gospodarstwa Krajowego, pozatem zaś tu i ówdzie zamożniejsze samorządy — oto niemal jedyne obecnie czynniki inicjatywy gospodarczej i akcji twórczej. Pozatem jeden wielki zastój inicjatywy, jeśli pominąć nader nieliczne wypadki zainteresowania się kapitału zagranicznego jakimś przedsiębiorstwem krajowym, wyjątkowo dobrze sytuowanem. Mowy niema o skuteczności wystąpienia z jakąkolwiek twórczą inicjatywą prywatną, nietyle dlatego, żeby brak było środków na jej realizację — bo na przedsięwzięcia w umiarkowanych rozmiarach znajdują się jednak w kraju fundusze — ile przede wszystkim dlatego, że przedsiębiorcy, banki i ogół społeczeństwa odwykły od wszelkiej inicjatywy, straciły do niej chęć, wiarę i rzeczowe zrozumienie. Jesteśmy jak niemowlę, które bez państwa-piastunki boi się kroku postawić. Wymownym wyrazem tej psychiki jest treść wszelkich — zresztą dzisiaj niezmiernie rzadkich — prywatnych projektów gospodarczych, w których zakłada się z góry conajmniej pewien procentowy udział rządu, jako rzecz, która się sama przez się rozumie.

Na głosy, które się przeciw tej psychice i temu stanowi rzeczy podnoszą, słyhać odpowiedź, że inaczej być nie może, skoro radykalne tendencje czynników miarodajnych w państwie, podcinając prawo własności i wprowadzając ustrój istotnie antykapitalistyczny, uniemożliwiają wszelką twórczą działalność. Ale odpowiedź taka jest tylko wymówką. Jeżeli radykalizm szerzy się i panoszy, to głównie dlatego, że nikt mu się na serjo nie przeciwstawia. Duch społeczeństwa polskiego ma w gruncie rzeczy bez porównania mniej wrodzonego radykalizmu, niżby to można sądzić po pewnych zewnętrznych, dorywczych pozorach. Natomiast autorytet warstw państwotwórczych, reprezentujących największe walory intelektualne i materialne, jest zawsze jeszcze tak wielki, że przy odpowiedniej ich konsolidacji i śmiałej, zdecydowanej inicjatywie mogłyby wywrzeć wpływ ogromny na reformę stosunków w duchu umiarkowanym. Ale nie widać jeszcze z ich strony dość zdecydowanej woli organizacyjnej, odwagi i inicjatywy — i dlatego żyjemy wciąż jeszcze pod wszechwładnem panowaniem etatyzmu i zabójczych skutków ideologii demagogicznej.

Zresztą, o ile chodzi o moment obecny, mylnem byłoby twierdzenie, że i rząd dzisiejszy dąży programowo do przedłużenia tego demagogicznego status quo. Rząd nasz bowiem, wstrzymując się ogółem od jakiejkolwiek bardziej stanowczej interwencji w kształtowaniu się opinii społeczeństwa i pozostawiając ten proces mniej więcej samoistnemu przefermentowaniu, składa jednak od dłuższego czasu niedwuznaczne dowody, że pragnie wytworzenia się w kraju silniejszego frontu czynników rozumu politycznego i umiarkowania i trzymając na wodzy, a nawet gdzieniedzie energicznie hamując rozwój elementów zbyt radykalnych na lewicy i prawicy, ułatwia tem samem rozwój żywiołów umiarkowanych i państwowo-twórczych wogóle. Ale rząd nie chce rzucić przedwcześnie wszystkiego na jedną szalę i to jest powodem jego polityki „wachlarzowej”, czyli tendencji do grupowania w jeden wspólny front wszystkich odcłamów politycznych, które uważa za państwowo-twórcze — od konserwatystów do daleko posuniętych lewicowców. Zatrzyma się w tej grze i oprze się niewątpliwie na tych, którzy w międzyczasie wykażą największą siłę, żywotność i talent organizacyjny. Nie ulega też wątpliwości, że przyszłe reformy ustrojowe pójdą, przynajmniej w ogólnym zarysie, po myśli tego kierunku, który w tej grze wachlarzowej zwycięży.

To samo mniej więcej dotyczy kwestji inicjatywy prywatnej, czy też dalszej etatyzacji naszego życia publicznego. Rząd obecny nie popiera programowo etatyzmu, ale powitałby niewątpliwie bardzo chętnie silną inicjatywę prywatną. Tymczasem, skoro jej brak, rozwój stosunków idzie dalej w kierunku etatyzmu, przybierając częstokroć nawet zabarwienie niemal socjalistyczne. Ustałoby to z pewnością wobec silnego naporu zdrowego i dobrze zorganizowanego indywidualizmu gospodarczego. Wszak i tu rząd obecny dał niedwuznacznie do poznania, że nie zamierza spieszyć się z realizacją uchwalonych w poprzednim okresie ustaw, podcinających prawo własności. Ale pójdzie z czasem niewątpliwie w kierunku opinii tych warstw społeczeństwa, które wykażą największą żywotność i tężyżnę.

Coprawda, taka polityka czynników miarodajnych, usuwająca się od wszelkiej zdecydowanej dyrektywy i oddająca przyszłą strukturę państwa zanadto na los nieobliczalnych fluktuacji, nie może być zbytnią zachętą dla pobudzenia do aktywności żywiołów umiarkowanych w kierunku politycznym, a inicjatywy indywidualnej w kierunku gospodarczym. Robi

nawet wiele szkody, bo społeczeństwo nasze, politycznie i gospodarczo niedość wyszkolone, nie jest narazie w stanie zgrupować się i ruszyć karnie i twórczo w pożądanym kierunku, a tymczasem źle się w kraju dzieje, co zamierzenia sanacyjne ogromnie utrudnia i wypacza, a co przy pewnej wyrażniejszej dyrektywie rządu z pewnością dałoby się uniknąć i ułatwiłoby usiłowania wszystkich rozumnych żywiołów w społeczeństwie. Niemniej jednak jest faktem, że w tej chwili zarówno zwycięstwo ideologii umiarkowanej, jak i inicjatywy prywatnej w państwie zależy w pierwszym rzędzie od tężyzny i zmysłu organizacyjnego żywiołów zachowawczych. Rząd nie odnosi się do nich nieżyczliwie, a często nawet wprost z wyraźną chęcią wciągnięcia ich do pracy państwowej na większą skalę. Szerokie zaś warstwy społeczeństwa, zniechęcone jałową gospodarką demagogiczną, a politycznie po zamachu majowym wielce zdeзорjentowane, pójdą chętnie za każdym, który im jakąś wyraźną drogę w sposób zdecydowany wskaże. Wielkie więc atuty leżą w ręku sfer, reprezentujących zasady umiarkowania, rozumu politycznego, własności prywatnej i swobody indywidualnej, atuty tak wielkie, jakich sfery te od niepamiętnych czasów w ręku nie miały. Chodzi więc tylko o to, czy je potrafią należycie wykorzystać.

Ustrój i rozwój gospodarczy państwa idzie więc narazie w kierunku stopniowej socjalizacji, jaki mu pospiesznie a sprytnie narzucili demagodzy, którzy w pierwszych rządach po wskrzeszeniu niepodległości dorwali się do steru. Jestto jedyny ze wszystkich silny a zdecydowany prąd, który nurtuje wytrwale i konsekwentnie pod zmienną powierzchnią wszelakich fluktuacyj politycznych, społecznych i gospodarczych od ośmiu lat w Polsce. Dużo się u nas politykuje na różne tony i szerzą się rozmaite hasła i porywy, dziś głośnie i silne, jutro słabnące. Ale pod tą wiotką powłoką powierzchownych zmagających politycznych tworzy się zwolna gmach ustroju, w którym państwo i jego administracja będą wszystkiem, jednostka niczem i w którym z konieczności zwyciężyć będą musiały pojęcia, paraliżujące wrodzoną zdolność i prężność społeczeństwa polskiego i obracające w niwecz cały nasz narodowy dorobek tradycji, ideałów i kultury.

W ten gmach uderzyć trzeba z całą energią i świadomością położenia i zburzyć go zanim się wzmocni. Żywioły państwowo-twórcze, a w pierwszym rzędzie zachowawcze, muszą się

skonsolidować i zorganizować od podstaw i pójść śmiało a bezwzględnie pod sztandarem walki z etatyzmem, obrony własności prywatnej i wzmożenia inicjatywy obywatelskiej. Stanać musi pod tym sztandarem wszystko, co przedstawia poważny stan posiadania i produktywny warsztat pracy, a więc rolnictwo, przemysł, handel, rzemiosło, własność nieruchomości i banki. Powstać musi silny, jednolity front gospodarczy, wyzwolić się z pod opieki prądów i ugrupowań demagogicznych, które bezkarnie dotąd dokonywały na nim dotkliwych eksperymentów i wiwisekcji i zaważyć potężnie, z całą świadomością swych walorów i celów, na szali losów własnych i państwa. Życie gospodarcze, które jest główną realną podstawą bytu państwa oraz jego polityki wewnętrznej i zewnętrznej, musi bezpośrednio na niej rękę położyć, nie wyręczając się w tem bezkrytycznie różnymi niepowołanymi pośrednikami, jak to się działo dotąd z wielką szkodą dla niego samego i dla całego państwa.

A w tym skonsolidowanym w ten sposób froncie gospodarczym odrodzić się musi inicjatywa prywatna i wyrwać z rąk etatyzmu ster wytwórczości narodowej. Musi żądać od czynników miarodajnych w państwie swobody działania, pełnego uznania, poparcia i odpowiedniego swym walorom stanowiska, któregooby zmniejszać ani niszczyć nie mogły zachłanne ambicje partyjne ani bezmyślna ideologia wywrotowa. Nietrudno to będzie osiągnąć, bo nurty naszego swojskiego radykalizmu są wprawdzie hałaśliwe ale płytkie, a etatyzm nasz zbyt młody jest i chwiejny i zbyt przeciwny polskiej naturze, aby energiczniemu, zrzeszonemu naporowi sfer gospodarczych mogły na serjo stawić czoło. Ale warunkiem jest, aby zrzeszony front powstał i inicjatywa silnie się ujawniła.

Objąć ona musi wszystkie działy pracy gospodarczej, wyzwolić się samorzutnie z pod przesadnej kurateli oficjalnej i zaznaczyć się śmiało przede wszystkim w zaprojektowaniu i stopniowem realizowaniu nowych twórczych zamierzeń, odpowiadających ważnym postulatom ekonomicznym niepodległego państwa w obecnych jego granicach oraz konieczności należytego wyzyskania jego bogactw naturalnych. Zapewne, nie można się porywać zaraz z początku na wielkie rzeczy. Brak na to narazie odpowiedniego kapitału. Ale musi się najpierw pojawić wola. Bez zdecydowanej woli do reorganizacji naszego życia gospodarczego w kierunku twórczym, nietylko

jak dotąd zachowawczym, nie pomoże nawet obecność kapitału, któryby w tym wypadku niechybnie się zmarnował. Gdy natomiast w naszych prywatnych instytucjach finansowych i gospodarczych, a za nimi i w szerokiej opinii publicznej, znajdzie się szczerą wolę do rewizji dotychczasowej ideologii zachowawczego kwietyzmu i ujawni się przedsiębiorczość i inicjatywa choćby tylko w zaczątku, to zareagują na nią giełdy i ściągną ze wszech stron kapitały. A moment obecny, moment walki o polityczne przeobrażenie społeczeństwa polskiego i reformę ustroju państwa, moment ustabilizowania waluty i znacznego wzrostu zaufania zagranicy, jest szczególnie korzystnym dla podjęcia tej podwójnej akcji: stworzenia wewnętrznego gospodarczego frontu i odrodzenia inicjatywy prywatnej.

Na czele tej akcji stanąć powinna przede wszystkim Prawica Narodowa, jako stronnictwo i zarazem szkoła polityczna o ideologii nawskroś realnej, dostosowywanej zawsze do trzeźwej, obiektywnej oceny rzeczywistości. Chwycić winna w rękę tę inicjatywę, która się jej niejako sama narzuca, także i dlatego, że dawne jej podstawowe założenia, które jej dały początek, moc i pełen zasług rozwój pod obcym zaborem, straciły obecnie rację bytu, a natomiast na tej właśnie drodze zyskać może w niepodległej ojczyźnie nową, potężną podstawę do wszechstronnej, bardzo owocnej działalności. Wszak walka o prywatny stan posiadania, o swobodę pracy i inicjatywy obywatelskiej, o byt i rozwój warsztatów przemysłowych i rolnych i o konsolidację wszystkich twórczych żywiołów społeczeństwa w jeden wielki narodowy front gospodarczy — to zarazem walka o byt i pomyślność państwa, o nasze ideały narodowe i moralne, o całą naszą cywilizację i kulturę, zagrożone dziś więcej, niż kiedykolwiek, zalewem doktryn socjalizujących i proletaryzujących, których postęp, wzmagający się z dniem każdym, niesie zagładę nie tylko życiu gospodarczemu, ale i polskości w ogóle. To zarazem walka o zdrową, realną myśl polityczną w społeczeństwie, wytoczona jałowemu, bezmyślnemu politykowaniu, oszukańczym hasłom radykalnym oraz niesumiennemu żerowaniu na ciemnych instynktach mas. To z innej strony również dostosowanie się do pulsu nowoczesnego postępu w świecie cywilizowanym, gdzie moment ekonomiczny odgrywa dzisiaj kapitalną rolę, górując istotnie nad wszelkimi innymi impulsami międzynarodowej polityki.

A pierwszym, najbliższym zadaniem w tej walce jest odrodzenie prywatnej inicjatywy gospodarczej i zniszczenie wybujałości etatyzmu, idącego zawsze w przedniej straży doktryn socjalistycznych i urabiającego im wygodne podłoże.

Podniesienie tego sztandaru, tej idei przewodniej, ze wszystkimi jej konsekwencjami, stworzy zarazem Stronnictwu Pracy Narodowej i wszystkim tym, którzy staną z nią we wspólnym froncie, bardzo mocną i pewną platformę do traktowania wszelkich innych zagadnień z zakresu polityki wewnętrznej i zewnętrznej oraz ułatwi racjonalne, programowe ustosunkowywanie się do wypadków dnia, eliminując z góry chwiejny a zawsze niebezpieczny oportunizm, który każdą pracę polityczną, pozbawioną własnych podstaw, silnego rdzenia pacierzowego i konkretnego celu, musi prędzej czy później zepchnąć na mieliznę.

Dla uniknięcia ewentualnych nieporozumień wyjaśnić zaraz należy, że pod narodowym frontem gospodarczym nie rozumiemy bynajmniej zrzeszenia najzamożniejszych tylko sfer gospodarczych celem obrony przedewszystkiem ich własnych interesów i opanowania, wzorem trustów lub karteli, życia ekonomicznego i finansów krajowych. Takie postawienie sprawy sprzeciwiloby się wprost poglądom wyżej wyłożonym. Chodzi nam o front „racjonalnego gospodarstwa” w państwie, któryby przeciwstawił się kategorycznie dotychczasowemu politycznemu żerowaniu na materialnych i moralnych walorach państwa, jak również i na kieszeniach wszystkich sfer prywatnych, wprowadzając na jego miejsce rozumne, trzeźwe zasady myślenia i działania. Racjonalne pojęcia i zasady ekonomiczne dostarczą nam najlepszej podstawy do zreformowania naszego życia publicznego, a w konsekwencji i ustroju państwa, w duchu realnych korzyści wszystkich narodowości, kraj nasz zamieszkujących i ustalą zarazem platformę i wytyczne dla realnej polityki w każdym kierunku. A w tak pojętym froncie gospodarczym jest miejsce nie tylko dla sfer materialnie zamożniejszych, ale właśnie i dla szerszych warstw ludowych, reprezentujących pewne walory gospodarcze, a w szczególności dla włościan, rzemieślników i robotników, gdyż front „racjonalnej gospodarki” ma dać im, w miarę rozwoju sił gospodarczych kraju, polepszenie bytu materialnego i warunków pracy,

czego nie dały im i nie dadzą nigdy hałaśliwe a zawodne obietnice doktryn demagogicznych. Ustalenie platformy gospodarczej, to wprowadzenie do całego życia narodowego trzeźwej zasady ekonomicznej kalkulacji i przywrócenie do waloru we wszelkich zamierzeniach i pociągnięciach politycznych oczywistego aksjomatu, że dwa a dwa to cztery — ani mniej, ani więcej.

Ustalenie tej zasady wytycznej i zastosowanie jej z całą konsekwencją we wszystkich kierunkach działania, będzie dla Prawicy Narodowej równoznaczne z gruntowną rewizją jej programu, do której niezwłocznie powinna przystąpić, jeżeli chce w dalszym ciągu pełnić swą doniosłą, historyczną rolę w społeczeństwie. Oczywiście, samo Stronnictwo nasze, jako takie, nawet przy największym możliwym rozwoju, nie będzie w stanie zapełnić tego frontu gospodarczego, o którym mowa. Może mu dać impuls i programowe podstawy, kształtując je i rozwijając w teorii i praktyce. Ale sam front gospodarczy wypełnić mogą tylko rzesze i instytucje, reprezentujące bezpośrednio poszczególne działy życia gospodarczego. Uświadamianie i organizowanie ich w tym kierunku, oswobodzanie ich z dotychczasowej zależności od ugrupowań i doktryn politycznych czy socjalnych, najżywotniejszym ich interesom, a zarazem i realnie pojętym interesom państwa w gruncie rzeczy przeciwnych, a natomiast kierowanie ich do bezpośredniego zainteresowania się sprawami ogólnopaństwowymi i zaważania na nich całym swym autorytetem i walorem — oto zadanie i system działania, prowadzący do wskazanego wyżej celu.

Zadanie to niezmiernie wdzięczne dla naszego Stronnictwa i dla wszystkich tych, którzy zechcą pójść za jego apelem, gdyż program racjonalnej platformy gospodarczej przemawia z jednej strony do najrealniejszych, najbliższych każdemu interesów materialnych, z drugiej zaś daje możność do rozwinięcia najwznioślejszych sztandarów obrony państwa, polskości i wszelkich naszych walorów moralnych i kulturalnych przed zalewem doktryn i żywiołów wywrotowych. A jest to sprawa obecnie jedna z najważniejszych i racjonalne jej rozstrzygnięcie zadecyduje w bardzo znacznym stopniu o przyszłym rozwoju, ustroju i losach państwa.

9 czerwca 1927.

O PROGRAM GOSPODARCZY.

Dawno już nie czytaliśmy z takim zadowoleniem artykułu ekonomicznego, jak doskonałe uwagi D-ra M. Z. p. t. „Rola państwa w rozwoju dobrobytu narodowego” w „Dniu Polskim” z d. 5-go b. m.

W jasnych, dobrze argumentowanych wywodach wykazuje autor, że państwo, biorąc na siebie rolę przedsiębiorcy w zbyt szerokim zakresie, sprzeniewierza się przedewszystkiem swej naturalnej roli bezstronnego regulatora i kontrolera gospodarstwa krajowego. Państwo-przedsiębiorca stwarza produkcji krajowej, dzięki swemu ciężkiemu aparatowi biurokratycznej administracji, tylko przygniatającego, paraliżującego, a wskutek swej wszechmocy usuwającego się z pod kontroli konkurenta, który swem uprzywilejowaniem stanowiskiem i forszą kapitału może obniżyć bezkarnie jakość swej produkcji, a przez to i walor tych działów gospodarstwa krajowego, które zagarnia dla siebie. Nadto zaś rząd takiego państwa, zaabsorbowany swą działalnością przedsiębiorcy, nie ma dość czasu ani interesu zająć się swem najważniejszym zadaniem ekonomicznem: syntezą państwowego programu gospodarczego. Brak mu też czasu na dokładne studjum problemów i zjawisk gospodarczych i wysnuwanie z nich racjonalnych wytycznych dla swej polityki handlowej.

Tę niewłaściwą rolę pełni w pierwszym rządzie nasza etatystyczna gospodarka państwowa. Przecistawia jej wymieniony autor bardzo trafnie gospodarkę państwową Stanów Zjednoczonych, która, ciągnąc naukę zwłaszcza z doświadczeń powojennych, obrała wprost przeciwny kierunek. Wiadomo powszechnie, z jak owocnym rezultatem.

Niektórzy z naszych nawet wybitnych ekonomistów wykazują niestety tak daleko posunięte niezrozumienie powyższej prawdy, że odnoszą się wprost z ironją do pracy i inicjatywy prywatnej. Idzie za nimi bezwiednie opinia publiczna, a częstokroć i prasa, piętnując ze świętem oburzeniem wszelkie tendencje odrodzenia prywatnej inicjatywy gospodarczej jako „hamowanie społecznych funkcji państwa”

A wyraża się w ten sposób prasa wcale nie socjalistyczna! Dla kontrastu warto nawet przytoczyć przemówienie sejmowe z przed kilku lat pewnego posła socjalisty, któremu na temat naszego ultra-etatyzmu i hiperprodukcji biurokratycznych zakazów i utru-

dnień, wyrwał się z piersi — partyjnie zapewne niezbyt prawomysłny — krzyk serca: Niewiadomo w końcu, czym porządny obywatel w naszym państwie może się właściwie zajmować?!

Czytamy z patrijotycznym zadowoleniem o wzmożonej — zwłaszcza w ostatnim roku — inicjatywie gospodarczej rządu. Czytamy o melioracjach rolnych, o budowie portu w Gdyni i wielkiej fabryki związków azotowych w Tarnowie, o rozbudowie zakładów soli potasowych w Kałuszu, o nowych projektach kolejowych i t. d. i t. d. Słyszymy o wybitnej, czynnej w tem wszystkim roli różnych przedstawicieli rządu oraz banków państwowych. Ale śmiemy twierdzić, że wszystkie te dzieła nie są wcale dowodem rozwoju gospodarczego w państwie — przeciwnie, są w swem odosobnieniu tem jaskrawszym dowodem jego zastoju, że poza tą rządową inicjatywą prawie nic nowego się nie tworzy. Wszak i na tak gorączkowo reklamowane objawy „odrodzenia ruchu budowlanego“ składają się fundusze rządowe lub samorządowe, ściągane drogą specjalnych podatków, albo conajwięcej długoterminowe kredyty, udzielane kooperatywom budowlanym przez banki państwowe lub samorządowe. Pozatem nikt niczego nie buduje, nie dlatego, żeby brak był pieniędzy, ale dlatego... że się to nie opłaci. Nie opłaci się ani budowa, ani uprawa roli, ani wiele innych prywatnych przedsięwzięć gospodarczych, przede wszystkim dlatego, że państwo normuje ceny i inne warunki pracy ekonomicznej ze względów socjalnych w ten sposób, aby nie dopuszczać do wyższego, zachęcającego inicjatywę oprocentowania kapitału.

Rzucono oficjalne hasło, że rolnictwo jest i ma być w Polsce podstawą ekonomicznego rozwoju, jako największy producent i najważniejszy czynnik siły nabywczej społeczeństwa. Hasło to stało się niejako gospodarczym synonimem obecnego nastroju sanacyjnego. Czyż cel ten jednak w panujących normach gospodarczych, godzących w prywatny stan posiadania ziemi i zdających los całego gospodarstwa krajowego na flukta pięcioprzymiotnikowego głosowania, da się naprawdę urzeczywistnić?

Rozpatrzmy wreszcie bilans skarbu. Jedną z największych pozycji stanowi tam dochód z monopolu spirytusowego. Zapewne, państwo ma potrzeby i musi ciągnąć dochody z różnych możliwych źródeł. Ale czy racjonalną i zdrową z każdego punktu widzenia jest polityka, zwłaszcza polityka demokratycznego państwa, opierająca bardzo znaczną część dochodów skarbowych na

wzmagania konsumpcji spirytusu? Tak było pono w dawnej Rosji...

A tymczasem brak dotąd jaśniejszych wytycznych programu gospodarczego. Brak ich, bo gdyby były, odczułoby je odrazu prywatne życie gospodarcze i zapulsowałoby silniej w danych kierunkach. Bo programem gospodarczym nie są oficjalne budowle, ani projekty kolejowe czy drogowe, ani polityka monopolowa. To praca urzędowa, oficjalna. Istota zaś państwowego programu gospodarczego polega na życzliwym, pełnym zrozumieniu ułatwianiu całemu gospodarstwu krajowemu dróg i środków rozwoju w pewnych, najkorzystniej dla niego obmyślanych kierunkach. Ale platformą dla ustalenia takiego programu nie mogą być nigdy założenia etatystyczne czy socjalne, ale jedynie i wyłącznie zdrowe zasady gospodarcze.

I o nie też w pierwszym rządzie walczyć musimy. Twierdzimy z całym przekonaniem, że dopóki racjonalne, oczywiste prawa ekonomiczne nie zdobędą sobie uznania w naszym życiu publicznym, a zwłaszcza w sferach rządzących i ustawodawczych, z kategorycznym wyeliminowaniem wszelkich utartych demagogicznych założeń minionego sejmowładczego okresu, dopóty mowy być nie może o prawdziwym odrodzeniu gospodarstwa krajowego. Niepodobna przecież budować gospodarstwa systemem antygospodarczym. Nie dokona tego w tych warunkach nawet półmiliardowa pożyczka zagraniczna.

14 czerwca 1927.

SŁOWO I CHLEB.

Różne krzyżują się w społeczeństwie naszym opinie i orjentacje, ale pod jednym względem panuje dzisiaj już powszechna zgoda: że polityka demagogicznego partyjnicstwa zgrała się do szczytu. Nikt już dzisiaj nie wierzy w cudotwórstwo jakiegokolwiek litery sejmowładczego alfabetu i nikt nie wątpi, że siedmioletnia demagogja naszej prawicy i lewicy gnała państwo w zawrotnym pędzie absurdu i korupcji po równi pochyłej, na której dnie stał groźny znak zapytania.

Nikt już nie wierzy na serjo ani w patryjotyzm i religijność tych, którzy je z krzykiem i kupiecką reklamą wywieszali przez

siedem lat na zarekwiirowanym naprędce biało-amarantowym sztandarze, ani w raj ludowy warstw fizycznie pracujących, malowany obietnicami na krwawo-czerwonych chorągwiach. Twarda rzeczywistość obalała po siedmiu latach łatwowiernego wyczekiwania wszystkie bożyszcza na prawo i lewo. Mają ich wszyscy dość, chcą nareszcie ładu i spokoju i — dobrobytu, bo schudli porządnie w ciągu tych hasłkowych zapasów. Wszak nie samem słowem człowiek żyje, ale i chlebem.

W czym leżała istota błędu? Na to znowu dzisiaj jednomyślna już panuje zgoda, chociaż nie wszyscy oczywiście mają odwagę głośno ją potwierdzić. Błąd leżał w tem, że w całej, aż nazbyt szerokiej rozpiętości naszego politycznego wachlarza na arenie publicznej, brakowało całej jego prawej strony. Organizm nasz państwowy był jak zepsuta machina, z której naprędce coś wyrwano i wyrzucono. Szła więc ze zgrzytem, obracając się, ale nie pracując, aż musiała utknąć.

Brakło w rządach państwa prawicy — nie tej przypadkowej, wynikłej z geometrycznego stosunku do radykalnego skrzydła sejmowego, ale tej prawdziwej, reprezentującej umiar polityczny i socjalny, najwyższą kulturę społeczną i realną pracę państwową, a zarazem najpoważniejszy stan posiadania i wytwórczości narodowej na każdym polu. Nie było więc równowagi na szalach ustroju państwowego i dlatego musiały się chylić coraz bardziej na lewo — aż niemal do wywrotu. A jak bardzo przechyliły się na lewo, jak bliskim jest punkt wywrotu, świadczy o tem najwymowniej choćby upadek wpływów najskaźniejszego u nas do niedawna społeczno-politycznego kierunku, mianowicie polskiego socjalizmu, a potężny wzrost daleko jeszcze skrajniejszych partii wywrotowych i bolszewickich.

Jest to bowiem aksjomatem, sprawdzonym przez rewolucje, czy nawet ewolucyjne przemiany socjalno-polityczne wszystkich czasów, że w miarę zaniku prawicy tendencje społeczeństwa przesuwają się coraz bardziej na lewo. W początkach rewolucji francuskiej był w zgromadzeniu narodowym postępowy „stan trzeci” lewicą wobec szlachty i duchowieństwa. W następnej fazie lewica ta, reprezentowana przez żyrondystów, stała się siłą rzeczy skrajną prawicą wobec jakobinów. A i ci, po zgnieceniu żyrondystów, znaleźli się kolejno pod Dantonem i Robespierem coraz dalej na prawicy wobec przewagi na lewo żywiołów bezmyślnego wywrotu pod wodzą Marata i jemu podobnych.

I u nas dzieje się podobnie. Nie tak to dawno, kiedy narodowy demokraci uchodził za „czerwonego”, postępowi ludowcy za spadkobierców Szeli, a o socjalistach szeptano tylko po cichu, jako o czemś strasznym, grożącym rewolucją, pożogą, socjalizacją mienia, kobiet i dzieci. A dzisiaj? Po lekkomyślnym kilkoletnim wyeliminowaniu prawicy z życia publicznego, znalazła się narodowa demokracja zepchniętą do niezwyklej i niefortunnej dla niej roli „zachowawcy”, chłop radykalny wyszedł na centrowca, a socjalizm polski ustąpić musiał do skromnej roli dziennikarza-pryncypalisty, przelicytowany we własnych hasłach przez głośniejszych krzykaczy na lewo. Równowaga społeczna zwichnięta, zabrakło prawdziwej prawicy, a pozostałe prawe skrzydło demokratycznej lewicy, zmuszone do współzawodnictwa z coraz radykalniejszą propagandą na lewo, stworzyło państwu tak fatalny ustrój i warunki, że wkońcu poważniejsza opinia publiczna zaczęła oglądać się na serjo za jakąś, narazie nieokreśloną, obcą pomocą, nie widząc chwilowo innego dla kraju ratunku.

Demagogja zgrała się, bo... nie dała chleba.

Przyszła sanacja. Ale i ona nic trwałego nie dokona, jeżeli nie przywróci równowagi. Demagogji nie leczy się radykalizmem, choćby najidealniej pojętym. Rekonwalescencja państwa wymaga imperatywnie innego środka i co do niego już dwóch uczciwych zdań być nie może.

A tym środkiem jest tylko wskrzeszenie na arenie publicznej silnej prawicy, w której mogłyby znaleźć oparcie rządy i każda realna praca państwowa. Trzeba przywrócić mózg ciału, które miało dotąd tylko nerwy i członki. Zrozumieć to musi rząd, jeżeli chce naprawdę wyciągnąć kraj z bezdroża, ale zrozumieć muszą także wszystkie żywioły w państwie. I zdaje się, że ta świadomość staje się już faktem, któremu brak tylko jeszcze kompletniejszych ram organizacyjnych.

Konserwatyzm, w zdrowym i twórczym tego słowa znaczeniu, musi przestać siebie samego się wstydzić, jak to czynił do niedawna pod obuchem demagogji. Podnieść musi dumnie głowę w poczuciu swej roli kapitałnego filaru państwowości polskiej i zaważyć całą potężną siłą swych walorów materialnych i moralnych na szalach polityki i gospodarki państwowej, łącząc w jeden wspólny front realnej, prawdziwie twórczej pracy tych wszystkich, którzy zdają sobie sprawę z najżywotniejszych interesów państwa i — swoich własnych. Tego wszyscy obecnie od niego oczekują, to zrobić musi i... stać go na to!

I dlatego też, mimo całego absurdu pięcioprzymiotnikowego głosowania i mimo stanowczego potępienia wszelkich dalszych na tem tle eksperymentów wyborczych, dla państwa stanowczo niebezpiecznych, stanąć musi konserwatyzm polski do przyszłych wyborów z odkrytą przyłbicą.

Nie wątpimy, że to nastąpi.

22 czerwca 1927.

O „PRAWDZIWĄ REFORMĘ ROLNĄ”.

Obejmując rok temu tekę ministerstwa reform rolnych, zapowiedział pan Staniewicz w jednym ze swych przemówień inauguracyjnych, że program jego leży w przeprowadzeniu „prawdziwej” reformy rolnej, t. j. nie tej demagogicznej, rujnującej gospodarstwo i największą siłę wytwórczą państwa na rzecz popularności jej inicjatorów wśród nieuświadomionych, bezkrytycznych mas, ale tej rozumnej, produktywnej, polegającej na racjonalnem dostosowaniu naszego ustroju agrarnego do rozwoju stosunków i potrzeb krajowych, przy równoczesnem podnoszeniu poziomu kultury rolnej, jako najważniejszej podstawy materialnej potęgi państwa.

Tak zrozumieliśmy przemówienie programowe pana ministra, które duchem swym zdawało się odpowiadać zarówno zasadniczym tendencjom akcji sanacyjnej, jak i ogólnemu hasłu—rzucanemu swego czasu najśluszniej przez marszałka Piłsudskiego—wysunięcia sprawy podniesienia rolnictwa na czoło gospodarczego programu w państwie. Hasło to podjęli też i inni członkowie gabinetu, zwłaszcza ministrowie Bartel i Kwiatkowski, propagując je — znowu najśluszniej — w różnych swych przemówieniach.

Niestety, nie nastąpiło dotąd nic, coby nietylko retorycznie, ale przede wszystkim faktycznie wzmocnić mogło nadzieje, że sprawa agrarna wejdzie u nas nareszcie na prawdziwie racjonalne tory, zgodne z istotą wyżej wymienionego hasła oraz prawdziwym interesem gospodarczym, tak publicznym jak i prywatnym. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że jednak moc popularnych, demagogicznych haseł poprzedniego okresu okazuje się w praktyce silniejszą od najlepszych zamierzeń sanacji stosunków w Rzeczypospolitej. Droga bezpośrednią i pośrednią, a więc

czy to dalszem kontynuowaniem proskrypcyjnej metody list przymusowego wywłaszczania, czy też „objazdowej” taktyki niemniej dotkliwego wywłaszczania pod pokrywką komasacji, realizować się ma w dalszym ciągu hasło walki klasowej o ziemię, pozbawianie jej jednych, a obdarzanie nią drugich, bez względu na to, że przy takiej sumarycznej operacji stracą w każdym razie najdotkliwiej produkcja i poczucie praworządności w państwie oraz jego zewnętrzny autorytet podminowany opinią o niepewnych stosunkach własnościowych i gospodarczych w Polsce.

Co zdziałala dotąd naprawdę ustawa o reformie rolnej?

Stworzyła ministerstwo reform rolnych z całym olbrzymim aparatem urzędów ziemskich, które pochłoneły już dotąd ze świadczeń podatkowych obywateli pół miljarда złotych, czy nawet więcej — absolutnie bez pożytku. Natomiast utrudniła, częścią nawet wprost zahamowała ewolucyjną i korzystną dla wszystkich realizację prawdziwej reformy rolnej drogą swobodnej parcelacji, t. j. przechodzenia ziemi drogą sprawiedliwego kupna i sprzedaży z rąk mniej zdolnych do jej eksploatacji do rąk tych, którzy ją lepiej eksploatować potrafią i produkcji nie zaprzeczają. Demagogiczna taktyka walki klasowej, uniemożliwiła wyzbycie się ziemi w odpowiednich momentach tym liczny rzeszom większych właścicieli, którzy ją z takich lub innych powodów chcieli oddać na rzecz parcelacji, a nabycie jej przez szerokie sfery włościańskie, gdy one rozporządzały jeszcze dużym kapitałem w swych oszczędnościach krajowych i zagranicznych. Chłopi dolary stracili, ziemi nie dostali, ziemianom zabrakło także środków na racjonalną gospodarkę, a pozostał i wegetuje dalej niezmiernie kosztowny aparat urzędowy, całkiem bezpłodny, oraz groza socjalizacji ziemi.

Tak, socjalizacji! Bo nie trzeba się łudzić tem, jakoby tylko zmienić się miało i rozdrobnić prawo własności, ale pozostać nie-naruszonem, ba, jak głoszą demagodzy, nawet wzmocnionem. Wszak dziś odbiera państwo ziemię większym i średnim właścicielom, a jutro — w całkiem naturalnej konsekwencji — odbierać ją będzie tym, których nią dziś obdarzyło, na rzecz coraz liczniejszych rzesz bezrolnych. Ludność mnoży się, apetyty raz podniesione rosną i prawo własności, raz podważone, stoczyć się będzie musiało po równi pochyłej w otchłań socjalizacji. Z niem razem stoczy się poziom kultury rolnej i dobrobyt wszystkich warstw obywateli, coraz mniej zainteresowanych w starannej uprawie

ziemi, a przez to coraz mniej do niej zdolnych. Wszakże już dziś bandy chłopskie sprzeciwiają się zamierzeniom meljoracyjnym z kłonicą w rękę, niewiele sobie robiąc z nakazów urzędowych. A proces ten pociągnie za sobą także upadek przemysłu i całego gospodarstwa krajowego, jako nieuchronny rezultat osłabienia siły nabywczej szerokich warstw rolników. Staniemy wnet przed perspektywą upaństwowienia produkcji przemysłowej. Do tego zmierzają się zdaje obecnie, co prawda po linii łamanej, polityka oficjalna, mimo wszelkich poprzednich zapowiedzi różnych ministrów i wysuwanych przez nich przy każdej sposobności hasła podniesienia produkcji. Tylko, że polityka ta jest niejasną i pełną znaków zapytania zarówno dla obrońców, jak i dla przeciwników prawa własności. Niejasność jest u nas w modzie, stała się systemem.

Taki stan rzeczy trwać nie może. Trzeba zerwać zasłonę i zająć, czy kryje się za nią naprawdę dobro rolnictwa i wzmożenie produkcji krajowej, czy też realizacja kanonów pierwszych siedmiu lat „niepodległej demagogii”. Nie należymy do tych, których polityka zamkniętych oczu i uszu zaspakaja. Chcemy widzieć jasno i wiedzieć, czego się trzymać.

I dlatego podejmujemy zadanie jaknajrychlejszego wyświetlenia tej sprawy na podstawie konkretnego materiału i niemniej konkretnych rezultatów. Uznajemy, że postęp jest nieuchronnym prawem natury, któremu niepodobna i niewolno się przeciwstawiać. Dlatego z nim iść chcemy. Ale w prawdziwym postępie jest sens i logika i korzyść ogółu. Jest przedewszystkiem pojęcie prawa, nie gwałtu.

W wykonaniu tego zadania, tego publicznego i prawdziwie państwotycznego obowiązku, pragniemy skoordynować z nami tych wszystkich, którzy są zwolennikami i praworządności i prawdziwego postępu, a nie mają obawy przed słomianym chochołem, który ongiś ustawę o wywłaszczeniu podyktował. Nie chcemy słyszeć więcej tych płochliwych, przesadnym strachem wymuszonych oświadczeń, że „reformy rolne są konieczne, ale...” (i tu słuchacz ma sobie dopowiedzieć jaknajkorzystniejsze warunki wywłaszczenia). Nie o najlepszą zapłatę za wywłaszczenie trzeba zabiegać, ale przedewszystkiem stanąć zdecydowanie w obronie swej ziemi, ojcowizny i prawa własności. Dlatego też nazwać należy naszą „reformę rolną” po imieniu i wydać walkę wszelkim jawnym czy ukrytym zakusom socjalizacji ziemi, których reforma ta jest wyrazem.

4 lipca 1927.

Wywiad udzielony redakcji Dnia Polskiego.

PROGRAM FRONTU GOSPODARCZEGO.

(W Y W I A D)

Wobec znaczenia, jakiego nabierać zaczyna sprawa „zjednoczonego frontu gospodarczego” w coraz szerszych sferach, zwróciłem się do jednego z członków zarządu Stronnictwa Prawicy Narodowej o bliższe wyjaśnienia co do istoty i programu tego kierunku, będącego w każdym razie wyrazem pewnych podstawowych przemian ideowych i taktycznych, dokonywujących się w dotychczasowej strukturze politycznej naszego społeczeństwa.

Poruszyliśmy najpierw sprawę zasadniczą, mianowicie idei podstawowej frontu gospodarczego, wyłożonej zresztą niedawno w ogólnych zarysach poraz pierwszy na łamach naszego pisma.

— Należy myśl tę jasno przedstawić — brzmiała odpowiedź — aby uniknąć wszelkich nieporozumień. Nie przynosi ona w istocie swej nic nowego, bo też zdrowa, żywotna idea polityczna nie może być niczym wynalazkiem ale wynikać musi żywiołowo z całości kształtu sytuacji i aktualnych potrzeb państwa i społeczeństwa. Stronnictwo, czy obóz polityczny, które chcą się krajowi naprawdę przysłużyć, nie frazesem wyborczym, ale realną robotą, ściągając tylko taką ideę, nurtującą w świadomości publicznej, w ramy swego programu i gruntują na niej swą szkołę i działalność.

Otóż dwóch zdań być nie może, że dotychczasowa polityka, a raczej „politykowanie” stronnictw, aktywnych na arenie publicznej, oparte na hasłach czysto politycznych lub socjalnych, zgrało się do szczętu. Stworzyło państwu ustrój absurdałny, nawskroś demagogiczny, ustawodawstwo wymierzone w znacznej części na oczywistą szkodę zarówno ogólnokrajową, jak i wszystkich warstw społecznych, nawet tych, na rzecz których było rzekomo tworzone. Ośmieszyło sejm polski w sposób w historii parlamentaryzmu bezprzykładny. Stało w jaskrawem przeciwieństwie do zdrowej pracy państwowo-twórczej, która tętni od szeregu lat we wszystkich państwach cywilizowanych, pragnących dźwignąć się z upadku niedawnej światowej zawieruchy. To też naród nasz instyktownie wyczuwa, że kontynuowanie dotychczasowej taktyki haselkowej czy doktrynerskiej musi prowadzić państwo i gospodarstwo krajowe do niechybnego upadku. Tylko pozostali na różnych okopach prowodyrzy partyjni bronią jeszcze zbankrutowa-

nych systemów, w które nikt już nie wierzy, a które tylko im samym służyły za odskocznię do łatwej, choć najczęściej krótkotrwałej kariery.

Zwrot pożądany przynieść może tylko wprowadzenie do naszego rozwichrzonego życia politycznego i publicznego wogóle pewnego trzeźwego obiektywizmu i realizmu, traktującego wszelkie zagadnienia z „gospodarczego” punktu widzenia, t. j. mierzącego zamiary lub programy na realne rezultaty i efektywne korzyści, jakie dadzą się z nich osiągnąć zarówno dla państwa, jak i dla poszczególnych warstw społecznych i jednostek, których dla doktrynerskich utopji nie wolno poświęcać. Jest jasnem, że każda sprawa czy ustawa, dotycząca jakiegokolwiek dziedziny, traktowana uczciwie i logicznie z punktu widzenia przedewszystkiem jej skutków gospodarczych, wypadnie całkiem inaczej, niż to się dotąd działo i ciągle jeszcze dzieje pod panowaniem taktyki uczuć, porywów, demagogji lub doktrynerskiej zawziętości. Gdyby trzeźwy obiektywizm gospodarczy kierował był naszymi czynnikami w państwie, to nie przyszłyby nigdy do skutku te wszystkie ustawy, dotyczące bezmyślnego, demagogicznego systemu głosowania, rabunkowej reformy rolnej, socjalistycznego niemal ustawodawstwa społecznego, niewoli pracy, rujnującego skrępowania gospodarstwa prywatnego i ogólnej proletaryzacji społecznej, poniżenia autorytetu władzy państwowej i ustawodawczej, anarchji administracyjnej i przerostu etatyzmu — słowem cały ten kompleks absurdów, nazwany przez jego twórców patetycznem mianem „zdobyczy ludowych”, a wymierzony istotnie przeciw najżywotniejszym, realnym interesom i ludowym i państwowym wogóle.

— Czy jednak stosowanie gospodarczego punktu widzenia do wszelkich problemów państwowych nie wprowadzi pewnej jednostronności w traktowanie tych zagadnień?

— Nie, wprost przeciwnie. Najpierw, przy obecnym wzroście ludności, wzmożeniu jej potrzeb i ogólnej stopy życiowej, wreszcie wobec masowego działania, jakie ujawnia się w całym życiu wewnątrz - państwowem, jak i międzynarodowem, w czasie wojny i pokoju, stał się moment gospodarczy główną sprężyną wszelkiej polityki. Mąż stanu-ekonomista wypiera coraz bardziej męża stanu-dyplomatę dawnego typu. Wszystkie najważniejsze zagadnienia wszechświatowej polityki, wszystkie zmagania socjalne czy narodowościowe sprowadzają się w ostatecznej swej podstawie do pewnych problemów ekonomicznych. Państwo, które tego nie chce, czy nie może zrozumieć, nie ma

dzisiaj najważniejszej podstawy bytu, a patriotyzm bez zdrowych podstaw ekonomicznych jest tylko wegetacją, przechodzącą łatwo albo w nacjonalizm, albo w anarchję.

Powtóre, ideologia racjonalizmu gospodarczego występuje z natury rzeczy przeciw wszelkim doktrynom antygospodarczym, które równocześnie godzą także w podstawy naturalnego rozwoju i społecznego ładu, moralności, religji i ustroju państwowego, a zatem i w cały gmach nowoczesnej cywilizacji i kultury. Tak więc program frontu gospodarczego, broniąc—że się tak wyrażę—kieszeni prywatnej, t. j. gospodarstwa prywatnego, swobody i inicjatywy indywidualnej, wolności pracy i zarobkowania i wnosząc korzystny dla ogółu realizm w ustawodawstwo i urząd państwa, występuje zarazem w obronie ideałów narodowych i moralnych oraz zdobyczy cywilizacji, zaatakowanych obecnie więcej, niż kiedykolwiek, przez socjalizm, komunizm i wszelką propagandę wywrotową i antypaństwową.

— Jakie praktyczne konsekwencje rokuje program ten zwłaszcza na okres najbliższy?

— Przedewszystkiem nie chodzi tu wcale o egoizm jednej partji politycznej. Program taki, jaki niesie ze sobą idea racjonalizmu gospodarczego, musi oczywiście ktoś podnieść i w szczegółach opracować, w jego szerokiem zastosowaniu do różnych zagadnień państwowych i społecznych. Ale nie powinien on być monopolem jakiejś jednej partji czy grupy, lecz stać się własnością i sztandarem wszystkich czynników szczerze państwowo-twórczych w Polsce. Wyrazem jego powinien być zjednoczony, wszechstronny front gospodarczy wszystkich grup politycznych, zrzeszeń i instytucyj oraz warstw społecznych, które mają dość bezmyślnej, rujnującej wszystkich demagogji i pragną zacząć myśleć realnie o sobie i o państwie. Chodzi o grupowanie społeczeństwa pod kątem widzenia przedewszystkiem interesów gospodarczych oraz jego walorów zarówno inteligencji, jak kapitału, produkcji i pracy. Chodzi też o to, aby wszystkie warstwy gospodarcze w państwie — a robotnik stanowi także bardzo ważną warstwę gospodarczą — pobudzić do należytego uświadomienia o ich prawdziwych interesach i korzyściach i spowodować do skoordynowanego zaważenia całą potęgą ich moralnych i materialnych walorów na szalach polityki państwowej, z wyeliminowaniem niepowołanych pośredników, żerujących dotąd bezarnie na ich losach i kieszeni. W takim zaś froncie gospodarczym każda grupa zawodowa lub warstwa społeczna ma ważną rolę do spełnienia, bo

państwo i gospodarstwo krajowe nie są tworem jednej i nie przez jedną tylko mogą być zbawione, ale skoordynowanem współdziałaniem wszystkich.

— A jak przedstawiają się z punktu widzenia tego światopoglądu tak piękące u nas zagadnienia, jak np. sprawa walki klasowej, w jej różnorodnych przejawach lub problem narodowościowy?

— Otóż te dwa właśnie zagadnienia należą *par excellence* do tych, których spokojne, naturalne rozwiązanie leży bez najmniejszej wątpliwości przedewszystkiem na platformie ekonomicznej. Walka klasowa jest wytworem sztucznym i ciągle sztucznie podniecanym przez czynniki, które w ten widzą korzyść własną. We froncie racjonalnej ideologii gospodarczej niemasz na nią miejsca, bo tam musi być jasnem, że kapitał bez pracy i praca bez kapitału istnieć nie mogą, jak nie może istnieć praca fizyczna bez umysłowej, producent bez konsumenta, rolnik bez przemysłowca, a przedewszystkiem zamożne państwo bez zamożnych obywateli. Dlatego ideologia ta wnosi ze sobą na pierwszym miejscu harmonję społeczną. Co zaś do problemu narodowościowego, to już wielowiekowa tradycja historyczna wykazuje, że... *ubi bene, ibi patria*. Może to zbyt materialistyczny pogląd, ale prawdziwy! Nie stanowi on zapewne kompletnego klucza do rozwiązania problemu zgodnego współżycia wszystkich narodowości w ramach państwowości polskiej, ale przynosi niewątpliwie najważniejsze w tym kierunku ułatwienie.

— Czy front gospodarczy może odegrać już rolę przy najbliższych wyborach sejmowych?

— Sądzę, że tak, bo istnieją już poważne w tym kierunku tendencje. Wielce charakterystycznym, choć niestety jeszcze powierzchniowym tylko objawem tego prądu opinii były chociażby hasła przeważnej części list wyborczych do Rady Miejskiej stolicy, które żeglowały pod flagą gospodarczą. Nie było w nich co prawda ani głębszego programu, ani szczerości, ale były bądź co bądź wymownym wyrazem rozpoczętej kapitulacji partyjnictwa politycznego przed „gospodarczem” usposobieniem społeczeństwa. Były jedną z tych oznak, mnożących się w ostatnim czasie, które dowodzą dokonywującej się przemiany w psychice naszego społeczeństwa w kierunku wyjścia z impasu jałowego, oderwanego politykowania według recept różnych naszych doktryn partyjnych, a wstąpienia na daleko racjonalniejszy i trwalszy grunt szczerego światopoglądu ekonomicznego z jego prak-

tycznemi konsekwencjami, których realną, a przytem i moralną korzyść wyczuwa każdy.

Front gospodarczy już się w konturach zarysowuje, powstając poprostu żywiołowym rozpędem, bez żadnej wielkiej propagandy ani nacisku. Idea aktualna, wypływająca z atmosfery stosunków, krystalizuje się niemal automatycznie i powinna też wpłynąć odpowiednio na charakter i wynik wyborów. Ale nie o to tylko chodzi. Krótkotrwałe kompromisy niewielką miałyby wartość wyborczą, a już żadnej w dalszem ukształtowaniu sejmu i losów państwa. Byliśmy już świadkami takich efemerycznych paktów i wiemy, ile są warte. I dlatego w pracy nad utworzeniem frontu gospodarczego chodzi przede wszystkim o zbudowanie czegoś naprawdę solidnego i trwałego, coby — bez względu nawet na wynik wyborów i na losy naszego najbliższego sejmu — zapoczątkowało nareszcie okres realnej, logicznej i twórczej pracy w Polsce.

5 lipca 1927.

POSTĘP A REAKCJA.

Pan poseł Mieczysław Niedziałkowski, jeden z najmłodszych, a zarazem najwybitniejszych przedstawicieli polskiego socjalizmu, zamieścił w sobotnim wydaniu „Robotnika” artykuł, rozprawiający się z ruchem konserwatywnym w Polsce. Uderza w tym artykule przede wszystkim nadzwyczajna sumaryczność i brak orientacji w przedmiocie, zadziwiający u wybitnego polityka, znanego z doskonałych referatów publicznych, wygłaszanych nie tylko na wiecach.

Czytając wywody posła Niedziałkowskiego, odnosi się mimowoli wrażenie zmartwychwstania jakichś dawno przebrzmiałych ech i reminiscencji z zamierzchłej epoki. Mowa tam o reakcjonizmie, o cofaniu się wstecz, o złośliwym konserwatywnym hamulcu, o deptaniu na miejscu, o płytkich paradoksach, stawianych przez konserwatyzm w obronie klasowych interesów wielkiej własności rolnej, w przeciwstawieniu do jasnych a postępowych idei socjalistycznych. Wzywa p. poseł torysów angielskich, D'Israelego i „Czas” krakowski na pomoc przeciw skoordynowanemu atakowi mo-

narchistów, niekulturalnych ziemian i innych, reakcją i „demagogią” walczących „czarnych sotni zachowawczych”.

Nie wiemy, czy mu wzywani sojusznicy istotnie pospieszą z pomocą, ale to pewna, że p. poseł, pochłonięty widocznie w zupełności robotą partyjną, bardzo ciężkie dzisiaj nakładającą obowiązki, stanął jakgdyby niespodzianie wobec faktu potężnego odrodzenia myśli konserwatywnej w Polsce na gruzach demagogji, doktrynerstwa i sejmokracji i nie mogąc dać sobie rady z tym faktem, a chcąc koniecznie nań zareagować, sięgnął na prędcę do podręcznika z dawnych czasów przedwojennych i do słownictwa kiełkującego, bojowego socjalizmu z przed lat kilkudziesięciu.

Bo konserwatyzm dzisiejszy, to nie reakcja, nie monarchizm, nie hamulec, nie „orientacja nieświeska” i nie gra partyjna drobnej, słabej grupki, ale żywiołowy, zdrowy odruch szerszych sfer społeczeństwa przeciw siedmioletniemu panowaniu demagogicznego absurdu i terroru, przeciw pustym, jałowym obietnicom, przeciw programowemu kontynuowaniu nędzy i niewoli społecznej i bezwładu państwowego w imię upartych, zaciętych doktryn burzącego radykalizmu. Konserwatyzm dzisiejszy — to odruch instynktu samozachowawczego wszystkich warstw, które mają coś do stracenia, albo które chcą spokojnie pracować i zarabiać, przeciw ciągłemu fermentowi i anarchji, podsycanych przez żadnych rozgłosu i władzy doktrynerów, którzy tem tylko żyją i istnieją. To wzrastające uświadomienie obywatelskie, że ani doktryna, ani rewolucja, ani **terror partyjny**, ani radykalizm ustawodawczy, ani gwałt przeciw prawom ekonomicznym, nie dadzą państwu siły, a głodnemu chleba. A o tem sam p. poseł, jako człowiek wykształcony, wie doskonale.

Konserwatyzm dzisiejszy, ten, któremu wyraz dajemy na łamach naszego pisma, chce właśnie utorować swobodną drogę dla reform i postępu, którym uparte, zaśniedziałe doktryny, spłodzone w mózgach utopistów przed stu laty i odgrzane na elektrycznej kuchence XX w., tamują ciągle drogę. Wszak nic u nas racjonalnego, logicznego, naprawdę korzystnego dla ogółu niepodobna przeprowadzić, bo każdej twórczej, postępowej reformie ustrojowej, czy społecznej, czy gospodarczej, stają odrazu na przeszkodzie krzykliwe hasła demagogiczne, buntujące lud przeciw własnym jego najży-

wotniejszym interesom, nakształt tych agitatorów, którzy w ciemnych zakątkach Rosji podburzają chłopą do zabójstwa zwalczających epidemię lekarzy — jako trucicieli. W tem zamyka się cała tragikomedja naszego radykalizmu pierwszych siedmiu lat niepodległego państwa.

I dlatego, ponad wywody p. posła Niedziałkowskiego sięgamy do napisu, umieszczonego w tymże samym numerze „Robotnika” na innem miejscu tłustemi głoskami: Niech coraz wyżej podnosi się fala socjalizmu!

Otóż o to właśnie chodzi, aby od tej fali Polskę uchronić. Bo cóż niesie nam socjalizm? Zapewne, poddał się on w Polsce pewnej taktyce „narodowej”, idąc w tem zresztą za przykładem zagranicznym i — paktując z rzeczywistością — rozłożył realizację swego programu na pewne dłuższe okresy. Ale co ten program niesie? Konfiskatę mienia prywatnego, zmechanizowanie jednostki, niewolę społeczną, zniesienie religii, ojczyzny i rodziny, socjalizację kobiet i dzieci. Wszystko, co człowiek lubi, posiada, czeni i ceni, co ożywia jego uczucia, zdolności, energję twórczą i szlachetniejsze instynkta, słowem, co stanowi wartość życia, ma zginąć, a na jego miejscu zapanować na zawsze przymus socjalny, poniżający jednostkę do roli pozbawionej wszelkich uczuć i ideałów maszyny roboczej, beznadziejna szarzyzna egzystencji i niewola tak straszna, o jakiej żadna epoka dawnego niewolnictwa — z którego można się było wykupić — nie może dać wyobrażenia.

To ma być w teorji. A w praktyce? Proszę spojrzeć na Rosję! To chyba wystarczy i zwolni nas od wszelkich komentarzy. Bo czemuż jest bolszewizm, jak nie przeprowadzanym konsekwentnie rajem robotniczo-włościańskim według recept utopistów socjalistycznych z pierwszej połowy zeszłego stulecia? O tem ciągle się u nas zapomina, a pierwsi, zdaje się, pragnęliby zapomnieć o tem protagoniści naszego socjalizmu. Na co więc rzecz w praktyce wychodzi? Na dobro robotnika? Nie, tego chyba żaden szczerzy socjalista twierdzić nie może. Wychodzi w praktyce na terror garstki spryciarzy, którzy zakuwają społeczeństwo w niewolę, aby zdobyć dla siebie warunki wszechwładzy i materjalnych korzyści, warunki, jakich nie wymyślił nawet najskrajniejszy absolutyzm zamierzchłych czasów.

I w ten sposób realizować się musi każda doktryna uszcześliwiania ludzkości gwałtem i przymusem. Ale takie teorie można było głosić jeszcze w połowie zeszłego wieku, a stosować je na ciemnym, półazjatyckim gruncie rosyjskim po obaleniu średniowiecznego ustroju carskiego i przegranej wojnie — a nie w wyzwolonej Polsce, w epoce radja, samolotów i... po wymownym przykładzie sowieckim!

Nie, na to nikt, panie pośle, nikogo już w Polsce na serio nie weźmie!! Społeczeństwu, które było świadkiem dziesięcioletniej postronnej rewolucji, a własnej siedmioletniej sejmokracji, ludokracji, inflacji, stabilizacji, a w końcu sanacji, nie opowiada się o raju robotniczo-włościańskim, bo się pierwszy chłop i robotnik z tego śmieją, o ile chwilowo, jak każdy tłum, nie są podnieceni przemową wiecową. Naród nasz, chociaż — jak zwykle — po szkodzie, nauczył się już nieco trzeźwiej myśleć i każdy chce być dzisiaj przede wszystkim — człowiekiem, mieć swobodę, święty spokój i dobrze zarabiać. Do tego dąży każdy, zmęczony skutkami wojny i demagogii i kpi sobie z haseł proletaryzacji.

A „fala socjalizmu” usiłuje życie i pracę społeczeństwa ciągle czemś obciążać w imię przyszłego raju, bo tak stoi w podręczniku Marxa, pokrytym ośmdziesięcioletnią pleśnią. Przytłacza je coraz to nowymi ciężarami, świadczeniami, nakazami i zakazami, podcinając swobodę ruchu, zarobku i możliwość pracy, wyzuwając z mienia, hamując możliwość społecznego, kulturalnego i gospodarczego rozwoju, przymuszając do strajków, szerząc jałową, a tak szkodliwą dla wszystkich walkę klasową, uzbrajając bojówki i proletaryzując oświatę i cywilizację. Pochód tej fali wyraża się jasno następującą skalą: etatyzm — radykalizm — socjalizm — bolszewizm. I na pewno ten, kto sądzi, że ten pochód na lewo będzie mógł w dowolnym punkcie zatrzymać!

Dlatego też konserwatyzm polski, jakkolwiek żąda wszelkich racjonalnych reform i realnego postępu, staje zdecydowanym frontem przeciw naporowi tej fali, bo zdaje sobie dobrze sprawę, czem ona grozi. A nadto, chodzi i o coś innego jeszcze, czego p. poseł Niedziałkowski oczywiście uwzględnić nie może, ale do czego my, konserwatyści, a za nami conajmniej ci brzymania większość narodu, szczególną przykładamy wagę: Socjalizm, pod fałszywym założeniem postępu i wyzwolenia,

chce nam zabrać wiarę i przywiązanie do Kościoła i ojczyzny. A przy nich właśnie naród polski twardo stoi i stać musi, jeśli chce istnieć i o tę twierdzą rozbije się — mamy ufność — wszelka propaganda wywrotowa.

Jeżeli więc ruch, zwany dzisiaj jeszcze „socjalistycznym”, przekształci się na szczerą i racjonalną obronę interesów warstw robotniczych, porzucając wywrotowe, a całkiem zbytęteczne hasła i metody, przekazane mu w spuściźnie przez utopistów z epoki „Świętego przymierza”, a wymierzone przeciw religji, rodzinie, zgodzie społecznej, prawu własności, swobodzie indywidualnej i naturalnej ewolucji — to niewątpliwie zejdziemy się z nim w podstawowej pracy dla dobra państwa i społeczeństwa. Ale dopóki socjalizm trwa uparcie przy swoim, dopóki godzi — na krótką czy długą metę — w to wszystko, co naród za święte uważa i co otwiera mu drogę do swobodnego rozwoju i dobrobytu, niech wie, że Polska nie da narzucić sobie na serjo doktryny, która w samem swem założeniu niesie jej zgubę.

I w tym froncie zdecydowanej obrony przed wywrotem, a zarazem w dziele racjonalnej rozbudowy państwa i realnego, korzystnego dla wszystkich postępu, widzi konserwatyzm polski swe zadanie. Eksperymentowanie zaś doktrynami i hamowanie zdrowego rozwoju w imię przebrzmiałych haseł i utopji pozostawia apostołom reakcji na prawo i na lewo.

8 lipca 1927.

STATEK I STERNIK.

Spokojna, rzeczowa krytyka, jakiej na łamach naszego pisma poddajemy usterki lub demagogiczne wybujałości czy to ustaw już obowiązujących, czy projektów rządowych, ściąga na nas niekiedy, okolicznościowe zarzuty, jakobyśmy, konserwatyści, wbrew naszym zasadom legalizmu i obiektywizmu, uprawiali rzekomo taktykę opozycji dla opozycji. Pojęcia takie, sprzeczne już zresztą z samą treścią i formą naszych artykułów, mogą powstawać oczywiście tylko w powierzchniowych lub apolitycznych umysłach i dlatego nie widzimy potrzeby z niemi się rozprawiać, a już najmniej re-

agować na sprytne usiłowania identyfikowania naszych dążeń z taktyką żywołów zasadniczej opozycji. Niemniej jednak uważamy za wskazane, dla rozprószenia wszelkich wątpliwości z jakiegokolwiek strony, intencje nasze i stanowisko — już i bez tego aż nadto wyraźne — raz na zawsze wyjaśnić.

Rada Naczelna Stronnictwa Prawicy Narodowej wypowiedziała się jesienią ubiegłego roku wyraźnie na łamach swych organów prasowych, że Stronnictwo popiera wszelkie państwowo-twórcze usiłowania rządu i oddaje mu w tym zakresie swą współpracę całkowicie do dyspozycji. Z tego wynika jasno, że konserwatyści naszego obozu stoją zdecydowanie za rządem w jego akcji sanacyjnej, a zważywszy charakter i wagę enuncjacji publicznych naszego Stronnictwa, wiedzą czynniki miarodajne w kraju dobrze, że na nasze szczerze współdziałanie w tem dziele mogą bezwzględnie liczyć.

Specjalnie zaś liczyć może na to marszałek Piłsudski, któremu nie brak w tym kierunku wymownych dowodów jeszcze od chwili wybuchu wojny światowej, dowodów realnych, składanych nieraz z całem zaparciem się siebie, bo w bardzo ciężkich warunkach, w których mieliśmy przeciw sobie nieprzyjazne stanowisko władz zaborczych i okupacyjnych, oraz opinię znacznej większości społeczeństwa. Jeśli więc wówczas, gdy Polski jeszcze nie było, nie zachwialiśmy się we współdziałaniu z brygadjerem Piłsudskim w wielce ryzykownej akcji tworzenia zawiązku siły zbrojnej, to tembardziej nie zachwiejemy się dzisiaj, gdy Polska już istnieje, we współpracy z marszałkiem Piłsudskim nad jej wzmocnieniem.

Ale skoro bierność i wyczekiwanie wypadków obce były zawsze naszej ideologii i taktyce, tak i obecnie, mimo całej ufności w rozpoczęte przez marszałka dzieło, nie uważamy, aby taktyka założonych rąk i ślepej wiary w kogokolwiek i cokolwiek miała być programem i zadaniem konserwatyzmu. Jeżeli zresztą zgłosiliśmy gotowość do współpracy z rządem i — mimo wielu przeciwnych nam okoliczności — od niej się nie cofamy, to uważamy jako samo przez się zrozumiałe, że współpraca taka, choćby tylko pośrednia lub dorywcza, implikuje prawo, a nawet obowiązek stanowczej, rzeczowej krytyki.

Nie samą oczywiście krytyką iść chcemy. Przeciwnie, złożyliśmy już dotąd konkretne dowody, pozytywnego współdziałania. Uznajemy też w całej pełni dotychczasowe, wi-

doczne już na niejednym polu rezultaty akcji sanacyjnej, która rok temu przerwała bolesnem cięciem gangrenę korupcji, nieudolności i partyjnego marazmu, gdy nakształt raka toczyły młody, organizm państwowy. Spodziewamy się też, z usprawiedliwioną okolicznościami niecierpliwością, pewnych wyraźniejszych pociągnięć ze strony rządu, któreby zerwały zasłonę z tajemnic oficjalnego programu i wskazały zdezorjentowanemu społeczeństwu jaśniejsze drogi twórczej pracy państwowej. Nie podzielamy bowiem zapatrywania, że „samo-przefermentowanie się” społeczeństwa o tak niewielkich zdolnościach organizacyjnych, jak nasze, może rozjaśnić ciemności i wykuć zdrową myśl państwową.

Jesteśmy przecież świadkami objawów, że dzieje się przeciwnie. Ogólna idea sanacyjna stwarza wprawdzie tu i ówdzie dodatnie wyniki, które, gdyby nic nie stawało na przeszkodzie, zsumować się mogą po pewnym dłuższym czasie w kompletne, doniosłe dzieło moralnego i materialnego odrodzenia państwa. Ale niestety drogi sanacji, w ten sposób pomyślanej, nie są tak proste i łatwe, a nawet grożą poważnem niebezpieczeństwem. Bo ciemne moce nie śpią i wykorzystując różne momenty, a nieraz nawet sam autorytet hasła sanacji i jego twórcy, prowadzą wprost przeciwną propagandę i robotę, godzącą nieraz jaskrawo w same podstawy akcji odrodzenia. Usiłują, idąc za demagogją lub wszelakim modnym prądem wywrotowym, transplantowanym z zagranicy naiwnie lub z premedytacją na grunt polski, narzucić państwu ustrój prawny i nastrój społeczny, których żadną miarą nie możemy tolerować bez stanowczego protestu.

I dlatego akcja nasza zorjentowana jest siłą rzeczy właśnie ku temu, aby, koordynując szczerą pracę państwowo-twórczą z podstawowemi założeniami rządowej akcji sanacyjnej, napiętnować wyraźnie i usunąć jej z drogi to wszystko, co ją może wypaczyć lub unicestwić. Chcemy mocno wierzyć, że zmysł polityczny i patriotyczny twórców rozpoczętego odrodzenia Polski wprowadzi naszą nawę państwową, poprzez rozbijające jeszcze fale różnostronnych demagogicznych porywów, prędzej czy później do bezpiecznego portu. Ale jako wyznawcy realizmu politycznego chcemy także mieć i pewność, że do tego portu dopłynie statek cały i nienaruszony, nie zaś jego szczątki.

Niżej podane uchwały Stronnictwa Prawicy Narodowej stanowią przełomowy etap w jego ewolucji programowej.

UCHWAŁY RADY NACZELNEJ STRONNICTWA PRAWICY NARODOWEJ.

W dniach 10 i 11 b. m. odbyło się we Lwowie posiedzenie Rady Naczelnej Stronnictwa Prawicy Narodowej pod przewodnictwem prezesa Żdzisława hr. Tarnowskiego, w obecności wice-prezesa Janusza ks. Radziwiłła i delegatów wszystkich czterech oddziałów Stronnictwa, krakowskiego, warszawskiego, łódzkiego i lwowskiego.

W długiej i ożywionej dyskusji omówiono główne aktualne sprawy polityki państwowej.

Po referacie dr. Jana Bobrzyńskiego w kwestji dostosowania podstaw programowych i działalności Stronnictwa Prawicy Narodowej do warunków i potrzeb niepodległego państwa na zasadach obiektywnego światopoglądu gospodarczego, uchwalono następującą rezolucję:

„Rada Naczelna Stronnictwa Prawicy Narodowej stwierdza, co następuje:

1) Podwalinę rozwoju społecznego i państwowego stanowią pierwiastki wyższe, a to religijne, partyjotyczne i moralne oraz utrzymanie i obrona cywilizacji i kultury.

2) Moment gospodarczy stał się w nowoczesnej ewolucji dziejowej najgłówniejszą sprężyną polityki wewnętrznej państw, oraz stosunków międzynarodowych i socjalnych i dlatego powinien zastąpić dotychczasowe hasła partyjno-demagogiczne. Obiektywny światopogląd ekonomiczny, stosowany konsekwentnie do wszelkich zagadnień państwowych i społecznych, stanowi też niewątpliwie najrealniejszą platformę, na której nastąpić może sprawiedliwe i korzystne rozwiązanie najważniejszych problemów polityki i gospodarki państwowej, oraz międzypaństwowej. Wprowadzając w życie i w ustrój państwa zasady normalnego rozwoju i harmonji społecznej, przeciwstawia się ten światopogląd zarazem radykalizmowi

społecznemu i politycznemu, przerostowi etatyzmu, oraz wszelkim doktrynom kolektywistycznym, dając przez rozwój gospodarczy poprawę bytu wszystkim warstwom społecznym na zasadzie zgodnego współdziałania kapitału i pracy.

3) Zastosowanie obiektywnego światopoglądu ekonomicznego do wszelkich dziedzin polityki państwowej ułatwi zarazem wprowadzenie niezbędnych reform ustrojowych, rozwiązanie problemu narodowościowego, oraz dostosowanie się rozwoju życia państwowego w Polsce do postępu zachodniej kultury.

4) Dlatego Stronnictwo Prawicy Narodowej, stojąc konsekwentnie przy swej tradycją przekazanej zasadzie obiektywizmu politycznego, stosowanego do wszelkich zagadnień polityki wewnętrznej i zewnętrznej, ustala następujące wytyczne swego działania:

Zadaniem i obowiązkiem żywiołów i ugrupowań zachowawczych jest wytężona praca nad utrwaleniem i rozszerzeniem podstaw państwowości polskiej. Dążyć do tego należy:

a) przez wprowadzenie do życia publicznego pierwiastku etycznego, opartego na zasadach chrześcijańskiej moralności, głoszonej przez Kościół katolicki;

b) przez konsolidację społeczeństwa nie na podstawie przeżytych haseł partyjnych, ale przede wszystkim na gruncie realnej pracy nad rozwojem życia gospodarczego w myśl obiektywnej ideologii ekonomicznej;

c) przez zwalczanie wszelkich objawów demagogii;

d) przez podnoszenie dobrobytu materialnego wszelkich warstw społecznych, którego jednym z głównych czynników jest w naszych warunkach wzmożenie produkcji rolnej.

Wychodząc z tego założenia, Stronnictwo Prawicy Narodowej stwierdza, że będzie współpracowało ze wszystkimi czynnikami w państwie, któreby swe działanie oparły na powyżej wyłuszczonych zasadach."

W związku z powyższą rezolucją, uchwalono na wniosek ks. Janusza Radziwiłła wybrać trzech delegatów celem prowadzenia dalszych pertraktacji z Polską Organizacją Zachowawczej Pracy Państwowej, oraz ze Stronnictwem Chrześcijańsko-Narodowym, mających na celu konsolidację żywiołów zachowawczych w państwie.

UCHWAŁY LIPCOWE RADY NACZELNEJ STRONNICTWA PRAWICY NARODOWEJ.

Minał senzon letni i zbliża się okres, w którym nasze życie polityczne zacznie znowu żywszem bić tętnem, zwłaszcza wobec szeregu doniosłych problemów, jakie stworzyła sytuacja w państwie, a których rozwiązanie, ustawicznie odraczane, nareszcie znaleźć się musi.

W związku z tem nie od rzeczy będzie przypomnieć uchwały programowe Rady Naczelnej Stronnictwa Prawicy Narodowej, powzięte na zebraniu we Lwowie 11-go lipca r. b. i ogłoszone w naszym piśmie dnia 12-go lipca, które stanowią w każdym razie wydarzenie o wielce doniosłym znaczeniu dla Stronnictwa, dla polskiej myśli zachowawczej wogóle i dla państwa. Prasa nasza, z nielicznymi wyjątkami, przeszła nad niemi w milczeniu do porządku dziennego, klasyfikując je zapewne na równi z licznemi rezolucjami zarządów różnych stronnictw, pojawiającemi się co chwila na łamach dzienników, a mającemi na celu mniej lub więcej zręczne, chociaż tylko chwilowe ustosunkowanie się do panującego reżimu, z którego tendencją wychudzone nasze partyjnictwo pięcioprzymiotnikowe dotąd rady dać sobie nie może.

A przecież podstawowe te uchwały zasługiwały na to, aby zwrócić powszechną uwagę i dać społeczeństwu naszemu poważny temat do myślenia. Stanowią bowiem punkt zwrotny w działalności Stronnictwa Prawicy Narodowej po sześćdziesięciu latach jego istnienia, a mogą i powinny stanowić także nowy punkt wyjścia dla ideologii i pracy wszystkich ugrupowań szczerze państwowo-twórczych oraz kamień węgielny dla rozbudowy nowoczesnej polskiej idei państwowej, dostosowanej do realnych wymogów wskrzeszonej ojczyzny i do kierunku, w którym idzie coraz wyraźniej rozwój cywilizowanych państw zachodnich. Uchwały, będące wynikiem zmagania i doświadczeń Stronnictwa od chwili wskrzeszenia naszej niepodległości państwowej, zamykają reminiscencje przeszłości jednym zdecydowanym pociągnięciem i stając bez zastrzeżeń na gruncie obecnych stosunków i aktualnych potrzeb państwa oraz uwzględniając najważniejsze błędy budowy państwowej minionych lat ośmiu, wytyczają działalności Stronnictwa nową.

całkiem zdecydowaną platformę i kierunek działania, wzywając zarazem całe praworządnie i realnie myślące społeczeństwo do współpracy.

Kardynalnym postulatem tych uchwał jest zastąpienie dotychczasowej polityki partyjnej, która przywiodła młode państwo w szybkim tempie nad brzeg przepaści, momentem ekonomicznym, t. j. zastosowaniem trzeźwego, obiektywnego, prawdziwie „gospodarczego” sposobu myślenia i działania do wszelkich dziedzin pracy publicznej i państwowej, przy pilnem przestrzeganiu zasad etyki i religii. Zdrowy rozwój państwa oraz niezbędna harmonia wszystkich jego warstw społecznych i narodowościowych nie mogą istnieć przy dotychczasowych zasadach, uprawianych i propagowanych przez panujące w kraju stronnictwa, zasadach, skryształizowanych w bezkrytycznym radykalizmie, burzącym rozmyślnie realne zdobycze cywilizacji, kultury i materialnego oraz moralnego postępu, pogrążającym programowo wszystkie warstwy społeczne w pauperyzacji i proletaryzacji i narzucającym państwu ustrój, oparty na bezpłodnej walce klasowej, nędzy gospodarczej i absurdzie ustawodawczym, a w jego konsekwencji i administracyjnym.

Polityka stronnictw, operująca abstrakcyjnymi radykalnymi hasłami, zgrała się i to nie tylko w Polsce, ale wszędzie na świecie. Rządy sejmowych alfabetów partyjnych i bezmyślna hipertrofia demokratyzmu okryły się wszędzie śmiesznością i złożyły aż nazbyt namacalne dowody nieproduktywności i marazmu. Sztuczna galwanizacja nie zdoła ich odrodzić, a pchnie tylko państwo na drogę coraz niebezpieczniejszych eksperymentów. Jednostronny rozpęd na lewo, niszczący kolejno wszystkie wyższe moralne i materialne wartości w państwie, musi się skończyć anemią organizmu państwowego i katastrofą polityczną.

W takich warunkach ratunek przynieść może tylko zasadniczy zwrot w psychice społeczeństwa — zapoczątkowany z góry lub samorzutnie — w kierunku zdrowego, logicznego obiektywizmu ekonomicznego, opartego przede wszystkim na samouświadamieniu wszystkich obywateli o prawdziwej istocie ich interesów materialnych i wyzwolenia się tą drogą z hipnotyzującej tyranii doktryn demagogicznych. Obudzić więc trzeba szersze warstwy społeczeństwa do samodzielnego

myślenia o realnych korzyściach własnych i państwa, zaczynając od rozumnie pomyślanych problemów ekonomicznych, gdyż one rozstrzygają dziś powszechnie o losach świata.

Taki zwrot w kierunku racjonalnych pojęć gospodarczych w odniesieniu zarówno do jednostki, jak warstw zawodowych oraz całego państwa, sprowadzić musi otrzeźwienie i ułatwi usunięcie demagogii i żerowania na łatwowierności i nędzy społecznej, a zarazem i zwycięstwo zasad etycznych, dyktowanych logiką społeczną, a tłumionych dotąd celowo przez czynniki, wrogie prawdziwemu postępowi oświaty, moralności i ciężkiej pracy narodowej.

Praktyczną zaś konsekwencją tej naczelnej zasady obiektywizmu gospodarczego powinno być przegrupowanie struktury polityczno-społecznej państwa w możliwie jednolity „front gospodarczy”, złożony z racjonalnie szarmonizowanych interesów wszystkich warstw i grup zawodowych społeczeństwa. W takim froncie, wykluczającym doktrynerskie i partyjne wybryki politycznych karierowiczów i wichrzycieli, bo opartym na zdrowych, praktycznych założeniach obiektywizmu ekonomicznego, każdy z jego członków ma przed sobą ważną rolę do spełnienia i dlatego też zyska odpowiednie znaczenie, nieskrępowane żadnym uciskiem ani przymusem. Taki front wyklucza też z jednej strony walkę, z drugiej egoizm klasowy, bo obiektywizm gospodarczy wyjaśnia każdemu, że prawdziwa, trwała jego korzyść leżeć może tylko w szarmonizowaniu jej z korzyścią drugich oraz całego organizmu państwowego.

Tak pomyślany obiektywizm gospodarczy i zorganizowany na nim front społeczny, wykluczają również absurdalne ustawodawstwo, które narzucano dotąd, niestety, jako podwalinę młodemu państwu i niewyrobionemu ani politycznie, ani gospodarczo społeczeństwu. Żaden bowiem „gospodarczy” myślący umysł nie dopuściłby do szeregu takich ustaw, burzących zawzięcie a bezmyślnie dobrobyt społeczny oraz siłę i sprężystość państwa, jakimi nas dotąd bezkarnie uszczęśliwiano i jakie nadal jeszcze się fabrykują bez żadnego protestu ze strony poszkodowanego społeczeństwa, a zwłaszcza jego warstw oświeconych, mających coś do stracenia. Natomiast wypowiada program ten zdecydowaną walkę wszelkim doktrynom socjalizującym i wywrotowym, jako nieetycznym i antygospodarczym, będącym najcenniejszym narzędziem

przedewszystkiem w ręku „obcych agentur“, bo osłabiającem państwo i naród na korzyść zręcznej polityki mocarstw postronnych. Wskazuje wyraźnie na największe ze wszystkich grożących nam niebezpieczeństw, to jest wzrost socjal-komunizmu i wzywa społeczeństwo do zdecydowanego przeciwstawienia się jego z roku na rok potężniejącej nawale, a to w pierwszym rzędzie przez zwalczanie etatyzmu, idącego zawsze w awangardzie socjalizacji i przez podniesienie obrony własności prywatnej i twórczej inicjatywy indywidualnej. Wyłania też ten program zarazem, jako rzecz samą przez się zrozumiałą, kategoryczny postulat niewzruszonej praworządności i silnej a sprawiedliwej władzy, bo w ich braku wszystko rozpręgać się musi.

W tym też kierunku, na silnej podwalinie obiektywizmu gospodarczego, przebudowują się nowoczesne struktury wszystkich potężnych, cywilizowanych państw, wstrząśnięte do głębi skutkami wojny światowej i ekspansją społecznego anarchizmu. W tym kierunku musi pójść i Polska, jeżeli chce istnieć. Jeśli mu się sprzeniewierzy, to wszelki pesymizm co do jej przyszłości najzupełniej będzie usprawiedliwiony. Niepodobna bowiem tworzyć i utrzymywać państwa na zasadach w istocie nawskroś antypaństwowych, antyspołecznych i antygospodarczych! Niepodobna dać się rządzić doktrynom i wicherzycielom, którzy — bezpośrednio czy pośrednio, z wolą lub mimo woli — osłabiają państwo i społeczeństwo w myśl intencji wrogich nam czynników.

Stronnictwo Prawicy Narodowej rzuciło swemi lipcowemi uchwałami jasno i wyraźnie hasło odrodzenia, wskazując mu właściwy cel i drogę. Uchwały te nie mają żadnego charakteru partyjnego, ale wybitną cechę ogólnopaństwową. Precyzują też zarazem dokładnie nowoczesny charakter i zasady programowe szkoły politycznej, jaką reprezentuje Prawica Narodowa, rozdzierając zasłonę różnorodnych insynuacji i plotek, jaką osnuła nasze Stronnictwo nieprzebiegająca w środkach propaganda przeciwników. Obóz Prawicy Narodowej staje z otwartą przyłbicą przed opinią publiczną.

NA WSCHÓD CZY NA ZACHÓD?

Kardynalne to zagadnienie, dotyczące podstaw naszej polityki zagranicznej, wije się — dotąd nierozstrzygnięte — poprzez wszystkie koleje wypadków i orientacje naszego społeczeństwa od chwili odzyskania niepodległości. Rzec nawet można, że kwestja ta bardziej i wyraźniej, niż wiele innych, dzieli polską opinię polityczną na dwa wielkie obozy i chociaż nie występuje jaskrawo na zewnątrz, niemniej jednak tkwi na dnie głębokich różnic w usposobieniu i rozumowaniu naszych stronnictw także na innych polach, nie mających pozornie nic wspólnego z polityką zagraniczną. Jest bowiem faktem, że Polska dzieli się dzisiaj jeszcze na zwolenników orientacji wschodniej i zachodniej, z których pierwsi w pewnej konsekwencji i przenośni muszą dźwigać dawny przydomek „moskalofilów”, drudzy „germanofilów”.

Zbieg okoliczności sprawił, że pierwsi pokrywają się mniej więcej z dotychczasową sejmową prawicą, drudzy z lewicą, chociaż paralelizm ten nie jest całkiem dokładny i ma liczne wyjątki.

Naczelny ten problem naszej polityki zewnętrznej nie powinien pozostać dłużej w zawieszeniu, gdyż od niego zależy nie tylko cały przyszły kierunek rozwoju naszego państwa i jego rola wobec świata, ale wprost jego egzystencja. Rozstrzygnąć go sobie powinien jasno i bez niedomówień także konserwatyzm polski, jeśli rola jego na arenie publicznej ma być wyraźną.

Dla polityki uczuć i porywów zagadnienie to może być zawiłe. Dla umysłów trzeźwych sprowadza się natomiast od razu do zasadniczego pytania: Czy Polska ma należeć do cywilizowanej Europy Zachodniej, czy do Eurazji? Tertium non datur w polityce realnej i jakaś rola Polski pośrednicząca między wschodem a zachodem istnieć może tylko w głowach niepoprawnych utopistów.

Od lat tysiąca toczy się — z pewnemi przerwami i ze zmiennem szczęściem — zacięta walka Polski z Niemcami. Żywotny interes Niemiec wymaga ich ekspansji na wschód, niemniej żywotny interes Polski nakazuje jej powstrzymać je w tym pochodzie. Z walki tej, biorąc dobę obecną, nie wyszli

Niemcy dotąd naogół zwycięsko, bo nie byli w stanie, poza wybrzeżem Bałtyku, posunąć się stanowczo i daleko poza linię Odry, a przejściowe sukcesy w tym względzie okupować musieli raz po raz utratą przynajmniej znacznej części zdobyczy. Walka ta wychodzi zresztą pod pewnym względem na korzyść Polaków: oto utrzymuje ich w ciągłej prężności, hartując w boju i zmuszając stać w ciągłym pogotowiu na straży zachodnich rubieży. W tej walce urobił się i wzmocnił patryjotyzm wielkopolski, jakim go dziś widzimy. Bez niej, bez tej ciągłej bojowej podniety, bylibyśmy na zachodzie moralnie i materialnie słabsi.

Ale mimo tej walki, mimo całej brutalności przeciwnika, mimo słusznej animozji, jaką czuć musimy wobec potomków krzyżackich, nie wolno nam w realnych rachubach politycznych zapominać, że Niemcy — to jednak jedno z najbardziej cywilizowanych państw na świecie, którego nauka i technika ogromne przyniosła nam już korzyści, którego wzorowa organizacja i tężyzna narodowa w niejednym powinna nam być przykładem i z którym sąsiedzki modus vivendi prędzej czy później znaleźć się musi. Im będziemy silniejsi i lepsi politycy, tem prędzej oczywiście się znajdzie.

Inna rzecz z Rosją. Rosja — to Azja, z dodatkiem pewnych silnie rozkładowych pierwiastków, które wyciągnęła i po swojemu przerobiła z cienkiego pokostu cywilizacyjnego, dostarczonego z zagranicy. Tym czynnikiem rozkładowym, dziwną mieszaniną anarchizmu, nihilizmu i fatalizmu, zaraża wszystko, co się z nią zetknie. Tym jadem zatruto się mimowoli w pewnym stopniu i nasze społeczeństwo. A był tem niebezpieczniejszy, że dostał się do nas na podłożu znacznego dobrobytu, za którym tęsknią dotąd, chcąc niechcąc, ciągle jeszcze ci wszyscy, którzy ciągnęli z niego ongiś korzyści. I tym właśnie dobrobytem, oraz pozorami potęgi, która wydawała się niezwalczoną, dokonała Rosja stopniowo moralnego podboju wielkiej części naszego społeczeństwa, podboju, którego śladów ani pogrom Rosji w wojnie światowej, ani wszystkie okropności rewolucji bolszewickiej dotąd jeszcze całkowicie nie zatarły. Wszak wciąż się jeszcze wahamy między wschodem a zachodem, wciąż czegoś jeszcze oczekujemy ze wschodu, ciągle jeszcze pokutuje u nas naiwna nuta „słowiańska” i pewne reminiscencje rosyjskiej taktyki administracyjnej.

A przecież zadanie nasze z tej strony mamy jasno określone. Rosja grozi nam potrójnem niebezpieczeństwem: bolszewizmu, anarchji kulturalnej i nienasyconej ekspansji zdobywczej. Ta ostatnia jest bodaj najrealniejszą ze wszystkich. Gdy bowiem reszta Europy spogląda na Rosję dzisiejszą przede wszystkim sub specie bolszewizmu, to dla nas, Polaków, pozostaje Rosja zawsze tym samym wrogiem bezpośrednim, równie zachłanym i niebezpiecznym, bez względu na jej ustrój chwilowy, bez względu na to, czy mamy do czynienia z Repninem czy z Leninem, czy caratem, Dumą, lub kominternem. Stopięćdziesiąt lat dziejów powinno nas już tego dostatecznie nauczyć.

Od Niemców dzieli nas wiele, ale i łączy nas z nimi wiele, jako z narodem zachodnim. Od Rosji dzieli nas wszystko. Walka z Niemcami, nawet najzawziętsza, musi mieć jednak jako cel ostateczny porozumienie. Inaczej nie zespolimy się z Europą, ze światem cywilizowanym, w którym Niemcy bez żadnej kwestji wielkie reprezentują walory. Między nami zaś a Rosją ziele nieprzebyta przepaść pod każdym względem, bo kultura kozacka czy bolszewicka jednaką niesie nam zagładę i zgniliznę społeczną w dodatku — i to społeczeństwo nasze raz nareszcie powinno zrozumieć i porzucić niebezpieczne złudzenie. A że Rosja równoznaczną jest teraz z komunizmem, niosącym zgubę wszystkiemu, dla czego żyć warto, tembardziej więc przeciwstawić jej trzeba zdecydowany i skonsolidowany front obronny, którym zarówno polska myśl polityczna, jak i polska kultura powinny opancerzyć się raz na zawsze przeciwko zaborczemu, rozkładowemu naporowi Moskwy.

Zmieniły się czasy, ale nie zmieniła się misja Polski jako wschodniego przedmurza wiary i cywilizacji w całym tego słowa znaczeniu. Spełnienie tej misji zdecyduje o naszym stanowisku mocarstwowem, o naszej egzystencji wogóle. Polska, jako wschodnia placówka cywilizowanej Europy, ma wielką rację bytu, jako przyczepkę do świata rosyjskiego — żadnej.

I ta podstawowa racja stanu decydować musi o naszej ogólnej orientacji na zewnątrz i przeciąć wszelkie naiwne a wielce szkodliwe marzenia „słowiańskie”.

Nie powinno to oczywiście przeszkodzić utrzymywaniu poprawnych stosunków dyplomatycznych i handlowych z dzisiejszym państwem Sowietów i starannemu unikaniu wszystkiego, co mogłoby ściągnąć na nas zarzut polityki agresywnej. Przeciwnie, ta sama realna racja stanu, która dyktuje nam stanowcze odgrodzenie się drutem kolczastym od rosyjskiej psychiki i czujne stanie na wschodniej granicy z bronią u nogi, dyktuje nam również obowiązek dołożenia wszelkich starań o utrzymanie pokoju we wschodniej Europie.

12 września 1927.

ZACHÓD, CZY ROSJA?

Artykuł nasz z dn. 7 b. m. p. t. „Na wschód czy na zachód?” wywołał kwestje, które nie były niespodzianką. Starodawnym, utartym zwyczajem, nie wchodząc bliżej w treść ani w konkluzję naszych wywodów, całkiem zresztą wyraźnych, zarzucono nam z pewnej strony krótko a węzłowato „germanofilstwo”.

Wyraz ten jest czystym wytworem partyjnego warsztatu bojowego, gdzie go ukuto swego czasu, wraz z zarzutem „masonerii”, aby zwalczać politykę tych czynników w społeczeństwie naszym, które broniły oddania zredukowanej do minimum Polski „etnograficznej” bez oporu i protestu pod berło Romanowów, jak tego pragnęły pewne ugrupowania przed i podczas wojny światowej. Jest on więc wytworem fantazji, złośliwej taktyki partyjnej i niczem więcej. Bo „germanofilów”, t. j. zwolenników przymierza z Niemcami, w Polsce nie ma i nie było od niepamiętnych czasów, jeśli pominąć całkiem wyjątkowe indywidualne wypadki, które złożyć można spokojnie na karb prawdziwie patologicznych objawów polskiej myśli politycznej.

Orientacja społeczeństwa polskiego jest ogółem tak zgodną w kwestji naszych zachodnich sąsiadów, jak w żadnej innej. Wiemy wszyscy doskonale, czym jest dla nas Niemiec i co

o nim myśleć i witaliśmy wszyscy z żywym zadowoleniem męskie słowa ministra Zaleskiego, który rok temu rzucił Niemcom w odpowiednim momencie stanowcze: Stój, ani kroku dalej! Istnieją u nas zresztą organizacje obrony kresów zachodnich i silny front antyniemiecki, który, zbudowany przed wojną w Poznańskim, rozszerzył się dzisiaj na kraj cały. Sprawa jest oczywista i bezsporna. Chodzi jedynie tylko o to, aby wyszła, o ile tego potrzeba, z dziedziny uczuć i porywów i przekrystalizowała się w rozumną a realną myśl polityczną, która nakazuje, aby nieustępując ani piędzi ziemi i zachowując wszelką wskazaną czujność, kierować jednak walką tak, by znaleźć — skoro tylko będzie to możliwem — wreszcie jakiś modus vivendi z zachodnim sąsiadem w imię dobrze zrozumianych naszych żywotnych interesów własnych i w imię tem ściślejszego zespolenia się z cywilizowanym światem zachodnim. Nie wynika z tego bynajmniej, aby dla tego pożądanego współżycia poświęcać cokolwiek z naszych praw i stanu posiadania, albo się Niemcom z przyjaźnią narzucać, albo wreszcie nie różniczkować naszych stosunków z poszczególnymi państwami zachodu. Rzecz bowiem naturalna, że stosunki te będą — nawet po pomyślnem ich uregulowaniu — w każdym razie inne z takim państwem, jak Francja, niż z Niemcami.

To rozumiemy wszyscy, dobrze. I dlatego twierdzimy raz jeszcze, że nie masz u nas „germanofilów”, nie masz niebezpieczeństwa ideowych sympatji proniemieckich.

Są natomiast moskalofile i jest ich jeszcze zbyt wielu. Zbyt wielu jest jeszcze Polaków, którzy mimowoli nie są w stanie zapomnieć o „świetnych czasach” ekonomicznego dobrobytu, kiedy stał przed nimi otworem olbrzymi, a tak lukratywny rynek, sięgający do Kaukazu, Fergany i Władywostoku. Zapominają chyba, czem trzeba to było okupić. Nie pamiętają chyba o tem, że bezwzględna zaborczość rosyjska, personifikowana kolejno przez Repninów, Stackelbergów, Paskiewiczów, Murawiewów, Apuchtinów i Puryszkiewiczów, szła konsekwentnie z moralnie równą, a fizycznie stokroć dotkliwszą i krwawszą od pruskiej brutalności na podbój rusyfikacyjny ziem polskich, trując programowo ducha narodu i odrywając w końcu od „prywiślańskiego kraju” nawet całe połacie

na pastwę bezwzględnej moskwiczenia. Nie uwzględniają spustoszenia, jakie szerzyć zaczęły istynno-russka kultura i literatura w duszy polskiej, mimo wszelkiego z jej strony oporu. Zamykają z uporem oczy na cały ten zabójczy chaos rosyjskiego świata, którego naturalnym wykwitem jest bolszewizm, gdyż świat ten, wyzwolony z pod bata, nic innego nie był w stanie stworzyć!

I w jednostronnej niechęci do zachodniej kultury żądają ci rodacy od nas ciągle jeszcze sympatji dla Rosji, zapewne nie tej dzisiejszej, ale tej, która w ich wyobraźni ma kiedyś powstać. Mają nam za złe, że od tego rozkładowego upiora chcemy się moralnie odgrodzić i zarzucają nam dlatego, bo przecież tylko dlatego, tendencje prusofilskie.

W tym też niesamowitym uroku, jaki wywiera ciągle jeszcze na niektórych wśród nas kolos moskiewski, tkwi poważne niebezpieczeństwo. I dlatego stawiamy jasno sprawę. Nie chodzi o bezkrytyczne odgrzewanie zarzutów wyborczych z kuźni partyjnej, ale o fundamentalne i aktualne zagadnienie: Czy Polska ma być państwem wschodniem, czy zachodniem? Jest to kwestja nastawienia całej naszej polityki zagranicznej i całego nastroju społeczeństwa na dłuższą metę.

I wahać nam się nie wolno. Cała nasza przeszłość i kultura i realnie pojęta rola mocarstwowa i instynkt samozachowawczy i konieczność skoordynowanej walki z **komunizmem** nakazują nam zdecydowaną adhezję do cywilizowanej Europy. Zmusi to Niemcy tembardziej do szukania z nami pokoju, jeśli nie wprost pod naszym, to pod naciskiem państw innych, pragnących bezpieczeństwa w Europie. Zapewni nam też niewątpliwie tem większą siłę i autorytet wobec Rosji, jakkolwiek ona będzie.

Ale przez to nie staniemy się jeszcze... germanofilami!

20 września 1927.

ZNACZENIE ZJAZDU W DZIKOWIE.

Zwolna, ale tem pewniej i trwalej dochodzi do skutku wielce doniosłe dzieło programowej i organizacyjnej konsolidacji wszystkich żywiołów zachowawczych w państwie. Dochodzi do skutku ponad wszystkie dawne kordony i różnice dzielni-

cowe. niecałkiem dotąd jeszcze zatarte w psychice naszego społeczeństwa. Dochodzi do skutku nie pod znakiem „reakcji”, ale jako wyraz wzmożonego uświadomienia najkulturalniejszych i najzasobniejszych sfer narodu o swej sile i roli w państwie i jako wyraz ich zdecydowanej woli do energicznego, twórczego współdziałania w nowoczesnej przebudowie i w mocarstwowym rozwoju ojczyzny.

Kamieniem węgielnym tej konsolidacji był zjazd kilkudziesięciu kierujących przedstawicieli grup konserwatywnych z całego państwa w Dzikowie, gdzie pod przewodnictwem hr. Zdzisława Tarnowskiego, prezesa Stronnictwa Prawicy Narodowej, położono w dwudniowych obradach podwaliny skonsolidowanej współpracy obozu konserwatywnego, opartej zarówno na samorządnej inicjatywie i programie tegoż obozu, jak i na uwzględnieniu tych wszystkich momentów, które wskazują na to, że podjęta w zeszłym roku akcja marszałka Piłsudskiego doprowadzi istotnie do gruntownej naprawy stosunków w państwie.

Uczestnicy zjazdu w Dzikowie rozjechali się niewątpliwie pod wrażeniem i z przekonaniem, że zaszło coś doniosłego i że jeżeli ciemne moce destrukcji i duch liberum veta i tym razem w Polsce nie zwyciężą, to stoimy istotnie przed daleko idącą rekonstrukcją naszego życia państwowego i społecznego — rekonstrukcją w duchu stanowczo dodatnim, dostosowanym do piekących potrzeb państwa i do wielkiej jego misji w Europie.

Już sam fakt wystąpienia na arenę publiczną zrzeszonego obozu zachowawczego, reprezentującego wielkie walory intelektualne i materialne, wyrzucić będzie musiał wpływ ogromny na dalszą ewolucję państwa, orjentowaną do niedawna jednostronnie przez żywioły demagogiczne. Obecnie zapełnić się ma wielka luka, ziejąca dotąd od chwili wskrzeszenia państwa polskiego na prawicy, zapełnić się ma żywiołem umiaru politycznego i twórczej myśli państwowej, wykutej z długoletniego doświadczenia. Na szalach polityki państwowej nastąpić ma równowaga, której dotąd brakło. A ta równowaga umożliwi dopiero tak upragnione przez cały naród dzieło Naprawy Rzeczypospolitej.

Zapewne, że potrzeba w tym celu daleko idących reform ustroju państwa. Reformy te nastąpią też niewątpliwie w od-

powiednim momencie, na gruzach doychczasowej sejmokracji, partjokracji i walki klasowej, na gruzach doktryn demagogii i wywrotu. Ale przedtem przygotować trzeba grunt przez zasadniczą reformą nastroju społeczeństwa. I to jest zadanie kapitalne.

Wszystkie dotychczasowe stronnictwa sejmokratyczne stworzone były na zasadzie, stosowanej względem państwa: do ut des. Ofiarowywano państwu to i owo, współpracę lub świadczenia materialne, ale pod warunkiem, że się z tego jakiś partyjny zysk osiągnie, że państwo odwzajemni się stronnictwom, czy reprezentowanym przez nie warstwom różnemi doraźnemi korzyściami, choćby nawet ze szkodą państwa lub innych warstw społecznych.

To się musi skończyć. Państwo nie może być kantorem, w którym obywatele wystawiają na sprzedaż swe świadczenia i o nie się targują. Muszą ofiarować je ojczyźnie, nie stawiając żadnych żądań, dlatego właśnie, że jest ich ojczyzną, dlatego, że praca i świadczenia dla państwa są obowiązkiem obywateli. To też nowe prądy polskiej myśli politycznej i nowe ugrupowania, zrodzone przez nią na prawicy i lewicy, muszą rozwijać się tylko na tej zasadzie. Ideologia stronnictw sejmokratycznych była właśnie przez ów moment żerowania na państwie i targowania się z niem nawskroś antypaństwową, mimo jaskrawego często płaszczyka patriotyzmu. Gruntowna przemiana tych tendencji antypaństwowych na państwowo-twórcze, ofiarujące ojczyźnie wszystko bez targu — oto pierwszy i fundamentalny warunek naprawy Rzeczypospolitej. I tę właśnie naczelną zasadę, tak pozornie prostą i jasną, ale tak przeciwną ideologii tych, którzy do niedawna Polską rządzili, stwierdzono przedewszystkiem na zjeździe w Dzikowie.

Ale rozmach i kierunek, jaki wezmą przyszłe reformy ustroju, zależeć winny nietylko od momentów wewnątrz-państwowych, ale i od konjunktur zewnętrznych. Konjunktury te, wskazujące państwu główne cele jego polityki zagranicznej, a przez nią i jego misji dziejowej, wpływają na ustrój państw i charakter społeczeństw w niemniejszym stopniu, jak ich stosunki wewnętrzne, a często nawet więcej. Ten aksjomat, stwierdzany zawsze i wszędzie, najbardziej lekceważony był w Polsce, która przejęła się od niepamiętnych czasów zasadą zbyt daleko idącego desinteressement w sprawach zagranicznych

i kwietystycznego zasklepiania się w ograniczonym podwórku domowych kłopotów. Nie umiano i nie chciano wyzyskiwać korzystnych okazji, ani rezultatów zwycięstw odniesionych, ani wytyczać sobie na dłuższą metę pewnych doniosłych celów politycznych na zewnątrz, któreby podtrzymywały prężność i aktywność społeczeństwa i orjentowały jego dążenia ku wielkim zadaniom polityki mocarstwowej. Ta właśnie bierność, podniesiona u nas na piedestał racji stanu, przyczyniła się w znacznej części do upadku Polski i rozbiorów, a i we wskrzeszonej Polsce spowodowała zogniskowanie całego wysiłku partii politycznych w małostkowych, egoistycznych walkach o chwilowe wewnętrzne sukcesy demagogiczne.

Przy całym niezbędnym duchu pokojowym, jaki kierować powinien akcją naszą na terenie międzynarodowym, zwalczyć jednak trzeba ten wygodny nasz kwietyzm, płodzący bezprogramowość w dążeniach narodowych i zabójczy marazm polityczny społeczeństwa. Naród musi ocknąć się i spojrzeć bacznie a przewidującym okiem dokoła. Musi spojrzeć i w przeszłość i wykuć sobie w wielkich rzutach program swej nowoczesnej misji dziejowej. Jego byt i rozwój mocarstwowy zależą będą od odpowiedniego ustosunkowania się do najważniejszych problemów, jakie stawia przed nami zarówno nasze położenie geograficzne, jak i sytuacja zewnętrzna. A postulaty tej właśnie polityki mocarstwowej, nie zaś doktryny lub hasła klasowe i partyjne, dyktować nam powinny w znacznym stopniu podstawowe wytyczne reform ustrojowych i organizacji gospodarczej, tak, aby naród nasz i państwo były w stanie sprostać w odpowiednich momentach swym zadaniom.

Taki był, w ogólnych zarysach, duch obrad zjazdu w Dzi-kowie.

26 września 1927.

PROBLEM STANU ŚREDNIEGO W POLSCE

Jednym z podstawowych błędów dawnej Rzeczypospolitej było niedocenienie znaczenia i roli w państwie t. zw. stanu średniego, obejmującego w dawnym ustroju społecznym przede wszystkim handel i rzemiosła. Podczas gdy w innych

państwach stan ten, będący główną podporą miast, rozwijał się potężnie, kładąc podwaliny przyszłego gospodarczego rozkwitu państw nowoczesnych, w Polsce — poza dorywczymi usiłowaniami niektórych tylko monarchów i mężów stanu — lekceważono naogół rozwój przemysłu rodzimego, skoncentrowanego wówczas w świecie rzemiosł, lekceważono rozwój miast i stanu mieszczańskiego wogóle, poświęcając je dla zbyt jednostronnie pojętych interesów gospodarczych warstwy szlacheckiej. Stąd powstał brak równowagi społecznej i ekonomicznej w państwie, między stanem szlacheckim a włościańskim wytworzyła się luka, dostatecznie niewypełniona silnym, pośrednim elementem twórczym, co w rezultacie przyczyniło się poważnie do osłabienia społeczeństwa polskiego i upadku niepodległości.

Tego błędu jednostronnego forytowania rozwoju pewnych warstw społecznych czy zawodowych ze szkodą innych nie wolno dzisiaj powtarzać. Nie wolno także i dlatego, że pierwszorzędne znaczenie momentów gospodarczych dla pomyślnego rozwoju państw staje się coraz bardziej oczywistem i coraz powszechniej uznawanem. Te właśnie momenty decydować zaczynają coraz wybitniej nie tylko o ustroju wewnętrznym państw i ich stosunkach socjalnych, ale również o ich staniu i losach na terenie międzynarodowym. One też wywrą niewątpliwie wpływ największy na sprawę pacyfikacji światowej, której nie będą w stanie rozstrzygnąć bezpośrednio ani oręż, ani dyplomacja.

Obecny ruch zachowawczy w Polsce zrozumiał też dobrze całą wartość i znaczenie momentu gospodarczego dla normalizacji stosunków w państwie i rozwoju mocarstwowego Polski w duchu nowoczesnej cywilizacji zachodniej. Stronnictwo Prawicy Narodowej ustaliło nawet moment ten jako jedną z głównych wytycznych swej ideologii i pracy publicznej, widząc w nim najskuteczniejszy impuls do pożądanego powszechnie przekształcenia psychiki naszego społeczeństwa w kierunku samouświadamienia poszczególnych warstw zawodowych o realnych interesach ich własnych i samego państwa i zwalczania tą drogą doktryn demagogicznych i wywrotowych, które narzucały dotąd szerokim warstwom ludowym różne żerujące na nich grupy radykalne.

W świecie gospodarczym, poza rolnictwem, oraz wielkim przemysłem i handlem, wielką rolę grają, a przynajmniej grać powinny, rzemiosła, kontynuujące najlepiej tradycje dawnych cechów średniowiecznych i reprezentujące wielce cenną wytwórczość drobnych, ale licznych kapitałów i narodowej pracy. Państwo nowoczesne nie może wprawdzie obejść się bez wielkiego kapitału i wielkiego przemysłu. Są bowiem zadania, które one tylko spełnić mogą. Ale sam wielki przemysł nie wystarcza. Życie ekonomiczne państwa, wyłącznie na nim tylko oparte, zbyt byłoby jednostronnem, zbyt może oderwanem od szerokich warstw społeczeństwa. Trzeba mu koniecznie uzupełnienia przez pewien czynnik ekonomiczny, szeroko w społeczeństwie ugruntowany — a tę ważną rolę spełnić mają rzemiosła.

Dlatego też stworzenie dla pracy i produkcji rzemieślniczej jak najkorzystniejszych warunków, ułatwienie powstania w państwie silnego stanu „średniego”, opartego na rodzimej wytwórczości szerokich warstw miejskich, jest w odrodzonej Polsce jednym z najważniejszych zadań nie tylko ekonomicznych, ale wprost narodowych i państwowych. Postulat harmonii społecznej, przebijający się dzisiaj coraz więcej w rozumnej opinii publicznej, w przeciwieństwie do zgranego już mocno hasła walki klasowej, wymaga kategorycznie podniesienia i wzmocnienia wszystkich naprawdę wartościowych i twórczych elementów społecznych i skoordynowania ich w jeden wielki front pracy państwowo-twórczej. A we froncie tym, stojącym przedewszystkiem pod hasłem odrodzenia państwa przez zdrowy obiektywizm gospodarczy, współdziałanie sfer rzemieślniczych, uświadomionych należycie o swych zadaniach, przejętych duchem swych dawnych, świetnych tradycji, duchem z natury rzeczy zachowawczym, przeciwnym wszelkim przewrotom i nieproduktywnej demagogji, wielką powinno odegrać rolę.

PATRJOTYZM A NACJONALIZM

Nacjonalizm, w jego dzisiejszem, szowinistycznym pojęciu, zrodził się z dwóch, całkiem przeciwnych tendencji: z samobreny słabszych narodów przed zaborczością wrogich i wogóle obcych im czynników, oraz z zachłannego imperjalizmu narodów silnych, usiłującego opanować i pochłonać czy to słabszych sąsiadów, czy mniejszości narodowe we własnem państwie. Ten sam nacjonalizm przyjmuje więc raz charakter obronny, to znów zaborczy, zależnie od ośrodka i warunków, w których działa.

Niema wątpliwości, że nacjonalizm zaborczy jest nie tylko niemoralny, ale i politycznie nawskroś błędny. Wykazało to aż nadto wymownie doświadczenie dziejowe, skoro słabsze narody, uciskane nieraz przez długie czasokresy ze strony przemożnych zaborców, przecież w końcu uzyskiwały wolność, a już conajmniej wymuszały na nich dla siebie daleko idącą autonomję. Ostatnie zwłaszcza dziesięciolecie przyniosło w tym względzie na całej kuli ziemskiej szereg wybitnych przykładów. Wiemy o tem sami najlepiej. Zresztą wzrastający w ostatnich dziesiątkach lat poziom kultury i samouświadczenia u najmniejszych nawet i politycznie do niedawna niemal martwych narodowości sprawia, że wszelkie próby wynaradawiania słabszych przez silniejszych stają się coraz bardziej bezcelowe. Dziś już nie może skutecznie największe nawet mocarstwo odmówić praw narodowych najędźniejszym nawet szczepom koczowniczym, a gdyby to chciało uczynić, to prędzej czy później napewno w tej walce ulegnie.

Trudniejszą staje się sprawa, gdy chodzi o wydanie sądu o nacjonalizmie obronnym. Tego bowiem nie wolno odmówić żadnemu narodowo uświadomionemu społeczeństwu. Jest on równoznaczny z potryotyzmem, jest naturalnym wyrazem instynktu samozachowawczego, podporą idei narodowej w walce o byt. Potęguje siły twórcze społeczeństwa do największego natężenia, rodzi najwznioślejsze czyny na polu walki i pracy, zapładnia najwydatniej literaturę i sztukę. Ale w tej swojej szlachetnej, twórczej formie ma pewne granice, których bezkarnie nie wolno mu przekroczyć. Przekroczenie zaś następuje z chwilą, gdy walczący o swój byt naród zwycięży i z uciśnio-

nego staje się władcą innych. Wtedy jego nacjonalizm obronny staje się łatwo zaborczym, jeżeli go nie modernizuje rozumna, przewidująca polityka.

Nowoczesna więc racja stanu narodów, zajmujących wśród innych dominujące w państwach stanowisko, polegać winna na utrzymywaniu swych dążeń nacjonalistycznych w takich granicach, aby nie zatraciły charakteru rozumnego, twórczego patriotyzmu i nie wybujały w błędny, i zawsze szkodliwy nacjonalizm szowinistyczny, zaborczy.

Szowinizm jest chorobą polityczną, która uderza ludzi ślepotą i głuchotą wobec rzeczywistości. Ma zewnętrzne, powierzchowne pozory dobra, bo przybiera się w jaskrawe kolory młości ojczyzny i zasad etycznych, a mimo to szkodzi dotkliwie tym, których zaraża i całemu państwu. Bo — jak każda wybujałość — przechodzi w jednostronność i przesadę. Szowinizm aroguje sobie monopol doskonałości, patriotyzmu, moralności, odmawiając ich innym, piętnując wszystkich, którzy mu ślepo nie ulegną, zarzutem zdrady narodowej i wszelkich innych występków. Niema oszczerstwa, przed którymby się cofnął. Płodzi przez to zawiść i walkę narodowościową, religijną i społeczną, rozżarza nienawiści w łonie samego narodu, godząc tem samem najdotkliwiej w jego żywotne podstawy, których chciałby być jedynym i niezawodnym obrońcą.

Jest przytem bezpłodny, nawet wówczas, gdy chwilowo zawładnie rządami państwa. Bo jego duszą jest walka, bezwzględna, uparta walka i bezkrytyczna opozycja przeciw wszystkiemu, co jest poza nim. Tworzyć nie jest w stanie, bo wobec zadań twórczych, realnych, traci wszelką podstawę, przestaje być sobą. Stąd też programy i hasła wyznawców bojowego nacjonalizmu są z reguły najzawodniejsze dla społeczeństwa. W okresie walk i opozycji potrafią burzyć i mącić, potrafią pociągać tłumy nieoświeconych i łatwowiernych, grając zręcznie na ich lepszych lub gorszych instynktach. Gdy zwyciężą — stają bezradne i słabe wobec zadań pozytywnych i gnają nawę państwową na oślep w odmęty, w których wnet same się topią, pozostawiając po sobie bezwład, upadek ekonomiczny i anarchję.

I ta scenerja powtarza się raz w raz błędnem kołem w kalejdoskopie politycznym. Nacjonalizm bojowy, naprzemian wznosząc się i upadając, hamuje ustawicznie zdrowy, nor-

malny rozwój państw i produktywną pracę społeczeństwa. Mąci zdrowe pojęcia i utrudnia kształtowanie się racjonalnych zasad państwowo-twórczych w narodzie. Tworzy sztuczne przepaście między członami składowymi społeczeństwa, utrudniając ich konsolidację państwową. Jątrzy, ustawicznie i podburza wzajemnie narodowości i wyznania, podsycając sztucznie irredenty. Celem jego nie jest prawdziwe dobro państwa, bo nie uwzględnia nigdy realnych jego potrzeb i warunków położenia, ale narzuca mu warunki, nie licząc się z rzeczywistością. Jest nawskroś nieetyczny, bo cele jego i metody nie byłyby w stanie ostać się ani chwili wobec podstawowych postulatów etyki politycznej i harmonii społecznej. Pozornie wzniosłe jego tezy, to bańki mydlane, które pryskają przy najbliższej próbie. Szowinizm jest z pośród wszystkich prądów politycznych zawsze najbardziej skory do diametralnych zmian przekonań i sumienia i do najsprzeczniejszych kompromisów. Do niego też najtrafniej odnosi się przysłowie, że modli się przed figurą...

On też przyczynił się bodaj że najwięcej do hipetrofji parlamentaryzmu wszędzie, a przedewszystkiem w Polsce. Kupiąc bowiem w sobie stosunkowo inteligentniejsze żywioły, mógł i powinien był wywrzeć wpływ dodatni, mitygujący, na rozbijałe fale radykalizmu szerokich mas, rwących się w zapaleńczym porywie do steru. Roli tej nie spełnił i spełnić nie mógł, bo jest sam w sobie uosobieniem ślepego radykalizmu politycznego, w założeniach i taktyce, dostosowującego się z węzową giętkością do najradykalniejszych wymogów popularności.

Ale zdaje się, że godzina jego już wybiła. Dużo może jeszcze bruzdzić i szkodzić, grożąc tu wojną zaborczą, tam walką wewnętrzną i przewrotem. Ale dawnego znaczenia już nie odzyska. Uświadomienie ogólne o realnych interesach narodowych i państwowych, o współzależności społecznej i gospodarczej, o nieodzownej potrzebie harmonii wewnątrzno-państwowej i porozumienia międzynarodowego, rośnie z dnia na dzień, koordynując się w zdrowe pojęcia twórczego patriotyzmu i usuwając coraz bardziej z areny życia publicznego rozbijałe przeżytki minionej epoki.

PRAWDZIWY KONSERWATYZM.

Jest w toku konsolidacja żywiołów zachowawczych, której ostatecznym celem organizacyjnym jest wytworzenie wielkiego, jednolitego obozu, zdolnego zaważyć naprawdę na kształtowaniu się przyszłego rozwoju i losów państwa. Proces ten jest nakazem położenia, wypływa z naturalnej ewolucji stosunków, nie z jakiegokolwiek indywidualnej, egoistycznej koncepcji. To też, poza nielicznymi przedstawicielami żerującej, haselkowej demagogii i oddanej jej prasy i poza czynnikami wywrotu, nie masz w Polsce chyba nikogo, kto by naprawdę, przynajmniej w duchu, nie uznawał racjonalności, a nawet konieczności zrównoważenia naszego ustroju społeczno-politycznego silnem, twórczem skrzydłem szczerze konserwatywnem.

Szczerze konserwatywnem! Wyrażenie to należy podkreślić i powtórzyć. Bo „konserwatyzm” jest teraz w modzie, rośnie, jak na drożdżach i zbyt wielu jego świeżych adeptów oddaje się złudzeniu, że są konserwatystami z krwi i kości dlatego, że pod względem taktycznym wyrzekli się endecji i ustosunkowali życzliwie do rządów marszałka Piłsudskiego. Może to zbyt wielki z naszej strony pesymizm, godny potępienia, ale niepodobna nam oprzeć się wrażeniu, że ta sprawa oportunistycznego „ustosunkowania się” odgrywa kapitalną, aż nazbyt może kapitalną rolę w wielu wypadkach.

Czy tak naprędce i na oportunizmie skonstruowany konserwatyzm może spełnić to wielkie zadanie, jakie stawia przed nim epoka bezsprzecznie przełomowa w rozwoju wskrzeszonej ojczyzny? Stanowczo nie! Skuteczna współpraca w dziele naprawy Rzeczypospolitej, w dziele racjonalnego przeobrażenia i wzmocnienia jej organizacji psychicznej i ustrojowej, na które napróżno porywały się całe pokolenia, nie może być owocem chwilowego oportunizmu, ale myśli i woli żelaznej, świadomej siebie i celu, niezależnej od chwilowych konstelacji i wypadków.

Konserwatyzm nie może być piłką, którą rozgrywa mecze każdy, kto chce, na przestrzeni między Obozem Wielkiej Polski a Belwederem, bacząc pilnie, aby zanadto nie zbliżyła się do jednej lub drugiej bramki, ale zarazem zostawiła je sobie obie

otwarte, bo któż wie, co przyszłość przyniesie?!... Nie, taki sport nie jest konserwatyzmem i tylko go dyskredytuje. Jeśli taką ma być polityka zachowawcza, to lepiej, żeby jej wcale nie było!

Kardynalną podstawą i racją bytu konserwatyzmu, która mu w społeczeństwie całą wartość i powagę nadaje, jest własny, realny a zdecydowany program, dyktowany ideą państwowo twórczą, niezależną od przygodnych koniunktur. Rząd i społeczeństwo muszą mieć to przekonanie, że w pozytywnej pracy nad rozbudową czy naprawą państwa mogą w każdym położeniu liczyć bezwzględnie na współdziałanie konserwatyzmu, współdziałanie szczere, niezawodne, ale i niedające się wprzódz bezkrytycznie do żadnego rydwanu i przynoszące ze sobą odpowiednie walory własnej, samodzielnej myśli, inicjatywy i pracy. Konserwatyzm, pozbawiony tych podstaw, tego charakteru samodzielnego i silnych, niewzruszonych przekonań, przestaje być sobą i traci wszelką wartość nawet w oczach tych, którzy szczerze pragnęliby go użyć w pracy państwowej i doniosłą powierzyć mu rolę. Nie wyobrażam sobie prawdziwego konserwatysty, wahającego się, czy ma nim być, czy nie być, śledzącego kierunek wiatru i urabiającego sobie „przekonania” i „orientacje” po długich a mozolnych studjach krajowej szachownicy politycznej!

Rzecz inna, że realizm polityczny, stanowiący jedną z podstaw konserwatywnej myśli i taktyki, zabrania bujać we fikcjach i porywach, ale nakazuje pracować dla państwa zawsze tam, gdzie istnieją warunki tej pracy i jakieś realne perspektywy rezultatów. Dlatego też konserwatyzm musi się zawsze liczyć z faktycznym stanem rzeczy w państwie, z tem, co jest, a nie z tem, co w czyjejsz fanazji być powinno i dlatego musi dostosowywać swą akcję do realnych czynników twórczych, rządzących państwem, bo nie może po doktrynersku pracować w próżni. Musi czynniki te wspomagać, a nie zwalczać, jeżeli ma wogóle czegoś dokonać, o ile oczywiście ma przeświadczenie, że mają one chęć i możność produktywnej akcji dla państwa. Dlatego też staje chętnie po stronie każdego rządu, w którym dostrzega myśl twórczą i który z jego współpracy chce korzystać, bez względu na różnice przekonań, jakie między nimi zachodzić mogą, bo zasadnicza opozycja jest bez-

plodną, a beczynność nie leży w duchu prawdziwego konserwatysty.

I stąd też nie jest żadnym objawem serwilizmu ani oportunizmu, jeżeli obóz zachowawczy zgłasza stanowczą gotowość do pozytywnej pracy państwowej, której hasło podjął marszałek Piłsudski, reprezentujący obecnie i realny autorytet i chęć i niewątpliwie także możliwość przeprowadzenia użytecznych reform i unormowania stosunków w państwie, czego zresztą dał już w niejednym kierunku dowody. Ale współpraca ta może mieć wartość dla państwa i widoki sukcesu tylko wówczas, jeżeli konserwatyzm stać będzie silnie i niezależnie na własnej platformie i nie dostarczy krytyce nawet pozorów wahania czy oportunistu w programie i w taktyce.

6 października 1927.

UPIORY.

Ci, którzy po dziś dzień ciągle jeszcze marzą o możliwości nawiązania przyjacielskich stosunków z „jutrzejszą Rosją”, którzy, mimo wszelkich cięgow półtorawiekowego „współżycia” z tem państwem i narodem, wierzą we wzajemność dla swych uczuć z tamtej strony, niech przeczytają ostatnie wystąpienie b. rosyjskiego ministra spraw zagranicznych Sazonowa we wrześniowym numerze „Bibliothèque Universelle et Revue de Genève”.

Zdaniem jego Polska popełniła w traktacie ryskim większą zbrodnię na Rosji, niż ongiś mocarstwa rozbiorowe na Polsce. Porwana imperjalizmem i manją wielkości, oderwała od Rosji Białoruś, część Małorosji (oczywiście z odwiecznie rosyjskim Lwowem!) i Wilno. Ta zaborczość musi się dla niej skończyć katastrofą. Sprawiedliwość wymierzą trzy „pokrzywdzone” przez Polskę państwa, Niemcy, przyszła potężna Rosja i... Litwa. A więc nowy rozbiór Polski już gotowy!

A głosi to nie sztandarowy wróg polskiego imienia, nie zaciekle nacjonalista i czarnoseciniec, ale ten sam p. Sazonow, który był w czasie wojny gorącym poplecznikiem autonomji

polskiej i który teraz jeszcze zapewnia o swej życzliwości dla Polaków. A jednak nienawiść zieje z całej jego enuncjacji, nienawiść, posuwająca się do twierdzeń absurdalnych, godnych najskrajniejszego nacjonalizmu i tem dziwniejszych, że wychodzą od umiarkowanego męża stanu, stosunkowo dość liberalnego polityka i dyplomaty, którego usunęły ze stanowiska żywioły najciemniejszej reakcji w przededniu wybuchu rewolucji.

Polska dzisiejsza — twierdzi dalej — jest tworem sztucznym. Tylko „pogodzenie” narodu polskiego z rosyjskim, najlepiej pod naciskiem Francji, może jej być zapewnić.

P. Sazonow nie mówi wyraźnie, jakim kosztem ma się odbyć to „pogodzenie”. Uzupełniają to jednak aż nadto dobitnie inne głosy emigracji rosyjskiej i to wcale nie sporadyczne. Obiecują one Polsce „opiekę” pod puklerzem potężnej, zjednoczonej Rosji, po odzyskaniu przez nią odwiecznie rosyjskiej Małopolski wschodniej i środkowej po Dunajec oraz Chełmszczyzny, nadto „Rosji Zakarpackiej” i Litwy, której trzeba zapewnić jakąś autonomję w granicach przyszłego demokratycznego rosyjskiego państwa. „Trzeba wyzwolić lud rosyjski z pod polskiego ucisku w Chełmszczyźnie i Małopolsce” — oto refren, powtarzający dosłownie echa przedwojennej propagandy szowinistycznej.

A więc nic się nie zmieniło! Czy rok 1795, czy 1914, czy 1927 — żadnej niemasz różnicy. A raczej jest różnica, ale na gorsze. Bo dawniej mieliśmy przeciw sobie tylko carat i czynownictwo, dzisiaj cały naród rosyjski, a conajmniej jego inteligencję. Jeżeli już dziś dwumiljonowa inteligencja rosyjska na wygnaniu, w przygnębieniu, częstokroć w nędzy, wobec bezprzykładnej katastrofy swej ojczyzny i beznadziejnego narażenie położenia, takie objawia uczucia i takie snuje plany zaborcze, to cóż będzie, gdy dorwie się kiedyś do władzy?!

Lekceważy to wielu wśród nas i oddaje się marzeniom. Bo to w Rosji bolszewizm, a emigracja rozprószona gdzieś po Londynach i Paryżach. Ale przyjdzie chwila, gdy śmiać się przestaną. Warto przeczytać np. niedawno wydaną książkę W. Szulgina, b. posła do Dumy, który wraz z Guczkowem brał udział po wybuchu rewolucji w delegacji do cara, wzywającej go do podpisania aktu abdykacyjnego. Jego „Resurrection de la Russie”, napisana na podstawie kilkomiesięczne-

go tajnego pobytu w Rosji w zeszłym roku, głosi z tryumfem, że pod cienką powłoką bolszewizmu, znacznie już ideowo osłabionego, wzrasta potężnie nowa Rosja demokratyczno-monarchiczna, ze wszystkimi dawnymi aspiracjami, możliwie jeszcze spotęgowanymi, gotująca się do zajęcia jednej z dominujących ról na świecie.

I dlatego, póki czas, dobrze się trzeba zastanowić nad tą sprawą, ważniejszą niewątpliwie od wszystkich, jakie pochłaniają dzisiaj rozpolitykowaną energję naszego krótkowzrocznego, podwórkowego partyjnictwa. Trzeba się wyzbyć gołębiej wiary, w urojoną przez wielu życzliwość „bratniego” narodu i dobrze, powtarzam, zastanowić się nad jutrem.

Lekceważymy tę sprawę tak, jak niedawno lekceważyliśmy wojnę pograniczną z bolszewikami, dopóki czerwona armia nie stanęła nagle pod murami Warszawy. Ale tym razem najazd odrodzonej demokratycznej Rosji będzie daleko groźniejszy i wspomagany najniewątpliwiej sympatjami wielu naszych dzisiejszych sprzymierzeńców zachodnich, którym sojusz polityczny i gospodarczy z kolosem rosyjskim daleko więcej będzie się uśmiechał, niż braterstwo broni ze słabszą stosunkowo Polską.

Rosja, jakiegokolwiek przechodziła koleje od chwili wyzwolenia z pod jarzma tatarskiego, żyła ustawicznym zaborem. Niczem nienasycony duch zaboru, ślepy, bezwzględny, nawet wobec własnych interesów wewnętrznych, stanowi alfę i omegę egzystencji państwowości rosyjskiej. Rosja terytorjalnie zadowolona, nie pożądata nowych zaborów, a oddana wewnętrznemu tylko wzmacnianiu i podniesieniu, jest zjawiskiem prawie nie do pomyślenia. Prawdopodobnie rozpadłaby się, przestałaby być Rosją. Wszakże i teoria bolszewicka głosi zdobycie całego świata przez komunizm i wcielenie wszystkich państw do federacji sowieckiej (czytaj: rosyjskiej). Różne więc formy i drogi, ale cel zawsze jeden i ten sam: zabór i zabór bez końca.

Nad tym kardynalnym problemem, decydującym o naszej przyszłości, powinniśmy nieco więcej pomyśleć, niż o drobnych domowych swarach, więcej nawet, niż o efemerycznych konjunkturach wyborczych. Tembardziej, że nie mamy już w kwestji stosunków z Rosją wymówki niedoświadczenia.

NIE ZA WSZELKĄ CENĘ!

Dla tych wszystkich, którzy orientują się dostatecznie w naszych stosunkach politycznych, było do przewidzenia, że ruch konsolidacyjny żywiołów zachowawczych wywoła odpowiednią reakcję ze strony ugrupowań i czynników, które dzierżyły dotąd berło prawicy sejmowej. Wystarczyło też pewnego jaśniejszego podkreślenia granicy między tem, co jest naprawdę konserwatywnem, a tem, co niem nie jest, aby spowodować z pewnych stron burzę, brzemieną argumentami i piorunami, sfotografowanymi na argumentach i piorunach utartej, skrajnej metodyki szowinistycznej. A więc konserwatyści sami rozbijają konsolidację żywiołów „zachowawczych”, a więc żydzi w Dzikowie (nawet ortodoksi!), a więc zaprzędanie się Piłsudczykom, nawet Brylowi, ba, nawet starej Austrii! Brak tylko jeszcze zarzutu masonerii do kompletnego odświeżenia zwiędłego wianka stereotypowych insynuacji bojowego szowinizmu, wymierzanych stale w każdy objaw myśli konserwatywnej.

Prasa szowinistyczna, aż drży z uciechy. Bo sezon ogórkowy, wywołany sparaliżowaniem sejmokracji, zbyt długo już dla niej się przeciągał. Stała się nudną. Nareszcie Dzików dał jej żer, więc — sytuacja uratowana! Można nareszcie pisać i zmyślać, według znanego przysłowia: Calomniez, calomniez, il en restera toujours quelque chose!

Ale jedno jest pewne i niewzruszone. Konsolidacja konserwatyzmu nie może być jakimś paktem chwilowym, wyrazem jakiegoś impulsu dobrego humoru czy dorywczej, korzystnej konstelacji. To sprawa zbyt poważna i głęboka, aby mogła zadowolnić szczerych konserwatystów we formie jakiegoś powierzchownego, zewnętrznego aktu, osiągniętego za wszelką cenę. Nie! Takiej konsolidacji żaden prawdziwy konserwatysta nie pragnie i pragnąć nie może. Świstek papieru, zawierający podpisy, któreby samem swem brzmieniem rzuciły hasło rozsądzenia osiągniętej chwilowo konsolidacji przy pierwszej lepszej sposobności, nie miałby w naszych oczach żadnej wartości. I dlatego ci, którzy sądzą, że forsownem tuszowaniem podstawowych różnic nie tylko już w programie, ale wprost w mentalności politycznej oraz ofiarami z zasadniczych przeko-

nań i metody działania zbuduje się gmach konsolidacji, ulegają szlachetnemu, ale niemniej ubolewania godnemu złudzeniu, które pryśnie przy pierwszej próbie.

My złudzeń nie mamy i dlatego stawiamy rzecz jasno. Jeżeli wszyscy zachowawcy twierdzą jednoznacznie, że konsolidacja jest niezbędna, że jest nie tylko dla nich, ale przede wszystkim dla państwa koniecznością dziejową, to jest ona temsamem już tylko kwestją prostej formalności. Nic, ale to absolutnie nic nie stoi na przeszkodzie ich wolnej a nieprzymuszonej woli. Nie potrzeba żadnych ofiar, ani zaparcia się, ani kompromisów. Ale niepotrzeba także i współdziałania czynników czy osobistości, które z konserwatyzmem nie mają nic wspólnego. Faktem jest, że między konserwatystami jedno panuje przeświadczenie, jedna chęć i wola. Stronnictwo Prawicy Narodowej, Organizacja Zachowawczej Pracy Państwowej, Klub Zachowawczy w Poznaniu, Wołyńska Organizacja Zachowawcza, oraz poważna ilość członków Stronnictwa Chrześcijańsko-Narodowego zajęły w tym względzie zgodne i całkiem niedwuznaczne stanowisko w ostatnim czasie. Istnieją tylko drobne, raczej akcydentalne przeszkody, tem ciekawsze, że o charakterze wcale nie zachowawczym. Są pewne jednostki, bardzo zresztą poważne i w swym zakresie działania niewątpliwie zasłużone, które jednak konserwatystami nigdy nie były i tylko dziwną koleją losów naszej sejmokracji znalazły się nagle na skrzydle zachowawczem. Nic więc dziwnego, że jednostki te pojmują dzieło konsolidacji zachowawczej w swoisty sposób, usiłując uzależnić ją od nawiązania kontaktu z sejmową demokratyczną prawicą, co już organicznie nie jest możliwem. Równałoby się to bowiem kompletnemu pomieszaniu pojęć w szerokiej opinii i opanowaniu obozu konserwatywnego przez ideologię demokratyczno - szowinistyczną, która popchnęłaby konserwatyzm na całkiem błędne tory.

Tego konserwatystom zrobić nie wolno. Takie dzieło nosiłoby od chwili swych narodzin zaród śmiertelnej choroby. I dlatego konsolidacja nie może się odbyć z kimbażdż, ani za wszelką cenę.

GOSPODARSTWO I POLITYKA.

Wydana w ostatnim czasie broszura profesora Adama Krzyżanowskiego p. t. „Rządy Marszałka Piłsudskiego” jest ciekawą analizą tła przewrotu majowego, a równocześnie syntezą jego rezultatów. Ciekawą przedewszystkiem dlatego, że oświetlając wypadki i sytuacje z pewnych specjalnych punktów widzenia, budzi i precyzuje w czytelniku cały szereg pojęć, które — zda się — istniały już w nim podświadomie, ale dopiero przy czytaniu wywodów prof. Krzyżanowskiego nabierają realnych i przekonujących kształtów.

Tezy, wysunięte w tej książce, są par excellence realistyczne, w przeciwieństwie do imponderabiljów, jakimi przyzywczajono się ważyć przewrót majowy i poprzedzające go wypadki polityczne. Podstawą książki jest twierdzenie, że wadliwa od początku gospodarka skarbowa spowodowała zniżkę złotego, co w konsekwencji doprowadziło do przewrotu politycznego. Wszystkie więc konjunktury i perypetje poprzedniego reżimu tłumaczy nieumiejętną i demagogiczną gospodarką rządu i sejmu. Stałość waluty — twierdzi autor — stabilizuje także ustrój polityczny państwa, a silnym jej wahaniom odpowiadają zwykle gwałtowne przewroty. Dlatego praworządność, której się tak ciągle domagamy, jest naprawdę możliwą i może przedstawiać siłę tylko w czasach i krajach o stałej walucie. Wadliwa gospodarka finansowa i w rezultacie chwiejna waluta wywołują w czynnikach rządzących i w całym społeczeństwie skutki ekonomiczne i moralne, które muszą rodzić korupcję, anarchję i przewroty.

Niepodobna odmówić słuszności tym tezom. Chociaż bowiem, jak trafnie stwierdza autor, prawdziwy i szczerzy radykalizm jest właściwie obcy naszemu na ogół dość konserwatywnemu społeczeństwu, to jednak nikt nie może zaprzeczyć, że głównym, bezpośrednio najdotkliwszym impulsem naszych niedomagań państwowych i społecznych była z gruntu fałszywa, demagogiczna, dyletancka gospodarka finansowa, rozpoczęta bezkrytycznem podwyższaniem płac przez socjalistyczny rząd Moraczewskiego, a zakończona smutnie przez endeckie rządy Ku-charskich i Grabskich, które zniszczyły najpierw do reszty walutę i kapitał, potem całe gospodarstwo krajowe. Współdziałał

w tem oczywiście i sejm, wyzbywając się często lekkomyślnie a wygodnie swych funkcij ustawodawczych i kontrolnych na rzecz rządu, a ingerując demagogicznie w szczegóły administracji i wznowiając przez to korupcję i etatyzm, zwłaszcza na polu gospodarczem.

A przecież nie było tak źle z początku. Jeżeli dzisiaj przychodzi nam z takim trudem zdobycie stosunkowo niewielkich pożyczek zewnętrznych, to nie trzeba zapominać, że w pierwszym roku niepodległości sybskrybowało społeczeństwo pożyczek wewnętrznych na olbrzymią sumę 137 milionów dolarów, czem, przy dość stałej wówczas jeszcze walucie, można było stworzyć silne podwaliny skarbu państwa i gospodarstwa krajowego. Ale kolejne rządy sejmokratyczne dawały się — w braku wszelkiego programu gospodarczego — unosić falom wypadków, usiłując się do nich dopiero *ex post* dostosować, oczywiście napróżno. Zmarnowano zaraz z początku wielkie walory materialne i zdrowy rozpęd państwowo - twórczy społeczeństwa. I skutki tego grzechu pierworodnego — to kwintesencja całej naszej historii i klęsk i niedomagań od chwili wskrzeszenia niepodległości.

Zato obdarzono nas etatyzmem i to właśnie na polu, na którym przedewszystkiem powinien być wykluczony. Młodociana, niedoświadczona demokracja — a raczej demagogja — polska, reprezentowana w sejmie, chciała pogodzić liberalizm polityczny, dążący do wyzwolenia obywatela z więzów etatyzmu politycznego, z etatyzmem gospodarczym, zrodzonym u nas pod wpływem teorii radykalnych i socjalistycznych, które opanowały w znacznym stopniu nasze ciała ustawodawcze. Nastąpiło w ten sposób zwichnięcie równowagi, liberalizm polityczny przerodził się w sejmowładztwo i anarchję, a na gospodarstwie krajowym zaciążyła nieudolna ręka etatyzmu i biurokratyzmu, paraliżująca normalny, zdrowy rozwój państwa. Zadaniem rządu — twierdzi autor — powinno być tylko tworzenie pomyślnych warunków rozwoju ekonomicznego z wykluczeniem bezpośredniej ingerencji w sprawach gospodarczych. Zadaniem sejmu powinno być ustawodawstwo, z wykluczeniem bezpośredniego mieszania się, poza ustawową kontrolą, do szczegółów administracji państwowej.

Jakąkolwiek krytykę możnaby przyłożyć do wywodów prof. Krzyżanowskiego w szczegółach, w każdym razie musi czytelnik potwierdzić, że obraz, skreślony przez autora, jest praw-

dziwy. Ale książka ta jest także stwierdzeniem, może mimowolnem, pewnej podstawowej tezy, którą wysunęliśmy już niejednokrotnie na łamach „Dnia Polskiego”, że mianowicie moment gospodarczy jest w nowoczesnym rozwoju państw główną sprężyną życia politycznego i społecznego. Zasadę tę stwierdziła oficjalną, umotywowaną uchwałą Rada Naczelna Stronnictwa Prawicy Narodowej w lipcu r. b., wskazując zarazem na ideę obiektywizmu gospodarczego, jako najracjonalniejszą drogę, na której nastąpić może odrodzenie państwa i normalizacja stosunków. Analiza warunków i potrzeb ekonomicznych państwa i wyciąganie z niej praktycznych wskazań i konsekwencji politycznych wprowadza w system myślenia i działania moment trzeźwości i zdrowego realizmu życiowego, których brak zupełnie rządowi i społeczeństwu, kierującym się abstrakcyjnymi doktrynami demagogicznymi, stworzonymi dla pozyskania ulicy.

16 października 1927.

W SPRAWIE PROGRAMU STRONNICTWA PRAWICY NARODOWEJ.

We czwartek, dnia 13-go b. m. odbyło się zebranie informacyjno - dyskusyjne Warszawskiego Oddziału Stronnictwa Prawicy Narodowej. Tematem obrad były wytyczne zagadnienia programowe w związku z sytuacją oraz z zadaniem, jakie Prawica Narodowa ma do spełnienia nie tylko w najbliższym przełomowym okresie, ale w pewnym stopniu i na dalszą przyszłość.

Przewodniczący, min. Targowski, zagał zebranie obszernym sprawozdaniem o sytuacji politycznej oraz o działalności Stronnictwa w ostatnim okresie, podnosząc z jednej strony doniosłe znaczenie programowych uchwał Rady Naczelnej, powziętych we Lwowie dnia 11-go lipca r. b., z drugiej intensywnie współdziałanie Stronnictwa w sprawie konsolidacji wszystkich ugrupowań zachowawczych w jeden wielki obóz, zdolny poważnie zaważyć na kształtowaniu się przyszłych losów państwa, a zwłaszcza reform ustrojowych, których pragnie całe państwo myślące społeczeństwo.

Następnie dr. Jan Bobrzyński wygłosił dłuższe przemówienie o idei przewodniej Stronnictwa Prawicy Narodowej, w jej teoretycznym oraz praktycznym ujęciu, biorąc za podstawę wyżej wspomniane uchwały Rady Naczelnej. Treść tego przemówienia ująć można w następujących тезach.

Wskrzeszenie państwa polskiego nakazało Stronnictwu Prawicy Narodowej, poza jego ogólnymi, niewzruszonymi zasadami programu zachowawczego, dostosować swą naczelną ideę przewodnią, będącą głównym impulsem i dyrektywą dla dążeń i taktyki Stronnictwa, do aktualnych warunków i potrzeb niepodległego państwa oraz postulatów jego mocarstwowego rozwoju. Taka myśl przewodnia nasuwa się dzisiaj sama przez się z ewolucji wypadków.

Zgrał się bowiem sam w sobie w ciągu ubiegłych lat osmiu nonsens demagogicznej polityki partyjnej, opartej na założeniach i hasłach doktrynerskich, abstrakcyjnych, w gruncie rzeczy mniej lub więcej antypaństwowych, antyspołecznych i antygospodarczych — który pociągał kraj i naród coraz bardziej w odmęt socjalizującego etatyzmu, nędzy i anarchji. Ratunku nie mogą przynieść nowe hasła czysto polityczne, choćby najlepsze, bo na gruncie aż nazbyt przeoranyh hasłami, oderwanymi od realnego życia, pomnożyłyby tylko doktrynerskie partyjnictwo, nie będąc w stanie spowodować gruntownej reformy stosunków. Odrodzenie wyjść może tylko z nawrotu do fundamentalnych założeń ekonomicznych, które w danych warunkach są jedynie w stanie ściągnąć demagogicznie rozwichrzoną myśl polityczną społeczeństwa na teren trzeźwy, realny.

Moment ekonomiczny stał się w najnowszym okresie dziejowym istotną, najgłębszą sprężyną zarówno kształtowania się wewnętrznych stosunków państw, jak i polityki międzynarodowej oraz wszelakich prądów socjalnych. Moment ten normuje dzisiaj coraz wyraźniej pociągnięcia polityki światowej w wielkich liniach. On też, krzewiąc uświadomienie o gospodarczej współzależności państw, stanie się najskuteczniejszym promotorem stopniowej pacyfikacji światowej. Do tego naturalnego, powszechnego i zdrowego prądu dostosować się musi i Polska, jeżeli nie ma być tworem, zdanyh na łaskę nieobliczalnych, haselkowych fluktów i porywów, a przez to nieskoordynowanyh z ogólnym pochodem cywilizacji zachodniej i jeżeli ma otrząsnąć się z absurdów ustrojowych, narzuconych jej kilkoletnimi rządami radykalizmu.

Uwzględnienie tego postulatu znaleźć musi wyraz w ideologii „objektywizmu gospodarczego”. Punktem wyjścia jest tu pytanie, które postawić sobie powinien każdy obywatel, wyzwalając się z narkozy hasel demagogicznych: Jaki jest mój prawdziwy, dobrze zrozumiany interes własny? Analiza tego zagadnienia doprowadzi go sama do trzeźwych, zdrowych poglądów, uodporni go przeciw zakusom partyjnej agitacji, a w dalszej konsekwencji doprowadzi także wnet do przeświadczenia, że ten interes indywidualny jest w istocie identyczny z interesem państwa jako całości. Wyłoni się z tego również, drogą logicznego rozumowania, oczywistość harmonii interesów wszystkich warstw społeczeństwa, odsłaniając cały nonsens i niebezpieczeństwo hasła walki klasowej. Zrodzi się z tego też pragnienie wyeliminowania pośrednictwa „warstwy politykującej” w ustawodawstwie i rządach państwa, która bezkarnie dotąd żerowała (nie tylko w Polsce) na organizmie państwowym, w oderwaniu od społeczeństwa i z pominięciem jego żywotnych interesów, a natomiast bezpośredniego zaważenia na losach kraju i własnych realnym walorem i intelektem wszystkich prawdziwie twórczych sfer narodu.

Takie postawienie sprawy stworzyć może dopiero odpowiedni grunt dla wprowadzenia racjonalnych reform ustroju, przywrócić do znaczenia racjonalne pojęcia społeczne i gospodarcze i umożliwić z jednej strony skuteczną pracę nad podniesieniem dobrobytu krajowego i wszystkich warstw obywatelskich, z drugiej zaś stopniową realizację wielkich zadań wewnętrznie i zewnętrznie - politycznych, jakie Polska ma do spełnienia. Ułatwi też, momentem trzeźwych pojęć ekonomicznych, walkę z wszelkimi zakusami wywrotowymi, opartymi głównie na sofistycznym odwróceniu naturalnych praw ekonomicznych, a więc z socjalizmem, a przede wszystkim komunizmem, umożliwiając przez to Polsce spełnienie jej historycznej misji, jako przedmurza cywilizacji wobec destrukcyjnego zawsze naporu barbarzyńskiego wschodu.

Tak więc „objektywizm gospodarczy”, wychodząc z założeń ekonomicznych, nawskroś materialnych, rozciąga swój uzdrawiający wpływ, w naturalnej konsekwencji, na wszelkie dziedziny polityczne i socjalne, stwarzając korzystne tło dla kształtowania się w społeczeństwie zdrowej idei państwowo-twórczej i kierując dążenia narodu, ponad drobnostkowe swary partyjne, do wielkich zadań państwowych na dłuższą metę, których

spełnienie jest integralnym warunkiem utrwalenia państwowego bytu i prawdziwie mocarstwowego rozwoju. Przyczynia się też niewątpliwie w znacznym stopniu do utrwalenia pierwiastków wyższych, etycznych, gdyż dobry, trzeźwo myślący gospodarz-obywatel, szeregując się w imię realnych interesów państwa, w imię walki z żywiołami wywrotu, będzie zarazem i wyznawcą zdrowych zasad moralnych i dobrym, rozumnym patriotą.

Ale specjalnie dla Polski wypływa z tych założeń dalsza jeszcze dyrektywa. Realizm polityczny, na platformie gospodarczej oparty, wskazuje na to, że moment ekonomiczny będzie też i najskuteczniejszym cementem, spajającym różne narodowości, kraj nasz zamieszkujące, w coraz trwalszy blok pod sztandarem idei państwowości polskiej, przekazanej tradycją jagiellońską. Spowodować może nadto coraz większą grawitację ku Polsce także zakordonowych odłamów ludności dawnej Rzeczypospolitej i rozciągnięcie z biegiem czasu ekspansji naszej państwowości, a conajmniej naszych wpływów, po granice, zakreślone od wieków polską kulturą. Tak więc odrodzenie dawnych świetnych tradycji nabrać może z czasem, drogą korzystnych okazji, jakie niosą ze sobą wypadki dziejowe, kształt realny i stać się winno naczelną ideą przewodnią dążeń, pracy i polityki całego społeczeństwa polskiego i jego rządów.

Jasnym jest, że do takich zadań nie dorosły programy ani propagandy żadnego z naszych licznych stronnictw sejmokratycznych. Zapoczątkować je może tylko przewartościowanie psychiki społeczeństwa pod wpływem trzeźwego, prawdziwie „gospodarczego” sposobu myślenia i działania.

Praktyczną, bezpośrednią konsekwencją założeń „objektywizmu gospodarczego” winno być tworzenie wszechstronnego frontu, złożonego z tych wszystkich ugrupowań, zrzeszeń i instytucji, które zrozumiały celowość wymienionych zasad oraz konieczność zdecydowanej, skoordynowanej akcji w tym kierunku. Intensywna współpraca nad tem doniosłym dziełem, reasumującym w sobie wszystkie zdrowe dążenia starodawnego hasła „Naprawy Rzeczypospolitej”, powinna być pierwszym celem i obowiązkiem Stronnictwa Prawicy Narodowej i żywiołów zachowawczych wogóle — i to nietylko na krótką metę najbliższej akcji wyborczej, ale i na dalszą przyszłość.

Jeżeli stronnictwa konserwatywne pracowały w okresie zaborów nad wzmocnieniem i przygotowaniem narodu na chwilę politycznego wyzwolenia, to obecnie tę samą pracę wdrożyć

powinny celem wzmagania zdrowej prężności narodu i wzmocnienia jego organizacji tak, aby był w stanie odzyskać z biegiem czasu dawne, wielkomocarstwowe stanowisko.

W wyniku dyskusji na ten temat, przyjęto następującą rezolucję:

Zebranie informacyjno-dyskusyjne członków Oddziału Warszawskiego Stronnictwa Prawicy Narodowej, opierając się na uchwałach Rady Naczelnej z dnia 11-go lipca r. b., stwierdza racjonalność i doniosłość programu „objektywizmu gospodarczego” jako przewodniej idei Stronnictwa i jako najrealniejszego sposobu uzdrowienia stosunków w państwie i wprowadzenia go na drogę mocarstwowego rozwoju. W konsekwencji uważa zebranie za konieczne niezwłoczne podjęcie energicznej akcji nad tworzeniem zjednoczonego frontu gospodarczego, jako organizacyjnego wyrazu tego programu i wzywa wszystkich członków do zgodnej, wyteżonej pracy w tym kierunku.

23 października 1927.

GDZIE TWÓJ INTERES?

Miną niezadługo już dwa lata, gdy wszystkie naczelne krajowe organizacje gospodarcze — finansowe, przemysłowe, handlowe i rolnicze — wniosły na ręce ówczesnego prezydenta Rzeczypospolitej zbiorowy memoriał, wykazujący katastrofalny stan ekonomiczny państwa i domagający się wielkim głosem sanacji stosunków.

W każdym innym państwie petycja tego rodzaju, zaopatrzona w podpisy, reprezentujące całą wytwórczość materialną kraju i olbrzymie walory pracy, kapitału i stanu posiadania, znalazłaby odpowiedni posłuch i wywołała skutek żądany. Wszak nie tylko w wielkich mocarstwach, ale i w mniejszych państwach, sfery gospodarcze mają wielce decydujący wpływ na losy kraju, na sprawy jego polityki wewnętrznej i zagranicznej, nawet na kwestje wojny i pokoju. Jakiż wpływ wywrzećby musiało takie zbiorowe wystąpienie naczelných organizacji gospodarczych np. w Niemczech, Anglii lub w Ameryce! A raczej źle stawiamy pytanie, bo tam interesy sfer gospodarczych traktowane są jako

sprawy, tak z żywotnym interesem państwa związane, że niema potrzeby uciekać się aż do zbiorowych petycji.

Memoriał naszych sfer gospodarczych powędrował poprostu do kosza. Nikt się za nim nawet nie obejrzał, nikt nie śniał zapytać, co się z nim stało. Bo nikt się nie łudził co do rezultatu. Każdy czuł dobrze, że w państwie, w którym panuje bezmyślna demagogja i hasło walki klasowej, skierowanej przeciwko wszelkiemu większemu stanowi posiadania, wyższej wytwórczości i kulturze, w którym rządzą stronnictwa analfabetów i teorie proletariackiej niwelacji, poruszenie prawdziwych bolączek gospodarstwa krajowego nie może mieć innego znaczenia, jak melodramatycznej demonstracji na papierze.

Zdarzenie to należy już do przeszłości, dzieli nas od niego przewrót majowy i wdrożona z widocznym skutkiem sanacja na polu gospodarczem. Sprawy ekonomiczne są obecnie daleko obiektywniej traktowane, niż były wówczas. Utrwała się wszędzie przekonanie, że w każdym razie życie gospodarcze nie nadaje się do eksperymentów politycznych, ale podlega prawom naturalnym, którym ulec muszą prędzej czy później najradykalniejsze zapędy. Ale właśnie dlatego, że warunki zmieniły się na lepsze, że życie gospodarcze w Polsce ma za sobą tak bolesne a cenne doświadczenia przeszłości, trzeźwy umysł dziwić się musi, że nasze sfery wytwórcze tkwią jeszcze — z niewielu stosunkowo wyjątkami — w objęciach tychże samych partji demagogicznych, które tak niedawno gotowały im zgubę, poświęcając je bez skrupułu na rzecz popularności ulicznej, albo co najmniej zajmują niezdecydowane polityczne stanowisko. W logicznym rzeczy porządku każdy szuka ochrony w środowisku, które z natury swej i charakteru może mu tej ochrony istotnie udzielić. Nasz przemysł zaś i rolnictwo, zwłaszcza wielki przemysł i ziemianstwo, reprezentujące ów proskrybowany przez demagogów większy stan posiadania, powierzyły i powierzają dziś jeszcze w znacznej części obronę swych interesów partjom demokratycznym (czytaj: demagogicznym!), których same już programowe założenia przeciwne są interesom większego kapitału. Czyż nie dość katastrofalnego doświadczenia? Czyż trzeźwy ziemianin, przemysłowiec, kupiec lub wogóle właściciel większego warsztatu pracy czy majątku, może się jeszcze łudzić, że partje polityczne, niosące w swym programie niwelację społeczną i opierające swój żywot na głosach ulicy i instynktach mas najszerzych, mogą mieć na serjo interes w obro-

nie jego praw, narażać się za nie i nie zaprzedać ich z lekkim sercem przy pierwszej lepszej okazji?! Czyż może człowiek, pracujący na niwie realnych interesów gospodarczych, zmuszony i przyzwyczajony do trzeźwej kalkulacji codziennej, oddawać swój los w ręce ludzi, których egzystencja i karjera polityczna opiera się na założeniach, wprost przeciwnych jego sferze, jego interesom i dążeniom?

Właściciel każdego majątku czy warsztatu pracy jest z natury rzeczy zachowawcą, mimo najliberalniejszych i najbardziej postępowych zapatrywań osobistych, bo pragnie w każdym razie zachować dla siebie to, co posiada i jest żywiołowo przeciwny wszelkim gwałtownym zmianom, wstrząśnieniom czy eksperymentom, które hamują spokojną pracę, normalny rozwój stosunków i możliwość zarobku. Dlatego to typowym konserwatystą jest przedewszystkiem nasz chłop, o ile mu demagogiczna agitacja chwilowo w głowie nie przewróci i nie rozbudzi w nim ciemnych instynktów, których niższy poziom jego kultury nie jest w stanie odrazu opanować. Dlatego także dzisiaj, po ośmiu latach nędzy i różnorakich partyjnych eksperymentów, dokonywanych przez partjokrację na ich skórze, najszerze warstwy naszego ludu odżegnywują się coraz bardziej od hasel radykalnych — tak prawicowych, jak i lewicowych — przekonawszy się, że żadne z nich realnie im nie pomoże, ani nie da więcej chleba, a tylko przeszkadza w zdobywaniu osobistego dobrobytu. Tembardziej powinny rozumieć to wyższe warstwy twórcze i przyznać się jasno i wyraźnie do tego, czem są w istocie, co leży w ich prawdziwym interesie, t. j. do zdrowego, oświeconego konserwatyzmu. Bo konserwatyzm stoi swemi zasadami i charakterem z natury rzeczy po stronie stanu posiadania i ma żywotny interes w jego obronie, czego doktryny demokratyczne wcale mieć nie mogą. Dlatego może konserwatyzm stać szczerze na gruncie gospodarczym i bronić bez żadnych zastrzeżeń indywidualnych interesów każdego obywatela, bez różnicy stanu i zawodu, podczas, gdy wszelakie partje i doktryny demagogiczne, licytujące się o popularność i głosy, są zmuszone z natury rzeczy schlebiać najbardziej wygórowanym, nierealnym żądaniom czy fantazjom „nieposiadających” warstw proletariackich, stawając przez to — z wolą lub mimowoli — w opozycji do stanu posiadania oraz wyższej produkcji i kultury. Stąd też szukanie przez przemysł i ziemiaństwo oparcia i opieki w stronnictwach demokratycznych, chociażby wojujących

wzniosłymi frazesami, ale w samym swem założeniu antygospodarczych, wyznających bezkrytyczną zasadę nietylko równouprawienia, ale i równouzdolnienia wszystkich obywateli, bez względu na kwalifikacje, do rządzenia państwem i tem samem do rozstrzygania także i o losach gospodarstwa krajowego — jest samobójczym oportunistem, któremu brak przedewszystkiem... zdrowej kalkulacji gospodarczej!

Jeden z miarodajnych przedstawicieli naszych sfer oficjalnych, interpelowany raz, dlaczego dzieje się jeszcze to i owo wbrew interesom „stanu posiadania“, dał wielce znamiennej odpowiedzi:

— Rządy, nawet najbardziej samodzielne, muszą się do pewnego stopnia liczyć z opinią społeczeństwa. Jeżeli masy na lewo stawiają energiczne żądania, a warstwy społeczne na prawo nie bronią również energicznie swych interesów, ale poddają się płochniwie fluktom, powierzają swe losy demagogji, albo hołdują zasadzie biernej neutralności, to rządy państwa muszą się mimowoli orjentować bardziej na lewo. Jeżeli więc sferom ziemiańskim czy przemysłowym zagrażają pewne normy ustrojowe czy administracyjne, to niechże się bronią, niech się organizują politycznie i zabierają głos w sposób zdecydowany! Jeśli milszą, to widocznie akceptują pochód na lewo.

I miał rację, po trzykroć rację! Bo iluż ziemian trzyma się dzisiaj jeszcze kurczowo tych, którzy bez skrupułu sprzedali ich ziemię w Lanckoronie, iluż przemysłowców i finansistów tkwi politycznie w obozach, których ideową podstawą jest „demokratyczna niwelacja“ stanu posiadania, albo hołduje zasadzie „neutralności zapatrywań“ ze strachu przed swym własnym cieniem i w naiwnem mniemaniu, że przez to wielkich rzeczy dokonają!

Mam przekonanie, że im taka lokata kapitału bardzo lichy procent odrzuci.

29 października 1927.

KONSOLIDACJA KONSERWATYZMU.

Wczorajsza uchwała zarządu głównego Stronnictwa Chrześcijańsko-Narodowego przyłożyła ostatnią pieczęć do dzieła konsolidacji trzech głównych ugrupowań zachowawczych w państwie. Zjednoczenie frontu konserwatywnego jest faktem dokonany. Poczęło się przeszło pół roku temu w porozumieniu Stronnictwa Prawicy Narodowej z Polską Organizacją Zachowawczej Pracy Państwowej, poczem, poprzez zjazdy ogólnokonserwatywne w Poznaniu i Dzikowie, doszło do skutku oficjalnymi uchwałami zarządów wszystkich trzech stronnictw w dniach ostatnich.

Fakt wielce doniosły w dziejach polskiej myśli zachowawczej, który też nie pozostanie z pewnością bez zdecydowanego wpływu na kierunek dalszych losów państwa — ale całkiem naturalny. Każdy czuł i rozumiał, że nastąpić musi prędzej czy później, Konsolidacja organizacji zachowawczych, wyrosłych bezpośrednio lub pośrednio na warunkach, będących skutkami rozbiorów, leżała w samym wskrzeszeniu niepodległego, zjednoczonego państwa. Byłoby niezrozumiałem, gdyby dzisiaj jeszcze prawdziwi konserwatyści mieli, zależnie od miejsca zamieszkania lub przedwojennych tradycji, inaczej myśleć i działać, mając przed sobą realne państwo polskie, zagrożone zakusami czynników demagogicznych lub zgłę wywrotowych. W takim położeniu nie uprawia się taktyki „ciącia włosa na czworo” o drobiazgowe, partykularne różnice — nie w programie, bo ten jest z pewnością jednolity, ale w mentalności i formułkach. To zrozumiano i dlatego zblokowanie obozu zachowawczego jest aktem, wypływającym z naturalnej ewolucji wypadków i przez to samo — miejmy nadzieję — trwałym.

Dlatego też główny ciężar sprawy leży nie w samym fakcie konsolidacji, ale przede wszystkim w przyszłości, w zagadnieniu współdziałania stronnictw, zgrupowanych w obozie konserwatywnym. Jak prędko po dokonaniu formalnej konsolidacji nastąpi faktyczne skoordynowanie różnorodnych bądź co bądź mentalności, wchodzących obecnie w skład jednego frontu? Wszak konserwatyści, to nie masy, działające bezkrytycznie pod hasłkową batutą przywódców, ale indywidualności przeważnie wybitne, samodzielne, wykształcone, które też zaparcie się siebie w imię dyscypliny ogólnej więcej kosztować musi, niż uczestników tłumnych partii ludowych.

A przedewszystkiem, jakie walory i formy działania wniesie na arenę życia państwowego wzmocniona faktem konsolidacji myśl zachowawcza? Bo sama akcja wyborcza i parlamentarna nie wyczerpuje oczywiście zadań konserwatyzmu polskiego. Leży w niej raczej pewne niebezpieczeństwo, aby mimowolnem naśladownictwem utartej techniki wyborczej i sejmowej, wypaczonej w dodatku powszechnem głosowaniem, nie pomnożył konserwatyzm tylko partyjnego alfabetu, bez możności zdziałania czegoś, coby przyczyniło się w sposób stanowczy do naprawy stosunków. Zapewne, że już samo pojawienie się w ciałach ustawodawczych czynnika umiaru i politycznego wykształcenia, jakie konserwatyzm przedstawia, wpłynie w każdym razie ożywczo na dalsze kształtowanie się ustroju i stosunków w państwie. Ale to nie wystarczy. Konserwatyzm ma przed sobą w pierwszym rzędzie inne zadanie, które szczególnie odpowiada jego ideologii i specjalnym walorom i którego należyte spełnienie wzmocni dopiero wszelką akcję na gruncie parlamentarnym.

Są to przedewszystkiem walory intelektu, obiektywizmu i doświadczenia. Z nimi iść musi w naród i celowo, konsekwentnie szczepić trzeźwe zasady etyki, harmonji społecznej i realnej pracy państwowo-twórczej, łagodząc i usuwając skutki demagogji, którą stronnictwa radykalne przeorały i wyjałowily w ciągu lat ośmiu nasz grunt państwowy. Musi postawić na nogi wywrócone sofistyką demagogiczną zdrowe pojęcia ekonomiczne i socjalne i wskazać społeczeństwu, ponad drobnostkowe spory partyjne, wielkie cele i zadania mocarstwowej polityki państwowej i pchnąć je w tym kierunku. Inaczej każda, nawet najlepsza mowa sejmowa czy reforma będzie ziarnem, padającym na piasek lub w... bagno.

Partje polityczne, stworzone na podstawie haseł wyborczych, czy ambicji osobistych, czy walki klasowej, żyją tylko sukcesem wyborczym. Gdy on zawiedzie, partja ginie. Dlatego też stronnictwa, na tych zasadach oparte, sposobią się do wyborów jak do walki o egzystencję. Ale konserwatyzm nie jest partją, chociaż z konieczności organizacyjnych ujęty bywa w ramy stronnictwa czy obozu. To w istocie cały specjalny światopogląd, wcielający się w szkołę ujmowania i traktowania spraw publicznych według pewnej metody. Ten zaś światopogląd, jeżeli ma przyjąć się w opinji publicznej, powinien zrobić coś więcej, niż przeprowadzenie wyboru pewnej liczby posłów do sejmu. Powinien przedewszystkiem stworzyć w społeczeństwie szkołę

polityczno - społeczną, zdolną wpływać na rząd i szersze koła, zdolną żyć i działać potężnie, nawet poza wszelką akcją parlamentarną. Na takim gruncie dopiero praca w rządzie lub w ciałach ustawodawczych wydać może trwałe rezultaty. Bez tego będzie zawsze słabą efemerydą, zależną od przypadkowych koniunktur każdorazowej konstelacji rządowej lub wyborczej. Konserwatyzm angielski nie przez chwilowe koniunktury wyborcze czy kompromisy przychodzi raz po raz do steru rządów i wywiera wielki wpływ na politykę państwa, ale dlatego, że myśl zachowawcza ugruntowana jest tam szeroko w poważnej części społeczeństwa.

I dlatego, chociaż konserwatyzm polski, występując obecnie na widownię ze wzmożoną znacznie siłą, weźmie oczywiście aktywny udział w akcji parlamentarnej, to jednak nie w niej, a w każdym razie nie w niej wyłącznie, widzimy jego główne zadanie, ale w tem przede wszystkim, czego bezpośrednio w szerokich sferach społeczeństwa — w kierunku wytknięcia i utrwalenia idei państwowo - twórczej — dokona. A opinia stwierdza zgodnie, że ma teraz tak wielkie atuty w rękę, iż zadanie to bardzo mu jest ułatwione.

To też spełnienia tej misji należy od niego żądać i oczekiwać.

3 listopada 1927.

„SPIRYTYŚCI“.

Marszałek Piłsudski, obalając i kompromitując w opinii publicznej zachłanną, demagogiczną partjokrację, wezwał społeczeństwo milczącym gestem do przeprowadzenia rachunku sumienia i wyłonienia z siebie samodzielnym odruchem sił lepszych, prawdziwie państwowo - twórczych. Można się zgadzać z tem lub sprzeczać, czy metoda pozostawienia społeczeństwa w danych warunkach autonomicznemu procesowi przefermentowania jest trafną, czy nie lepiej byłoby wskazać mu odrazu prostą, jasną drogę reform i programu? Czy politycznie niewyszkolone społeczeństwo, w którym wre walka klasowa i narodowościowa, zdoła istotnie samo znaleźć właściwą drogę? Czy tajemniczość pociągnąć i zakonspirowanie programu są tem właśnie, czego zbiedzony i zdeзорjentowany

naród, łaknący silnej a zdecydowanej dyrektywy, istotnie potrzebuje? Czy tolerowanie zbyt wielu „nieprawości” i niebezpiecznych eksperymentów w czasie przejściowym nie przeciąga zanedo struny i nie podważa najlepszych zamiarów sanacyjnych?

O tem wszystkim można szeroko dyskutować. Niemniej jest prawdą, że obecna dyktatura zostawiła otwarte pole dla samorzutnej ekspansji sił twórczych różnych warstw społeczeństwa i ujawnienia ich prawdziwej tężyzny i mocy żywotnej, co poprzednio tłumione było celowo przez stronnictwa sejmowładcze. Jest to jakgdyby generalna rewja sił, na których przyszłe reformy i ustrój państwa mają się oprzeć.

Tej powierzonej im roli nie rozumieją ci wszyscy, którzy, założywszy ręce, oczekują cudów od rządu i całe swe zadanie pojmują tylko we formie „życzliwej neutralności” lub „pełnego zaufania” lub wreszcie „całkowitego oddania się”, skierowanego pod adresem czy to marszałka, czy rządu wogóle. Zaiste, bardzo łatwą i wygodną obrali sobie rolę! Niewiadomo tylko, czy dużo przyjdzie z ich „życzliwości” lub „zaufania” zarówno marszałkowi, jak rządowi i państwu?

Dowcipnie ktoś powiedział, że są to spirytyści, którzy — w braku na serjo programu i zajęcia — siadają do stolika, aby wywołać jakieś cudotwórcze moce, które za nich wszystko mają zrobić. Oczywiście za nich i dla nich, bo przecież oni są „życzliwie neutralni”, ba, nawet „całkowicie oddani”. Przy Tobie stoimy i stać chcemy, ale Ty zrób za nas wszystko i daj nam wszystko! Niech dziewięćdziesiąt dziewięć procent społeczeństwa będzie zapatrywań odmiennych, niech szerokie warstwy czekają na dyrektywy i kotłują się w fermentcie, niech naprawa państwa się przeciąga, to nic nie szkodzi — bo On przecież wszystko za nas robi, a dla nas wówczas mandaty i zaszczyty! — Narazie wystarczy, że jesteśmy z Nim „w kontakcie” i służymy Mu „życzliwą, rzeczową krytyką”.

Nie wiem, jakiego ducha zmaterializują w końcu ci panowie, ale to pewna, że ich czeka srogie rozczarowanie. W każdym razie co do mandatów i zaszczytów. Wszak już i obecnie zmieniają conajmniej dwa razy na dzień zdanie w stosunku do panującego reżimu, zależnie od tego, czy sądzą być chwilowo bliżsi lub dalsi od spełnienia swych nadziei. A są i tacy, którzy chwilowo zdania nie zmieniają, ale utworzywszy jakąś grupę czy grupkę i ogłosiwszy swe „ustosunkowanie się” do rządu,

trwają przy swoim, w nadziei, że przecież za długotrwałą, wierną służbę wyczekiwawczą coś w końcu z góry im przypadnie.

Tak to pojmują ludzie swą rolę państwowo-twórczą! I czują się w niej olbrzymami, na których barkach oprzeć się ma dzieło Naprawy Rzeczypospolitej!

Nie brak takich „spirytystów” w różnych warstwach społeczeństwa, nie brak ich nawet wśród zachowawców, chociaż po nich więcej wytrawnego sądu, niezależności i twórczej aktywności możnaby się spodziewać. A nawet, rzecz można, stają się w swych porywach i nadziejach coraz gorętsi. Zwłaszcza po dojeściu do skutku pożyczki zagranicznej temperatura seansów doszła do wrzenia. Tak, teraz nastąpi oczekiwana „materjalizacja”. Tyko dalej wyczekiwać i życzliwie się ustosunkowywać. Nur durchhalten!

Mamy wrażenie, że tu wielka zachodzi pomyłka. Usługę od-daje się sprawie nie życzliwem ustosunkowaniem się, ale czynem. A już co do konserwatyzmu, to najmniejszej nie ulega wątpliwości, że tyle wart będzie w oczach rządu i społeczeństwa, o ile będzie niezależny i samodzielnie twórczy, o ile wykaże zmysł organizacyjny i siłę żywotną, którą innych pociągnie za sobą. Konserwatyzmu oportunistycznego, nadskakującego, ciągnącego biernie za czymś rydwanem, nikt nie potrzebuje. Traci wówczas odrazu całą swą wartość i znaczenie. Zresztą jest nawet za ciężki w nadszakiwaniu. Inni go w tem stanowczo przelicytują. Szkoda więc zachodu.

Konserwatyzm jest i powinien pozostać światopoglądem realnym. Siłę swą czerpie i powinien czerpać tylko sam ze siebie. Może być tylko czynnikiem dającym, a nie biorącym. To jego rola i racja bytu w państwie. Tego też wszyscy od niego oczekują. W innej roli nie jest mu do twarzy i każdy krok, poza własnym stawianym programem, bywa niezręczny i sprowadza go na manowce. Ma dość własnych potężnych walorów intelektualnych i materialnych. Nie powinien szukać piastunki nawet w państwie monarchistycznym, a coś dopiero w republice. I dlatego nie powinien tracić czasu na wywoływanie tajemnych sił pomocniczych, ale zrobić swoje. Ale w tym celu niech się zajmie przede wszystkim samym sobą i swem zadaniem, póki czas i korzystna konjunktura, a pozostawi innym zakonspirowane rachuby i marzenia.

I jedna jeszcze skromna uwaga. Aż zabawne, ilu mamy dzisiaj zagorzałych piłsudczyków! Iluż sztandarowych ongiś endecków, piastowców i im pokrewnych wszystkoby oddało, nie wyłączając przekonań partyjnych, byle tylko mózdz znaleźć choćby największą ścieżynkę do Belwederu! Co chwila ktoś ogłasza, wałąc się pięścią w piersi: Bo to ja, panie dobrodzieju, jestem stuprocentowym piłsudczykiem!

Ża pozwoleniem. Być piłsudczykiem **dzisiaj**, gdy obecny kierunek zwyciężył, gdy owaładnął nawet moralnie znaczną już większość narodu, gdy wzmocnił podwaliny gospodarcze państwa i autorytet swój w kraju i zagranicą — to żadna sztuka. To też krzykliwe, entuzjastyczne oświadczenia świeżych adeptów zwycięskiego kierunku nikogo chyba nie zbałamucą. Bo trzeba było być zwolennikiem czynu, którego hasło dał Piłsudski, wówczas, gdy czyn ten przedstawiał sto procent hazardu, gdy trzy mocarstwa zaborcze i olbrzymia większość własnego społeczeństwa była przeciw niemu. Ale ci, którzy wówczas z samozaparciem za tym czynem stali, nie bacząc na ciężkie przeszkody, ani na to, że ich ta wiara w politykę czynu na długie lata z widowni może usunąć i naznaczyć piętnem proskrypcji — ci nie trąbią dzisiaj na tryumf i nie ofiarują się nikomu z hałaśliwym zaufaniem czy ustosunkowaniem. Bo dla nich nie istnieją kwestje personalne ani względy oportunistyczne, ale tylko realna praca dla kraju w każdych okolicznościach i warunkach. Tak było lat temu sześćdziesiąt, tak było w czasie wojny, tak jest dzisiaj i tak będzie jutro. I dlatego nie mają potrzeby na gwałt do kogokolwiek się ustosunkowywać. Każdy wie dobrze, że w realnej, czynnej współpracy dla dobra państwa, o ile im się ją umożliwi, nikogo nie zawiodą, ani nie zrażą się przygodnymi przeciwnościami. Ale wie również, że są pewne granice, których za żadną cenę nie przekroczą i chociaż stają zawsze z wiarą i ochotą po stronie śmiałych, twórczych zamierzeń, nie targując się o gwarancje sukcesu, to jednak przekonań swych nikomu na kredyt nie oddadzą.

I ci też nie mają potrzeby zajmować się spirytyzmem.

5 listopada 1927

KOŃ TROJAŃSKI.

Dokonana niedawno konsolidacja stronnictw zachowawczych wzbudziła odruchowe obawy wśród niektórych konserwatystów wobec perspektywy współpracy z pewnymi czynnikami, posądzanymi o sympatię raczej nacjonalistyczne, które zmianą losów politycznych kolejną znalazły się z nimi obecnie w jednym obozie. Żywa wyobraźnia maluje już zgóry obrazy, wyjęte żywcem z Eneidy.

A więc żywioli „endekoidalne”, nie mogąc zdobyć szturmem Troi zachowawczej, budują konsolidacyjnego konia, ukrywając w jego wnętrzu zakonspirowanych zwolenników dawnej ósemki. Komisja Porozumiewawcza międzykonserwatywna, czyniąc wyłom w murach, wtacza go do twierdzy. Ale w nocy wysuwa się zeń ktoś, kogo w ciemności oczywiście dokładnie poznać nie można, otwiera cichaczem bramę warszawską, krakowską, lwowską i wileńską i daje znaki nieprzyjacielowi, ukrytemu tymczasem w Lanckoronie, pochodnią, zapaloną poprzednio na zebraniu O. W. P. w poznańskim Bazarze. Dalszy ciąg oczywisty. Troja pali się i — przechodzi do opozycji.

No, tak źle może nie będzie! Ale w każdym razie trudno zrozumieć psychologiczne powody takiej fantazji, która popycha niektórych aż do ostrych protestów przeciw konsolidacji. Powody te kulminują bowiem w obawie, żeby przez obcowanie z ludźmi — dajmy na to — odmiennej nieco orientacji, nie zostać przez nich do tej orientacji nawróconym. Czego taka obawa dowodzi? Chyba tylko chwiejności własnych przekonań. Bo ludzi o silnej kości pacierzowej, którzy wiedzą dokładnie czego chcą i nie znają oportunistów, żaden koń trojański nie przestraszy, ani żadna namowa, choćby mistrzowską poparta dialektyką, nie sprowadzi na manowce. Rzecz inna, gdy ktoś kieruje się oportunistem i lubi żeglować z wiatrem. Ten ma istotnie powody obawiać się, aby dziewictwa swych przekonań politycznych wobec czyjejs silniejszej indywidualności lub „osobistego czaru” lub wreszcie „mistrzowskiej dialektyki” nie uronić.

Ale taki nie jest naprawdę konserwatystą. Jemu się to tylko zdaje. Bo być prawdziwym konserwatystą, to nie tak łatwo. Tu program drukowany i wkładka członkowska nie wystarczy. Konserwatyzm — to pewien stan umysłu, pewna specjalna or-

ganizacja komórek mózgowych, która w żadne reguły ani formułki dokładnie ująć się nie da, a która dyktuje—bez wahania i wątpliwości — pewien sposób ujmowania spraw i działania, obiektywny, spokojny, realny, djamentalnie przeciwny ideologii demagogicznej. Konserwatystą człowiek się rodzi, a już conajmniej przez długoletni proces doświadczenia i zmagañ duchowych wychowuje — ale nie może stać się nim na serjo od jednego razu, pod wpływem chwilowej konjunktury.

Dlatego szczerzy konserwatysta nie obawia się intryg we własnym obozie. Bo mu przecież jego przekonañ naruszyć nie mogą. A że słabsze jednostki odpadną, to tem lepiej! Wszak konserwatyzm nie stoi ilością, lecz jakością. Cieszyć się tylko należy, gdy pozyskuje sojuszników — więcej czy mniej przekonanych — nawet tam, gdzie ich niedawno nie było. Fakt, że się ktoś zgłasza do naszego obozu, nie jest sam przez się ujemnym, nie trzeba więc malować przedwcześnie strachów na ścianie. A jeśli się same ukażą, to znajdą się na nie sposoby.

Daleko gorszą próbą dla chwiejnych byłaby zasadnicza zmiana konjunktur politycznych. Wówczas to okazałoby się dopiero, kto jest prawdziwym wyznawcą konserwatyzmu. Mieliśmy już w przeszłości takie próby. Nie życzymy sobie bynajmniej ich powrotu. Ale w każdym razie dzisiaj, dopóki konserwatyzm jest w modzie, niepodobna wydawać sądu z pozorów. Entuzjastyczne bowiem oświadczenia i akcesy nie zawsze sięgają głęboko. Życzyć więc tylko należy, aby cały ten odruch społeczny, jakimikolwiek wywołany narazie impulsami, pogłębił się i utrwalił, konsolidując z biegiem czasu — poprzez wszelkie trudności i przeszkody — poważny czynnik umiaru i równowagi w państwie, wytrzymały istotnie na wszelką próbę.

Zreasumujmy: nie zewnętrznym atakiem czy dopływem innych żywiołów giną stronnictwa, ale wewnętrznym rozkładem. Żywotnej organizacji akces nieco odmiennych żywiołów nie osłabi, przeciwnie, wzmocnić ją tylko może procesem ich asymilacji. A słaba sama przez się zginie. I dlatego my żadnych obaw „konsolidacyjnych” nie mamy.

15 listopada 1927.

NA ROZSTAJNYCH DROGACH.

W chwili obecnej, bezwątpienia przełomowej, gdy nie tylko czynniki miarodajne w państwie zamierzają gruntowne reformy, ale domaga się ich cała opinja publiczna, powinien każdy otrząsnąć się z narkozy sztucznych, wyjąłowionych haseł i doktryn partyjnych i stanąć przede wszystkim na swem właściwym miejscu, dyktowaniem mu logiką dobrze zrozumianego interesu własnego i państwa. Kto tego oczywistego postulatu czasu nie zrozumie i tkwić będzie siłą bezwładności, czy uporem, na fałszywym stanowisku, ten straci.

Odnosi się to zwłaszcza do tych wszystkich, którzy reprezentują stan posiadania, a w pierwszym rzędzie do ziemian, tej warstwy najbardziej proskrybowanej przez dawne rządy demagogiczne i stworzone przez nie ustawodawstwo. Że ziemiaństwo nasze zaciągnęło się ongiś w dość znacznej ilości do szeregów narodowej demokracji, to da się jeszcze wyrozumieć, bo w braku innego środka ratunku chwyciło się brzytwy. Ale że dziś jeszcze, po odrodzeniu i konsolidacji konserwatyzmu, którego zasady odpowiadają bezsprzecznie najwięcej ideologii i interesom ziemiaństwa, znaczna jego część trzyma się jeszcze wytrwale demagogicznych współtwórców reformy rolnej i staje przez to w jaskrawem przeciwieństwie i do własnych żywotnych interesów i do twórczej akcji rządu, a po stronie jałowej, defetystycznej opozycji — tego już trudno zrozumieć. Działa tu chyba jakaś siła inercji. Ale siła ta jest w każdym razie tak jeszcze wielka, że w organizacjach ziemiańskich hamuje dotąd dotkliwie naturalny proces „konserwatywizacji” i utrzymuje je niestety ciągle jeszcze na rozstajnych drogach.

Na domiar, nurtują w tych sferach opinje, usiłujące nawiązać nici między światopoglądem narodowo-demokratycznym a zachowawczym, w powierzchownem mniemaniu, że one oba przecież „prawicowy” kierunek w społeczeństwie reprezentują, więc prędzej czy później zejść się muszą. Twierdzi się, że jedyną między nimi różnicę stanowi właściwie tylko odmienny stosunek do polityki czy osoby marszałka Piłsudskiego.

Tak nie jest — i to należy z całym naciskiem zaakcentować.

Prawda, że opozycyjne i defetystyczne stanowisko narodowych demokratów wobec twórczej polityki marszałka stanowi ważną przeszkodę, która wyklucza możliwość współdziałania

z nimi żywiołów konserwatywnych, pragnących czynnego udziału w pracy nad odrodzonym państwem. Prawda, że leży w tem karygodne niezrozumienie podstawowych interesów ojczyzny, karygodne dlatego, że uparta opozycja przeciw jednemu obecnie autorytetowi w państwie i namiętna kampania przeciw wdrożonemu z dużym już powodzeniem dziełu naprawy Rzeczypospolitej, kompromituje przez endecję całą Polskę w oczach trzeźwo myślącej zagranicy, która przez usta poważnych przedstawicieli wyraziła już niejednokrotnie w ostatnich czasach swe zdziwienie z tego powodu i oburzenie.

Ale to nie jedyna przeszkoda.

Narodowa demokracja złożyła bowiem nadto dostateczne chyba dowody, że — jako kierunek nawskroś demagogiczny — znalazła się tylko przejściowo, zbiegiem okoliczności, na prawicy w dotychczasowym sejmowładztwie, ale nie jest i nie była nigdy prawdziwą prawicą w społeczeństwie. Była i jest dosyć radykalnym stronnictwem demokratycznym, które w normalnym ustroju parlamentarnym, odpowiadającym dokładniej układowi sił społecznych, znalazłoby się niewątpliwie dość daleko na lewicy. Dlatego między nią a konserwatyzmem istnieje przede wszystkim zasadnicza przepaść poglądów społecznych.

A przepaść ta pogłębia się jeszcze przez różnicę podstawowych zapatrywań na istotę i drogi rozwoju naszego państwa.

Nacjonalizm bowiem endecki, mimo pozornych haseł „Wielkiej Polski”, usiłuje — i to nie od wczoraj — zamknąć państwowość naszą w szczupłych ramach etnograficznych, sprzeciwiając się zasadniczo ekspansji państwa na obszary, na których jego wąsko pojęta polskość jest zmuszoną wchodzić w nieuchronne kompromisy z innymi narodowościami. Chce państwa wyłącznie narodowego, bo nie rozumie „ducha dziejów Polski”, który ongiś stworzył z niej wielkie mocarstwo, a który i dzisiaj wskazuje jej właściwą misję dziejową i warunki przyszłej egzystencji. I tem właśnie jest światopogląd narodowej demokracji dla żywotnych interesów państwa najniebezpieczniejszy.

Konserwatyzm natomiast, opierając się na historycznych podstawach i na pewnym realizmie politycznym, rozumuje wprost przeciwnie. Według niego geograficzne położenie Polski narzuca jej kategorycznie tendencje wielkomocarstwowe, gdyż mała, etnograficznie jednolita Polska nie będzie w stanie oprzeć się naporowi przepotężnych sąsiadów. Te zaś tendencje byłyby nierealne bez uznania idei jagiellońskiej, która rozciąga pań-

stwowość naszą także na żywioły obcoplemienne, zapewniając im w jej obrębie dogodne warunki współżycia i rozwoju. Państwowość nasza musi przeto stworzyć sobie taki ustrój, takie warunki wewnętrzne, taką politykę zagraniczną, aby móc wywierać odpowiednią siłę atrakcyjną na mniejszości narodowe, a zwłaszcza kresowe. Bo te ostatnie przypaść muszą w ostatecznej ewolucji wypadków albo Polsce, albo Rosji. Tertium non datur. Otóż Polska o ustroju jednostronnie narodowym przy sobie na stałe ich nie utrzyma. Polska zaś, wykazująca odpowiedni liberalizm narodowościowy, sięgnąć może w danych okazjach — których bieg dziejów zawsze dostarcza — ewentualnie nawet poza dzisiejsze granice.

I w tej właśnie dżametranej różnicy pojęć o istocie i celach państwa polskiego, pociągającej za sobą odpowiednie różnice w konsekwencjach taktycznych, leży nieprzebyta otchłań między obu obozami. Konserwatyzm, przy całym swym umiarze, dalekim od wszelkiej awanturniczej polityki, nie rezygnuje jednak w zasadzie z prastarych zdobyczy polskiej kultury i idzie naprzód z głęboką wiarą w doniosłą misję historyczną naszego państwa. Uważa Polskę za „kościół, do którego wstęp powinien mieć każdy, kto uczciwie chce się w nim pomodlić”. En-decja zadowala się ideałem państewka, rządzonego przez nią monopolistycznie według prawideł skrajnego, demagogicznego nacjonalizmu. I tej przepaści w światopoglądach nie będzie w stanie przekroczyć, bo gdyby to zrobiła, przestałaby być sobą. Nie może przekroczyć jej i konserwatyzm, bo straciłby całą swą ideę państwowo-twórczą. Stąd też wszelkie kombinacje o możliwości porozumienia tych światopoglądów są i pozostaną utopją.

Nad tem dobrze zastanowić się powinni nasi ziemianie, ci, którzy tkwią jeszcze w obozie demokratycznego nacjonalizmu i ci, którzy stoją niezdecydowani na rozstajnych drogach i chwytają się, dla zyskania na czasie, haseł wyłącznie zawodowych. Niech baczą, aby w szybkim rozwoju wypadków nie znaleźli się niespodziewanie na lewicy społecznej, w towarzystwie niezbyt dogodnym dla ich ideałów i interesów.

NA PROGU NOWEJ EPOKI.

W dniu dzisiejszym wygasa kadencja sejmu, a z nią zamyka się pierwszy okres w dziejach wskrzeszonego państwa. Okres porywu radykalizmu demokratycznego w kierunku urzędzenia państwa na swą modłę według demagicznych recept ubiegłego stulecia. Stoimy u progu nowej epoki, wzbogaceni doświadczeniem dawnej i nowej historii, gotując się do przemian daleko idących, które — w myśl zgodnego chóru opinii — mają być nareszcie ziszczeniem problemu naprawy Rzeczypospolitej, mają na gruzach przestarzałego partyjnego parlamentaryzmu wznieść silną budowę prawdziwie nowoczesnego państwa. I w tem leży postęp tak olbrzymi, o jakim się najgorętszym naszym radykałom nie śniło. Bo wszystko to, co nam dotąd prawił i narzucał radykalizm sejmokratyczny — to już stare, znane i wytarte. To formułki, sięgające początków XIX wieku. To zaś, co ma przyjść, jest naprawdę nowe, nieznanne, postępowe w całym tego słowa znaczeniu. Oby było i twórcze! Oby, prócz ram, miało za sobą moc działania i zdolność samoistnego rozwoju na dalszą metę! Nie mamy dotąd powodu wątpić, że tak będzie.

Przeobraża się stopniowo świat cały, musi przeobrazić się i Polska. A przeobrażenie to przybiera — nietylko u nas — cechy naogół zachowawcze, mimo wszelkich pozorów sztucznej jeszcze gdzieś tam, demagogicznej scenerji. Tak być musi. Bo radykalizm ma swe miejsce tam, gdzie chodzi o gwałtowne burzenie porządku rzeczy. Konserwatyzm tego nie dokona. Jest na to zbyt praworządny. Ale gdzie chodzi o budowę, gdzie zwłaszcza chodzi o nią na serjo, tam kończy się rola porywczego radykalizmu. Bo tworzyć, naprawdę tworzyć, może tylko duch zachowawczy, według maksymy, że *conservatio est continua creatio*.

I tem właśnie, a nie czem innem, tłumaczy się obecny rozwój ideologii konserwatywnej w Polsce, który ogarnął w tak szybkim tempie szerokie sfery naszego społeczeństwa i wybił się na czoło opinii politycznej w państwie, wprawiając w niemile zdumienie demagogów wszelkiego rodzaju. Nie przewrót majowy sam w sobie i zgnicenie sejmowładztwa dały główny impuls do odrodzenia myśli i organizacji zachowawczej, ale fakt

postawienia na porządku dziennym na serjo programu naprawy stosunków w państwie i pchnięcia go na tory mocarstwowej polityki. Bo do takiego konstruktywnego zadania radykalizm i demagogia oczywiście nie dorosły.

Idea konserwatywna dzierży więc teraz — z głośnem lub cichem uznaniem ogółu — niemal ster opiji publicznej i wywiera siłę atrakcyjną na szerokie sfery społeczeństwa. Bo mylnem jest mniemanie, jakoby zachowawczość rozporządzała tylko stosunkowo nieliczną garstką głosów elity intelektu czy stanu posiadania. Przeciwnie, ma do dyspozycji, bezpośrednio lub pośrednio, bardzo liczne szeregi. Ma je do dyspozycji właśnie w imię programu racjonalnej przebudowy ustroju państwowego, oparcia życia publicznego na trzeźwych zasadach gospodarczych i odrodzenia ogólnej polityki państwowej w kierunku prawdziwie mocarstwowym. Ale wszystko zależy oczywiście od tego, czy potrafi tę wyjątkową koniunkturę dziejową odpowiednio wykorzystać i twórczość swą społeczeństwu naocześnie wykazać.

A twórczość ta począć się musi od organizacji i to samodzielnej. Jeżeli z góry przyjdą dla społeczeństwa normy, ramy czy dyrektywy, to tem lepiej. Ale to bynajmniej nie wszystko. Te ramy trzeba odpowiednio wypełnić, normy zastosować, pożyteczne dyrektywy wykorzystać, ale przede wszystkim zrobić swoje. W charakterze konserwatywnego intelektu leży samodzielność. Tej wszyscy od niego żądają. Bez niej traci całą swą wartość. Konserwatyzm nie może być pionkiem. Jako idea par excellence państwowo-twórcza, musi współdziałać z rządem, o ile rząd ten ma rzeczywiście twórcze zamiary. Ale musi dać także coś z siebie, być jednym ze współmotorów pracy państwowej, nie zaś ślepem narzędziem. Nie wolno mu przestać być kiedykolwiek samą sobą.

Musi się więc konserwatyzm polski przede wszystkim sam dobrze zorganizować i wzmocnić, otrząsając się bezwzględnie z każdego obco-ideowego nalotu. Żadnej dalszej zwłoki pod tym względem, żadnego indywidualnego pardonu! Pewne kompromisy dobre były jeszcze wczoraj, zawodne są już dzisiaj, a zabójcze napewno będą jutro. A równocześnie organizować musi energicznie siły społeczne, które mu są dostępne, tworzyć szeroki front, zdolny do pracy państwowej w każdych warunkach. Sięgnąć musi przytem myślą nie tylko na najbliższe wybory, które będą przecież tylko pierwszym i to może nie

najważniejszym etapem w akcji naprawy stosunków, ale i na to, co potem może nastąpić. Nie o proste układy wyborcze chodzi, ale przede wszystkim o budowę od podstaw, która wymagać będzie daleko silniejszego i trwalszego łańcucha ugrupowań, stojących na gruncie pozytywnej pracy państwowej, niż chwilowe kompromisy wyborcze.

Dobrze, że rząd obecny chce energiczniej, niż poprzednio, ingerować w sprawę wyborów. W naszych warunkach silna ręka jest zawsze pożądana. Bez takiej ręki trudno nawet wyobrazić sobie podniesienie poziomu przyszłych ciał ustawodawczych i dokonania dzieła Naprawy. Ale najbardziej nawet zdecydowana akcja rządu nie może zwolnić konserwatyzmu od zrobienia swego. Jakiegokolwiek będą normy i warunki wyborów, jakiegokolwiek nastąpią potem reformy i wydarzenia, samodzielna twórczość idei zachowawczej powinna się wybitnie zaznaczyć w organizowaniu sił w imię interesu państwa, tak, jak go program zachowawczy pojmuje. I pod tym względem nie wolno mieć ani chwili wątpliwości czy namysłu.

Jest obecnie na porządku dziennym pytanie, jakie będą hasła? Sprawa ta jest już w gruncie rzeczy przesądzona i, jakiegokolwiek zewnętrzne formy przybierze, nie może ulegać wątpliwości: Za państwem lub przeciw państwu! Przyczem pod wyrazem „państwo” rozumie się w tym wypadku to wszystko, co w danych, konkretnych warunkach przyczynić się może do dalszej konstruktywnej pracy nad naprawą państwa i nadania mu ustroju, niezbędnego dla jego egzystencji, dobrobytu i mocarstwowego rozwoju. Wyraz ten obejmuje również, samą siłą rzeczy, stanowcze opowiedzenie się po stronie autorytetu, który obecnie to dzieło reform prowadzi i reprezentuje. Wszelkie nowe kombinacje i przewroty lub reakcja w kierunku dawnych metod demagogicznych, muszą być na tej drodze wykluczone.

Ale samo hasło nie wystarcza, musi być też i wcielona w pewną organizację idea, któraby, poprzez wszelkie fluktuacje takiego czy innego ustroju państwowego, mogła przeprowadzić to, co hasło obiecuje. Taką ideę zaś, żywą, aktualną, zrodzoną z atmosfery stosunków, położenia i najważniejszych postulatów państwa, głosi już od dawna program zjednoczonego frontu gospodarczego, który, wychodząc z potrzeby przeobrażenia ideologii partyjniczej na trzeźwy, „gospodarczy” sposób myślenia i działania, opiera na tej platformie

szeregowanie wszystkich państwowo-twórczych żywiołów w pracy nad przebudową i rozbudową państwa w myśl zasad jagiellońskich. Dlatego, poza ogólnem hasłem, poprzednio wspomnianem, tkwią w tym właśnie programie dostateczne drogowskazy dla tych wszystkich, którzy, bez względu na szczegółowe różnice polityczne, czy socjalne, czy narodowościowe, stoją szczerze i twórczo na gruncie nowoczesnej państwowości polskiej.

3 grudnia 1927.

PAŃSTWO.

Byłoby zbyt rażąca niesprawiedliwością wobec minionego reżimu i parlamentu, gdyby wszystkich ludzi i wszystkie stronnictwa, które wówczas współdziałały w pracy państwowej, w czambuł potępić i obłożyć generalnym zarzutem partyjnego egoizmu. Było bardzo wiele złego, były aż nazbyt liczne przykłady bezskrupulatnego żerowania na organizmie państwowym i bezkrytycznego, anarchicznego radykalizmu, ale niepodobna twierdzić, że wszyscy o sobie tylko i o swem stronnictwie myśleli.

Niemniej prawdą jest, że — przeciętnie biorąc — interes partykularny w każdym razie na tyle dominował ponad interesem państwa i ogółu, że każde stronnictwo, każda niemal warstwa społeczna, starały się swój program i swój interes ogółowi narzucić i kształtować ustrój i losy państwa przede wszystkim na swą modłę. Poza partją niemasz ojczyzny, wszystko, co poza nią, to wrogowie państwa, ludu i postępu — oto kwintesencja zróżniczkowanej ad absurdum opinii publicznej, jaka urobiła się nie na żarty w ciągu siedmiu lat tłustych partjokracji i sejmokracji. Stosunek obywatela do państwa regulował się na podstawie skrajnie egoistycznej zasady wzajemności, dyktowanej postulatami do ut des. Wyrazem tego stało się całe nasze ustawodawstwo i całe życie publiczne. Państwo stało się jakgdyby wrogiem dla obywatela, a już co najmniej jego kontrahentem, którego dla własnej korzyści „naciagać” należy, ile się tylko uda. Popierały ten stan rzeczy

niemało także biurokracja i etatyzm, dwie swoiste narosłe demagogicznego radykalizmu.

Skrajnie również egoistyczne hasło walki klasowej, zaczerpnięte z doktryny socjalistycznej, rzucano ustawicznie w masy celem chyba tylko rozsadzenia i osłabienia społeczeństwa. Nastawiano poszczególne warstwy wrogo do siebie, głosząc niszczenie jednych na rzecz drugich i niszczenie całego dorobku pracy i kultury na rzecz pewnych doktryn i haseł. A najgorzej wychodziło na tem znowu państwo.

W pojęciach o ojczyźnie i państwie pełno było zastrzeżeń. Polska, jeżeli wogóle ma być, to powinna być państwem czy to radykalnie nacjonalistycznym, czy robotniczo-chłopskim, czy socjalistycznym — byle tylko nie Polską bez demagogicznego przymiotnika. Ponieważ kraj liczy przeszło 60 procent włościanstwa, więc wszystko dla włościan, którzy przez samą swą liczebną przewagę mają prawo zagarnąć cudze mienie. Ilość jest prawem. Ponieważ we fabrykach i na roli pracuje pewien odsetek ludności robotniczej, więc przemienić ma się kraj na państwo socjalistyczne według koncepcji Marxa. Co się przytem zniszczy, o to mniejsza, bo doktryna jest prawem.

Takimi pojęciami zaczęto budować Polskę! Do egoistycznych pożądań ciemnych mas lub ambitnych prowodyrów miało nagiąć się wszystko — ustrój państwa, najżywotniejsze jego interesy, potrzeby ludności, dorobek cywilizacji i wszelkie moralne i materialne walory społeczeństwa.

Naprawa stosunków, jeżeli ma być skuteczną i szczerą, musi ten nastrój przedewszystkiem ze szczerem wykorzenić. Niepodobna antypaństwowemi założeniami budować państwa. A zwłaszcza my, Polacy, nie możemy sobie na żadne zbyt postępowe eksperymenty pozwolić wobec prawie 70 milionów Niemców i prawie 150 milionów Moskali, zamykających nas od zachodu i wschodu. I ten kapitalny argument, oprócz wielu innych ważnych, dyktuje nam historyczny nakaz gruntownej zmiany zapatrywania na państwo, jako na pojęcie nadrzędne, którego interes winien rzeczywiście nad różnicami zdań politycznych górować i które zrzeszyć winno wszystkie warstwy obywateli w dążeniu do daleko większych zadań i celów, niż podwórkowe światopoglądy partyjne czy socjalne, narzucane dotąd społeczeństwu polskiemu przez tych wszystkich, którzy na zasadzie „bezpośredniej wzajemności” ze strony państwa

lub na hasłach „Polski z zastrzeżeniami” chcą ubijać swój interes.

Niewątpliwie dużo trzeba będzie wysiłku, aby tej kardynalnej przemiany psychicznej w umysłach ogółu dokonać. Wszak ogół nasz nie jest narazie w stanie myśleć państwowo, lecz tylko kategorjami stronnictw. Wszak dawna Polska był to „zbiór praw i przywilejów szlacheckiego stanu”, a dzisiejsza, to podobny zbiór praw i przywilejów partyjnych. I jedno i drugie było i jest nedorzeczne i nieproduktywne, w gruncie rzeczy nawskroś antypaństwowe. Bez gruntownego utrwalenia tego nadrzędnego pojęcia o państwie w duszy i sercu społeczeństwa niepodobna ruszyć na serjo z miejsca z dziełem naprawy Rzeczypospolitej, niepodobna sprostać wielkim, ponadpartyjnym sytuacjom i zadaniom, jakie bliższa lub dalsza przyszłość przynieść może.

Specjalność programu Stronnictwa Prawicy Narodowej, wyróżniająca go z dawien dawna z pośród innych, polega — jak wiadomo — na trzech postulatach zasadniczych: metodzie historycznego rachunku sumienia, bezwzględny objektivizm politycznym i państwowym punkcie widzenia. Z tych wszystkich trzech względów witać musimy z największym zadowoleniem skierowanie opinii naszego społeczeństwa na owe nadrzędne, państwowe kategorie myślenia i działania, skądkolwiekby impuls ten wyszedł i poprzeć go z całym przekonaniem i naciskiem. Podzielamy też najzupełniej zapatrywanie, że oczekiwane zmiany ustroju powinny oprzeć się na całkiem innej, niż dotąd, platformie, na ugruntowaniu w społeczeństwie należytych pojęć o ideale i interesie państwowym i porwaniu nim myśli i dążeń obywateli ku tym celom, które nazywamy zbiorowem mianem misji dziejowej Polski. I współzawodnictwo w tem właśnie dążeniu zastąpić powinno dotychczasowe antagonizmy warstwowe czy partyjne.

Alé — i to kwestja również zasadnicza — nie wolno w tym ze wszech miar zdrowym i pożądanym kierunku popełnić przesady. Hipertrofia ideału państwowego przechodzi łatwo we wszechwładzę państwa i zniszczenie indywidualizmu jednostki. A nie trzeba zapominać, że państwo nie jest jakimś pojęciem oderwanem, ale składa się z jednostek i że rozwój państwa jest bez żadnej wątpliwości funkcją i zarazem wypadkową indywidualnej tężyzny jego obywateli. Zabić ją, to znaczy zabijać państwo.

Dlatego między przerostem indywidualizmu jednostki czy warstwy, na jaki Polska zawsze chromała, a socjalistyczną wszechwładzą państwa, jaką narzucają doktryny tak zwane postępowe, musi się znaleźć złota linja pośrednia. I na tej linii leży niewątpliwie zdrowy rozwój pojęcia o państwie w umysłach naszego ogółu.

17 grudnia 1927.

NAPRAWA CZY SOCJALIZACJA?

W czasie, gdy wdrożone przez marszałka Piłsudskiego dzieło naprawy Rzeczypospolitej i uzdrowienia wypaczonej partynictwem opinii publicznej przebija się naprzód z trudem i móżolem przy współdziałaniu wszystkich państwowo myślących sfer społeczeństwa, gdy padło z góry doniosłe hasło nadrzędnego pojęcia o państwie, przeciwstawione wyraźnie marksowskiej doktrynie, gdy w imię tego hasła żąda się od oświeconych warstw narodu ofiar i karności — w tym samym czasie rozwija się, korzystając z pewnych okoliczności, dalsza akcja stopniowej realizacji zasad socjalistycznych, progresywnego ograniczania własności prywatnej i upaństwowienia życia publicznego.

Wspomnieliśmy swego czasu o żelaznym walcu socjalizacji, który od pierwszej chwili wskrzeszenia niepodległości państwa toczy się naprzód nieubłagane poprzez wszelkie fluktuacje polityki rządowej i partyjnej, bez względu na charakter reżimu, będącego chwilowo u steru. Nie wstrzymały go ani wielokrotne rządy obozu „narodowego”, ani konserwatyści, których powoływano niekiedy w skład rządu, ani przewrót majowy. Odnosi się mimowoli wrażenie, jakoby cała nasza oficjalna polityka państwowa była stosunkowo powierzchownym tylko zjawiskiem, pod którym nurtuje wszechpotężnie „podnosząca się fala socjalizmu”, jak to z tryumfem w swym nagłówku głosi „Robotnik”. Jeżeli zsumujemy realne sukcesy programowe, jakie od dziewięciu lat osiągnęły wszystkie stronnictwa i prądy polityczne czy społeczne w Polsce, to bez porównania największe saldo wykazuje bilans socjalizmu.

Przy głębszej ocenie można nawet twierdzić, że jeden jedyny socjalizm wykazać się może dotąd prawdziwym, realnym rezultatem, bezpośrednim lub przynajmniej pośrednim.

Bo któraż z naszych partji politycznych zyskała naprawdę wśród wieloletnich zmagañ sejmokratycznego reżimu? A doktryna socjalistyczna zyskała niewątpliwie, zyskała na ilości głosów i w kierunku ustawodawstwa. Od reformy rolnej, uchwalonej rzekomo na rzecz włościan, a naprawdę na rzecz socjalizmu, poprzez wszelkie inne ustawy i rozporządzenia o charakterze biurokratycznym, etatystycznym czy socjalizującym, ograniczające prawo własności, kapitał, swobodę pracy, rentowność produkcji i wolność obywatelską, aż po ostatnie zakusy na polu rujnujących ubezpieczeń społecznych — ustrój nasz państwowy przechyla się *de facto* w powolnej, ale niczem nie hamowanej ewolucji na stronę światopoglądu Marxa.

I jak tu się dziwić w takich warunkach gwałtownemu wzrostowi komunizmu, dla którego etatyzm i socjalizm przygotowują żyzny grunt pod zasiew? Jakże marnemi, naiwnemi wydają się usiłowania i porywy innych obozów i prądów wobec tej konsekwentnej, na dłuższą metę obliczonej roboty! — Gadajcie i politykujcie, jak chcecie i ile chcecie — powiada socjalizm — a ja tymczasem swoje zrobię!

I robi. Tego zaprzeczyć niepodobna. Robi raz pozornie na korzyść jednych, drugi raz na przekór wszystkim, ale w ostatecznym wyniku zawsze na korzyść własną, wyzyskując wszelkie sytuacje, prądy, rządy i nie przebierając w środkach.

Oszczędza dotąd, stosunkowo, przemysł. Ale oszczędza go tylko dlatego, że przemysł nasz trudniej, niż inne działy gospodarcze, zniósłby eksperymenty, a pracują tam setki tysięcy robotników, którzy nie ścierpieliby ryzyka utraty swej egzystencji dla doktrynerskich pomysłów. Przyjdzie jednak moment, gdy się i do fabryk dobierze. A tymczasem buszuje do woli gdzieindziej.

Oto nowy krok naprzód w postaci projektu rządowego obciążenia nieruchomości miejskich kolosalnym podatkiem w wysokości dwadzieścia osiem procent od dochodu brutto na rzecz „rozbudowy miast”. Podatek ten, kasujący praktycznie wszelką rentowność kamienic, uniemożliwi oczywiście do reszty prywatną inicjatywę budowlaną, już i bez tego w danych warunkach bardzo mizernie kielkującą, a odda ją całkowicie w ręce państwa. Zamienia się więc miasta nasze na

kolonje urzędnicze i proletarjackie, licho budowane systemem biurokratycznym. Bo jak budują się nieraz obiekty tego rodzaju, o tem lepiej nie mówić.

Będziemy więc mieli coraz szersze sfery społeczeństwa miejskiego lokowane w państwowych kolonjach, jak tego żąda kodeks socjalistyczny. A budowle starego „kapitalistycznego” reżimu w śródmieściu będą się walić, aż na ich gruzach nie powstaną nowe koszary proletarjacko-robotnicze, gdzie każda rodzina otrzyma do użytku parę pokoiów, budowanych pod szablon w klateczkowych rozmiarach. Oto rezultat, do którego się dąży. Oto prawdziwa istota tak popularnego obecnie hasła rozbudowy miast!

Życie gospodarcze nie znosi jednak eksperymentów. Jedynym realnym środkiem wzmożenia ruchu budowlanego jest przywrócenie rentowności kapitału, inwestowanego w nieruchomościach miejskich. Koncepcja przeciążenia finansowego starych nieruchomości na rzecz projektowanych jest sofizmatem, godzącym w samą logikę akcji rozbudowy. Z drugiej strony hasło walki z komunizmem pozostanie tak długo wystrzałem ślepego naboju, dopóki nie zerwie się z systemem, który wychodzi w praktyce bez żadnej kwestji na urzeczywistnienie programu socjalistycznego. Bo cóż pomogą ustawiczne aresztowania, likwidacje jaczejek, zrywanie przez policję afiszów komunistycznych lub unieważnianie list wyborczych, jeżeli nasze sejmy i rządy wprowadzają normy prawne, zbliżające nasz ustrój państwowy w coraz szerszym zakresie do kanonów tegoż samego, oficjalnie zwalczanego komunizmu?!

Trzeba raz nareszcie jasno postawić sprawę: Czem ma być Polska? Czy państwem polskiem, czy republiką socjalistyczną? Czy mamy iść za białym orłem, czy za czerwonym sztandarem? Czy nasza polityka gospodarcza dąży istotnie do podniesienia dobrobytu w państwie, jak to głosi, czy też do realizacji marzeń socjalistycznych, likwidacji własności prywatnej, konfiskaty kapitału i upaństwowienia życia i pracy prywatnej? *W jasnej, zdecydowanej odpowiedzi na te pytania leży najgłębsza podstawa podjętego dzieła naprawy stosunków w państwie.* Rząd, który go się podjął, musi te pytania przede wszystkim rozstrzygnąć. Omijanie ich zwłocznie akcją reform w samych podstawach, wnosząc w nią, mimo wszystko, dwuznaczność i niepewność i budząc nieufność w społeczeństwie.

W jasnej odpowiedzi na te pytania skupia się też kwintesencja wszystkich naszych zagadnień państwowych, religijnych i społecznych. A wobec tych fundamentalnych zagadnień nie możemy długo brodzić w ciemnościach.

Światopogląd konserwatywny, pracujący szczerze w kierunku państwowo-twórczym, godzi się na wszelkie postulaty realnego, produktywnego postępu. Staje też zdecydowanie po stronie takich zamierzeń obecnego rządu, a zwłaszcza jego szefa. Staje bardziej stanowczo i szczerze, niż wiele ugrupowań, mieniących się postępami i bez targów i wykrętów ofiaruje wszystkie swe siły do współpracy nad zreformowaniem i odrodzeniem państwa. Ale właśnie dlatego protestuje z całą stanowczością przeciw wszelkim zamierzeniom, któreby bezpośrednio czy pośrednio, pod jakimkolwiek pretekstem czy pozorem, zmierzały do dalszej etatyzacji życia publicznego i prywatnego i wprowadzały w ustrój państwowy normy socjalistyczne.

Nie przypuszczamy ani na chwilę, żeby projektowana ustawa obmyślona była celowo, z premedytacją, na szczepienie w Polsce systemu socjalistycznego. Stałoby to zresztą w zbyt jaskrawej sprzeczności z hasłem naprawy Rzeczypospolitej i podcinałoby mu zgóry zdrowe korzenie. Jest ona z pewnością tylko rezultatem przerostu etatyzmu, odziedziczonych po rządach poprzednich, z którego niedość energicznie umiemy się otrząsnąć. Nie zmieni to jednak jej skutku. Dlatego możemy słusznie oczekiwać, że Ministerstwo robót publicznych, po dokładniejszym rozważeniu istotnego jej rezultatu oraz zdrowych założeń hasła odbudowy gospodarczej państwa, które tak bardzo potrzebuje kapitału i dobrobytu, projekt ten cofnie, a gdyby nie cofnęło, to nie zatwierdza go ani Rada Ministrów, ani Pan Prezydent Rzeczypospolitej.

24 grudnia 1927.

ŚWIAT ODWRÓCONY.

W przeddzień Nowego Roku, po którym wszystkie sfery społeczeństwa i wszystkie kierunki polityczne wiele oczekują, warto sięgnąć myślą wstecz i uprzytomnić sobie pewne wielce ciekawe zjawiska, których zrozumienie niewątpliwie jest pożyteczne, a nawet niezbędne.

Wychowały nas legendy, zrodzone z dwóch źródeł, całkiem odmiennych, ale w jednym myśl narodową orjentujących kierunku: wolności. Wolności politycznej i obywatelskiej. Wyzwolenie z pod obcej niewoli i wyzwolenie z pod dawnego ustroju stanowego równoznaczne z demokratyzacją społeczną — oto dwa równoległe dążenia, które nadały charakter i piętno naszej historii ostatnich stu lat.

Wiesna ludów, która zakwitła w połowie ubiegłego stulecia w całej niemal Europie, nie pozostała bez wielkiego wpływu i na życie polskie, aczkolwiek skrzepowane obcym zaborem. Wykształciła i u nas ostatecznie pojęcia demokratyczne, przeciwstawiając je wyraźniej, niż to się dawniej działo, pojęciom zachowawczym. Pierwsze stały się synonimem postępu, drugie — słusznie czy niesłusznie — reakcji.

W tem przekonaniu, w tej legendzie, wychowywaliśmy się aż do ostatnich czasów. Niedosć może zastanawiając się nad istotą rzeczy, nie prowadząc dokładniejszego bilansu realnych faktów i rezultatów z pewnych dłuższych okresów, ale mierząc czyny na hasła, przyzwyczailiśmy się szacować miarę postępowości według stopnia radykalizmu politycznego, identyfikując mimowoli światopogląd zachowawczy — w pokorze ducha — z pewnem, większem lub mniejszem wstecznictwem, a conajmniej hamulcem. I chociaż targowaliśmy się skromnie o pewien stopień twórczości i postępowości także dla idei konserwatywnej, to jednak, zahipnotyzowani opinią publiczną i zakrzyczeni rozgłosną frazeologią krewkich antagonistów z pod radykalnych sztandarów, wyuczyliśmy się rozróżniać tęczową skalę postępu, od blade-różowej demokracji aż do najczerwieńszych przekonań rewolucyjnych. Im głębsza czerwień, tem szybszy postęp — tak nas zakrzyczano i nuczono.

Z tem też przekonaniem przekroczyliśmy skromnie, w ostatnim szeregu, umajoną czerwonymi chorągwiami bramę wskrzeszonej niepodległości, z pod których również nieśmiało tylko przezierał gdzieniegdzie orzeł biały z zatartą skwapliwie koroną.

W tym samym mniej więcej czasie w innej jeszcze wychowywaliśmy się legendzie.

Ideowy spadek po powstaniach objęła Liga Polska, propagująca zjednoczenie wszystkich dzielnic rozbiorowych, sposobienie narodu do walki zbrojnej o niepodległość, z frontem, zwróconym w pierwszym rzędzie przeciw Rosji, jako największej naszej ciemiężycielce i największemu zaborcy. Z Ligi tej zrodził się ruch

t. zw. wszechpolski, o charakterze demokratycznym, wielce ideowym i uczuciowym, nie pozbawiony nawet pewnego pierwiastka romantyzmu. Był on wyrazem najgłębszych uczuć i pragnień uciemnionego narodu, w który uderzył właśnie druzgocący cios przegranej powstania styczniowego.

I niepodobna zaprzeczyć, że ruch ten wśród szerokich warstw naszego społeczeństwa niemałe położył zasługi. Ożywił w niem, w okresie największego przygnębienia i apatji, myśl patriotyczną, podtrzymał i utrwalił nadzieje, szerzył świadomość tradycji i kultury ojczystej, mimo wszelkich represyj zaborczych i kształcił obojętnego dotąd chłopca na obywatela-patriotę.

On to tworzył głównie całą tę atmosferę patriotyczno-romantyczną, którą pamiętamy z lat młodych. Propagował tradycje kościuszkowskie, listopadowe i styczniowe, opromieniając je aureolą legendy i pieśni. Wpajał nam w dusze i serca, słowem i piórem, płomienne hasło: na Moskal! — hasło, które miało wcielić się w czyn przy pierwszej korzystnej okazji. Organizował nasze placówki emigracyjne i usposabiał nas opozycyjnie wobec rządów zaborczych, nawet w Galicji, gdzie z uczuciem patriotycznym kryć się nie było potrzeby. Uczono nas śpiewek wojennych, komponowanych do dźwięków trąbki ułańskiej, malowano widokówki z ułanem, wręczającym swą lance dziarsko spoglądającemu członkowi Sokoła. Inszenizowano patriotyczne uroczystości o wysokim bojowo-retorycznym napięciu. Kazano nam maszerować przez ulice przy dźwiękach surm, pod rozwiniętym biało-amarantowym sztandarem. Formowano kadry gimnastyczne, mające runąć na wroga w pierwszym szeregu i „skruszyć pęta ojczyzny”.

Ostrze swe kierował ten ruch wszechpolski także przeciw nam, konserwatystom, wyznawcom „małodusznego trójlojalizmu” i cierpliwej, nudnej „pracy organicznej”. Piętnował nas jako wsteczników, zdrajców ojczyzny, wrogów ludu i wrogów „zbrojnego czynu”. Z naszej strony zwalczaaliśmy jego jaskrawe wybujałości, jego zbyt demagogiczne metody, uznając jednak dobre strony. W każdym razie byliśmy przekonani, że gdy „wybijie godzina powstania”, to wszechpolski ordre de bataille pierwszy porwie za sobą naród do walnej z wrogiem rozprawy. A wówczas „Kościuszkę będzie patrzył z nieba”, a

ostre kosy nasze

wystarczą na krótkie moskiewskie pałaze-

Wybiła nareszcie oczekiwana przez dwa pokolenia godzina i — świat się nagle odwrócił.

Bojowy, surmowy do niedawna animusz wszechpolski w obliczu nieprzyjaciela z miejsca skapitulował. Co więcej, jeszcze na szereg lat przedtem, gdy z mgły patryjotycznego romantyzmu wyłaniać się zaczęła groźba zbrojnego starcia na ziemiach polskich, wszechpolskość, przeobrażona w międzyczasie w obóz narodowo-demokratyczny, zaczęła w pochodzie swym na Moskwę gwałtownie hamować i nawracać. Wymyślono naprędce marsz na Berlin, skomponowano „Rotę”, dekorację sybirską zastąpiono wozem Drzymały i zasugerowano narodowi fikcję walki ze światem germańskim — materialnie w danych warunkach niemożliwej. Z wybuchem wojny europejskiej program wszechpolski stanął w zaborze rosyjskim murem przy Moskwie, a w Małopolsce witał legendarnego ongiś nieprzyjaciela z tak skwapliwą czołobitnością, że wzbudziła aż zdziwienie u najeźdźcy.

O chorągiewkach, szablach, pikach i kosach jakoś nie było mowy, a uczucia i pragnienia narodowe zredukowano zgóry, programowo, do jakiegoś śmiesznego językowo-terytorjalnego minimum, z granicą o kilka mil na wschód od Krakowa i Warszawy. Marzono za to o realizacji idei Chrobrego, o biciu żelaznych słupów na Łbie i Sali, o wcieleniu do językowego samorządu wszechpolskiego „rdzennie słowiańskich” siedzib Lutyków i Obotrytów.

Opatrzność pokierowała na szczęście inaczej, ale bojowy niegdys patryjotyzm Ligi wszechpolskiej w tej próbie ogniowej doszczętnie się załamał i w wyzwolonej cudem ojczyźnie przeszedł w ograniczony, ciasny nacjonalizm, skrajnie defetystyczny, a stąd ugodowy za wszelką cenę wobec wszystkiego, co mu z wewnątrz czy z zewnątrz kraju chwilowo zagraża. Niemasz dzisiaj w państwie naszym czynnika bardziej defetystycznego, zarówno w polityce zagranicznej, jak wobec demagogii lewicy, od wszechpolskiego nacjonalizmu resp. jego spadkobierców. Hasłem jego popularność za wszelką cenę, za cenę przekonań, programu i najżywniejszych interesów państwa, co wszystko jest na sprzedaż, zależnie od sytuacji i konjunktury i najwięcej ofiarującego kontrahenta. W Rydze sprzedano Moskwie pokój za miskę soczewicy, w Landkoronie demagogii własność prywatną za parę poseselskich mandatów, a w Bazarze poznańskim wypowiedziano walkę wskrzeszonej ojczyźnie, walkę aż do katastrofy, na którą się liczy i którą też usiłuje się ściągnąć zapamiętałą, bezrozumną opozycją.

Oto trzy słupy żelazne, coprawda nieco odmienne od słupów Chrobrego...!

W rezultacie dawny rozmach ruchu wszechpolskiego skarłowaciał do roli politycznego wstecznictwa i całym swym programem i charakterem przeciwstawił się idei Polski mocarstwowej. Jest on dzisiaj zkrainą negacją tych wszystkich podstawowych zasad, które stanowią kardynalny warunek urzeczywistnienia kiedykolwiek tej idei.

A ruch wyzwolenia społecznego? Ten, niepomny również swych dawnych tradycji obrony jednostki przed absolutyzmem i przywilejem stanowym, przekształcił się w wolnej Polsce na demagogiczny etatyzm, krępujący nieznośnemi pętami swobodę i inicjatywę obywatelską, kapitał, stan posiadania i warsztaty wytwórcze. Miejsce dawnego hasła wolności, rozbrzmiewającego po ulicach i barykadach w imię zdobycia pełnych praw dla szerokich warstw narodu, zajęła pod wpływem doktryn socjalistycznych koncepcja wszechwładzy państwa-molocha i dyktatury oligarchji parlamentarnej czy proletarjackiej. Wolność rozumie się dzisiaj tylko jako bezkarne jątzenie mas, pogrom wyższej kultury i cyniczne wywłaszczanie tych, którzy cośkolwiek posiadają, na rzecz państwa, występującego jak prawdziwy wróg wobec własnych najbardziej wartościowych warstw obywatelskich, wobec warsztatów uczciwej, skrzętnej pracy i produkcji.

Uchwalane ze zbrodniczą lekkomyślnością, czy nawet wyrachowaniem, ustawy tamują i kruszą wszelkie szlachetniejsze, twórcze porywy tężyzny indywidualnej, hamują celowo wzrost dobrobytu, piętnując wrogiem państwa i ludu każdego, kto nawet pracą i oszczędnością zarobi sobie na lepszy kawałek chleba. Dążą do obniżenia poziomu oświaty, aby nie dopuścić do obywatelskiego uświadomienia ciemieźzonych, bo go się demagogja przede wszystkim obawia, bo wzrost oświaty i dobrobytu, to koniec jej panowania. Wstrzymują więc brutalnie postęp kulturalny i materialny ci właśnie, którzy najhańsliwiej gardłują za postępem. Przeciwstawiają się gwałtownie wszelkim próbom twórczych reform.

I dla nich świat się także odwrócił. Firmowy postęp stał się wyrazem bezmyślnej demagogji, zacofania i zazdrośnego konserwowania nędzy i anarchji. Stał się przede wszystkim synonimem niewoli jednostki, zdanej na łaskę zachłannej biurokracji i etatyzmu, nie pozbawionego coraz wyraźniejszych cech socjalizacji.

Tragikomizm dziejowy sprawił, że — w przeciwieństwie do obu powyższych kierunków — myśl konserwatywna, okrzyczana przez nie jako ugodowa i wsteczna, musiała z biegiem czasu podjąć za nie zarówno ideę bojowego czynu, jak i realnego postępu. Konserwatyzm, który szedł wolno i mozolnie po cichych torach realizmu politycznego i pracy organizacyjnej, przez romantyków wszechpolskich i czerwonych postępowców tak znienawidzonej, nie zawahał się wziąć na siebie w decydującej chwili całego ryzyka i jarzma zbrojnej walki z Moskałem i poprzec zdecydowane inicjatywę garstki ówczesnych niepodległościowców. On zajął miejsce, przygotowane od kilkudziesięciu lat z szumem i hasłem przez ruch wszechpolski, zajął je spokojnie, realnym czynem, w chwili, gdy wszechpolak w obliczu nieprzyjaciela poprostu zdezerterował. Konserwatyzm polski, któremu obce były trąbki wojenne i kosynierskie rogatywki, stanął jak weteran do boju, gdy przyszło naprawdę do niego, stanął bez targów, warunków i wykrętów, patrząc z pogardą na wszechpolskie żonglowanie po różnych orientacjach i frontach, obliczone na to, aby nie być na żadnym.

A potem, we wskrzeszonej ojczyźnie, zmuszony był podjąć inicjatywę twórczego postępu w społeczeństwie i poprzec zdecydowanie dzieło reform politycznych i gospodarczego odrodzenia, którym przeciwstawia się zarówno nacjonalizm wszechpolski, jak i zakostniała w jałowej demagogji radykalna demokracja. Ze zdziwieniem ujrzał się nagle w roli, jakiej się z pewnością nie spodziewał. Sądził, że naturalną jego rolą będzie nakładanie pewnych cugli wybujałemu rozmachowi reformatorskiemu młodzieńczych prądów postępowych, Rzeczywistość przyniosła coś całkiem przeciwnego. Rozpęd radykalizmu objawił się tylko w burzeniu istniejących wartości, przez wojnę światową już i tak aż za nadto zniszczonych, oraz w bezmyślnej negacji wszelkiego pozytywizmu twórczego. Poza tem zakostniał z uporem w konserwowaniu wszystkiego, co może zdrowy postęp uniemożliwić. Dlatego też widział się konserwatyzm zmuszony wstąpić w jego rolę i zawołać: Naprzód! Znowu bez targów, wykrętów i stawiania ojczyźnie warunków. Działa więc, gdzie może i jak może, łączy, konsoliduje i organizuje. A przede wszystkim prze naprzód z całą wiarą dzieło Naprawy Rzeczypospolitej, od czterystu lat w Polsce głoszonej, a zawsze przez demagogów i defetystów paraliżowanej.

I dlatego stwierdzić należy, że żyjemy w świecie odwróconym. Co było na czele, poszło wstecz. Gruntownie zmieniły się role. Trzeba to sobie dobrze uświadomić. Bojowość wszechpolska i postęp demokratyczny są dziś już legendą. Konserwatyzm jest za to prawdziwym wykładnikiem twórczej ofensywy i postępu na każdym polu — ale postępu po stopniach murowanych, nie zaś dziecinnego wspinania się po drabinie, która każdej chwili może się z trzaskiem załamać.

W chwili, gdy z odpowiednią refleksją i autokrytyką spoglądać winien każdy na minionych dziewięć lat jałowych zmagających partyjnych i eksperymentów na żywym ciele wskrzeszonej ojczyzny — w dniu wigilijnym, nastrajającym więcej, niż każdy inny w roku, do zgody i współpracy, życzyć należy gorąco narodowi polskiemu, aby szlachetne założenia, które ongiś, w epoce ucisku, dały początek zdrowym, twórczym prądom myśli narodowej i społecznej, a które potem zbiegiem okoliczności zboczyły na manowce, odżyły w dawnej postaci i zjednoczyły całe społeczeństwo nasze, poprzez wszelkie różnice zapatrywań i temperamentu, w jednolitem, zgodnym dążeniu do wielkich celów, jakie Opatrzność po raz wtóry mu wyznacza.

Ci wszyscy, którzy to rozumieją i skutecznie do tego się przyczynią, będą mogli sobie powiedzieć, że się dobrze zasłużyli ojczyźnie.

31 stycznia 1928

AKCJA MONARCHISTYCZNA.

Przeżywamy moment głębokiego przeistaczania się opinii publicznej i prądów, nurtujących nasze społeczeństwo. Powierzchnie trzyma się jeszcze w znacznym stopniu dawny podział partyjny, zapoczątkowany przed wojną, a zróżniczkowany ostatecznie w ciągu siedmioletniego okresu sejmowładztwa. Ale skrupa ta już się kruszy i dobywają się z pod niej żywiołowo całkiem inne prądy, reprezentujące już nie partje w dotychczasowym tego słowa znaczeniu, ale światopoglądy, sięgające samem swem założeniem i rozmiarem programów w dalszą przyszłość państwa.

Fundamentem tych nowych prądów jest „idea państwowa“, przeciwstawiona ostro i pod każdym względem partykularnym, egoistycznym poglądom stronnictw, zwłaszcza stronnictw demagogicznych. Idea ta powoduje już samym swym momentem trzeźwości i swym historycznym punktem widzenia pewne odradykalizowanie się społeczeństwa, nawet jego warstw niższych, przeorywanych dotąd wyłącznie bezmyślnym haselkowym radykalizmem. Wspiera myśl tę znakomicie inna idea — organizowania się społeczeństwa pod względem gospodarczym i oparcia rozumowania politycznego na obiektywnych założeniach ekonomicznych.

Obie te zasady — państwowa i gospodarcza — znajdują uzupełnienie w kielkującym programie „Polski mocarstwowej“, wzorującym naszą politykę na idei jagiellońskiej, oraz w myśli i organizacji monarchistycznej.

Niedawno myśl ta spotykała się w poważnych sferach politycznych społeczeństwa z pobłażliwym lekceważeniem. Traktowano ją mniej więcej tak, jak się traktuje rojalizm we Francji, a nawet jeszcze niżej. Było to może w pewnym stopniu uzasadnione. Nie krytykując i nie wchodząc w szczegóły, stwierdzić tylko musimy, że dawniejsze organizacje, propagujące ideę monarchistyczną w Polsce, były słabe i nie zdołały zapuścić w społeczeństwie korzeni. Dlatego też upadły i musiały się zlikwidować, aż do nieznaczących, wegetujących gdzieś resztek, bez znaczenia dla jakiejkolwiek akcji na serio.

Sytuacja zmieniła się dopiero z chwilą, gdy, niezależnie od innych, akcja Monarchistycznej Organizacji Wszechstanowej, zainicjowana i z wielkim talentem prowadzona przez D-ra Aleksiego Cwiakowskiego i jego współpracowników, oparła się w całym szeregu województw na szerokich masach ludowych i stamtąd działać poczęła na coraz wyższe sfery społeczeństwa.

Żywioły konserwatywne, a zwłaszcza Stronnictwo Prawicy Narodowej, określiły swe stanowisko wobec tego ruchu od samego początku jasno i wyraźnie: stosunek życzliwy, popierający, ale zarazem swobodnie krytyczny i wyczekujący. Z jednej bowiem strony każdy prawdziwy konserwatysta polski z natury rzeczy odnosi się przychylnie do zasady silnej władzy, usymbolizowanej w dziedzicznej monarchji. Z drugiej jednak za główne swe zadanie uważa konserwatyzm pracę nad podstawami państwa, mniej zwracając uwagi na zewnętrzne formy czy symbole władzy państwowej. Może iść tylko po stopniach pewnych, nie opowiadając

się odrazu stanowczo przy porywczych dążeniach, choćby mu były najsympatyczniejsze.

Stąd też, działając w republice, nie uważa konserwatyzm za swą rolę uderzać bezpośrednio w zewnętrzne kształty jej ustroju, co wychodząc od tak poważnego ugrupowania, ściągnąćby mogło na nie zarzut podważania autorytetu istniejącej, legalnej władzy. I dlatego sformułował konserwatyzm swój prowizoryczny stosunek do akcji monarchistycznej w sposób następujący:

Nie naszą jest rzeczą zajmować oficjalnie stanowisko w tej sprawie, a tem mniej włączać ją do naszego programu, dopóki monarchizm nie stanie się dostatecznie silnym i powszechnym postulatem szerokich sfer społeczeństwa. Wówczas dopiero rozstrzygniemy sobie zagadnienie, czy i o ile kwestję zastąpienia ustroju republikańskiego przez monarchiczny uważać będziemy w danych konkretnych warunkach za wskazaną dla Polski. Narazie zajmujemy stanowisko życziwe, ale neutralne.

Z obowiązku sprawozdawczego stwierdzić jednak należy nie spodziewanie szybki rozwój idei monarchistycznej oraz jej wykładnika M. O. W. w ostatnich czasach na całym już niemal obszarze Rzeczypospolitej, za wyjątkiem pewnych okręgów, do których organizacja ta raczej tylko z pewnych względów taktycznych jeszcze nie dotarła. Musimy sobie uświadomić, że powstał na arenie politycznej nowy, już dzisiaj ważki czynnik, z którym społeczeństwo poważnie liczyć się musi. Stwierdzić należy, że żadna inna myśl czy organizacja polityczna nie zyskała w ostatnim roku nawet w przybliżeniu tylu zwolenników, co monarchizm w swej nowej, sprężysto zorganizowanej wszechstanowej postaci. Skonstatować więc można, że wyszedł już stanowczo ze stadjum projektów, a zajmować zaczyna stanowisko politycznego ruchu i światopoglądu, mającego już pewne oparcie w sferach wykształconych, a szerokie oparcie w masach.

Podnieść też trzeba, że w tej nowej właśnie postaci należy monarchizm nasz stanowczo do czynników twórczych, w przeciwieństwie do pospolitego partyjnictwa. Niewiele bowiem pyta zwolenników swych o poprzednie przekonania polityczne czy socjalne, ale staje ponad partjami i stawia jasne i proste tezy, oparte na ogólnopanstwowych założeniach i tem przedewszystkiem pociąga. Działając głównie w masach, posiada w swej taktyce pewne zacięcie demagogiczne, ale tylko w taktyce, bo w istocie swej jest i musi być zachowawczym. Musi nim być jako idea twórcza, konstruktywna, która wnosi coś dodatniego w nasze życie i ustrój

państwowy. Radykalizmu bowiem można używać, gdy się chce burzyć, ale z chwilą, gdy chodzi o budowę, to myśl polityczna musi oprzeć się o kategorie zachowawcze. Tembardziej, gdy chodzi o budowę ustroju monarchicznego.

Jakkolwiekbyś ruch ten, wielce ideowy, oparty na zasadach katolickich i patriotycznych, a zrodzony nie ze sztucznych koncepcji, ale z ewolucji stosunków, zasługuje na daleko większą uwagę wykształconych sfer społeczeństwa, niż to się dotąd działo. Pomijając bowiem narazie kwestję, czy i kiedy cel swój główny osiągnie, oddaje państwu w każdym razie wielką usługę, krzewiąc ideę państwową oraz trzeźwe zasady ekonomiczne i obywatelskie wśród szerokich mas, buntowanych przez szereg lat demagogią wywrotową wszelakich stronnictw radykalnych. Nadto ruch ten znalazł szczęśliwie także pomost do gruntowania zgody narodowościowej w państwie, oddziaływując już zwłaszcza na Rusinów, którzy organizują się pod jego sztandarem, jako Ukraińska Organizacja Monarchistyczna, widząc i dla siebie korzyść z przywrócenia władzy królewskiej w Polsce. Jest to pierwszy polityczny sukces na tem polu, którego dotąd żadne inne usiłowania z polskiej strony nie zdołały osiągnąć.

13 lutego 1928.

WIELKIE ZADANIA.

Listy kandydatów złożone. Uspokoiło się wielkie kotłowanie w głównych centrach przygotowawczej akcji wyborczej, a wysiłek przenosi się teraz na okręgi. Wszyscy oczekują rezultatów, które — mimo wszelkich mniej lub więcej trafnych domysłów i kalkulacji — przy tajnem głosowaniu po wielkim przełomie politycznym ostatniej doby muszą stać pod pewnym znakiem zapytania.

Prasa i stronnictwa, a raczej — jeśli kto woli to wyrażenie — światopoglądy polityczno-społeczne, zrobiły na razie swoje. Wykryształizowały zasady i zróżniczkowały według nich opinię publiczną. Wyjaśniły się ostatecznie hasła i pozory. Żaden tynek nie jest już w stanie zakryć rzeczywistości i prawdy. Każdy wie, za czem idzie i dlaczego idzie. Wiedzą o tem nie tylko sfery wy-

kształcone, ale i lud prosty, który notabene często lepszą od nich wykazuje intuicję i poczucie realizmu życiowego.

Zostawmy więc ostateczną rozgrywkę kampanji różnym mniej lub więcej „przekonywującym” technicznym metodom wyborczym w okręgach, a zastanówmy się teraz przedewszystkiem nad tem, co dalej? Spójrzmy w przyszłość, na większe zadania państwowe. To odświeża.

Ma nastąpić reforma ustroju, której pragną wszyscy bez wyjątku. Jedni w kierunku jeszcze większej radykalizacji, niż była dotąd, inni w kierunku racjonalnej, obiektywnej naprawy Rzeczypospolitej, którą udaremniała od czterystu lat warcholska demagogja — najpierw możnowładcza i szlachecka, potem ludowa. W tem przecież sedno zagadnienia naszej egzystencji. Albo zdrowy instynkt narodowy i ciężkie doświadczenie dziejowe demagogję tę ostatecznie sflumią i dzieło naprawy do skutku nareszcie doprowadzą, albo położmy krzyż na naszej niepodległości, jeśli nie na dziś, to na jutro. Sprawa jasna, którą tylko tak należy stawiać, nie obwijając jej w bawełnę mdłych demokratycznych frazesów.

Przypuśćmy, że nowoobрани sejm, który pragnęlibyśmy nazwać „sejmem naprawy ustroju”, zdobędzie się — z własnej inicjatywy lub za sprawą rządu — na większość, która rozumne reformy przeprowadzi lub udzieli w tym zakresie naczelnej władzy państwowej odpowiedniego pełnomocnictwa. Ale także dorywcze, techniczne załatwienie sprawy, jakkolwiek już samo przez się wielce doniosłe, nie wypełni jeszcze w całości postulatów naprawy Rzeczypospolitej. Będzie tylko ramą bez głębszej treści, a w każdym razie bez duszy.

Treści i ducha nabierze dzieło reform wówczas dopiero, gdy sejm i wogóle kierujące czynniki oficjalne i społeczne zdołają zapoczątkować w polityce i w szerokiej opinii naprawę zasadniczego błędu, który spowodował ongiś osłabienie naszej myśli państwowej, a za niem upadek niepodległości. A błędem tym organicznym, który zmarnował wszystkie chwilowe sukcesy polityczne i orężne narodu i wysiłki poszczególnych wielkich królów i mężów stanu, była jakaś dziwna niezdolność do spełnienia donioślejszych zadań państwowych, wewnętrznych i zewnętrznych, jakie bieg dziejów kolejno stawiał przed Polską.

Przejdźmy je w krótkości.

Nierozwiązanie sprawy miast i zależnych od niej pierwszorzędnych zagadnień ekonomicznych, które wobec krótkowzrocznego

egoizmu warstwy szlacheckiej zmały u nas do rozmiarów prawdziwie karłowatych, uniemożliwiając gospodarcze, a za niem i militarne wzmocnienie państwa.

Niewyzyskanie pogromu zakonu krzyżackiego i możliwości silnego opanowania wybrzeży Bałtyku.

Nierozwiązanie sprawy kozackiej i w konsekwencji trwałego opanowania Ukrainy, dotarcia do Morza Czarnego i opanowania Krymu.

Niewyzyskanie przewagi nad Moskwą i korzystnych okazji utrwalenia naszego wpływu na nią w XVI i XVII w., a przeciwnie, zupełne zlekceważenie tego doniosłego zadania i lekkomyślne odstępowanie sąsiadowi znacznych obszarów kraju bez żadnej poważnej przyczyny.

Oto najważniejsze przykłady, a możnaby z łatwością przytoczyć więcej. Kulminują one wszystkie w tem, że myśl narodowa, wypaczona aż nazbyt wczesnie demagogią i warcholstwem, obracała się wciąż w wąskim kole partyjnych racji i nieracji, zamiast sięgać w przyszłość i przenieść się na większe zadania. I dlatego wszelkie usiłowania naprawy były daremne, bo na takim podłożu żadna reforma, nawet z chwilowym entuzjazmem uchwalona, nie była w stanie znaleźć gruntu.

Czy dziś jest inaczej? Czy zasadniczo w innych żyjemy warunkach? Niech na to pytanie każdy czytelnik sam sobie odpowie. Niech odpowiedzą na nie przedewszystkiem ci, którzy biorą lub mają zamiar wziąć czynny udział w życiu publicznem i do reform państwowych rękę przyłożyć.

Ale to pewna, że tesame mniejwięcej, a przynajmniej bardzo podobne stoją przed nami zadania, chociaż w zmienionej szacie. Półtorawiekowa przerwa w samodzielnem życiu państwowem nie zdołała ich nam usunąć, ale tylko odpowiednio zmienić i inne dla ich spełnienia stworzyć nam środki i metody. Szeroka dyskusja na tematy tego rodzaju nie jest wskazana, bo zbyt wiele mają strun drażliwych. Chodzi tylko o to, aby tchnąć w duszę społeczeństwa tę żywotną myśl państwową, której tak opierali się nasi przodkowie, aby uświadomić sobie należycie położenie i warunki egzystencji państwa i pchnąć pragnienia, dążenia i przyszłe reformy na takie tory, na których leży nie małoduszne łatanie drobnostkowych, efemerycznych antagonizmów i ambicji partyjnych czy klasowych, ale celowe wykorzystanie wielkich okazji i należyte rozwiązanie wielkich zadań, których nam nie zbraknie,

a które składają się na polską rację stanu w szerszym tego słowa znaczeniu.

Bieg dziejów nie dopuszcza nigdy dłuższej petryfikacji stosunków. To, co się dzisiaj najtrwalszem i najaktualniejszym wydaje, zmieni się jutro. Historia obfituje w niespodzianki i okazje. Najlepszym przykładem piorunująca katastrofa mocarstw zbiorowych i wskrzeszenie naszej niepodległości. Trzeba umieć przewidywać konjunktury historyczne i na dłuższą metę do nich się przygotować, wytwarzając w kraju takie warunki, aby wszelkie zmiany możliwie na naszą korzyść wypadły.

Jest c czem myśleć. Daj Bóg, aby tych wielkich zadań, od których przyszłość nasza zależy, nie było za dużo i aby nie były przed czasem zbyt ciężkie!

O POLSKIEJ IDEI PAŃSTWOWEJ.

Odczyt wygłoszony na zebraniu Klubu Polityczno-Społecznego w Krakowie 27 lutego 1928 r.

Zaszczycony zaproszeniem na wygłoszenie w Krakowie odczytu o polskiej idei państwowej, czuję się zaprawdę w położeniu człowieka, któremu kazano nieść sowy do Aten. Wszakże Kraków był oddawna tą największą i najgłębszą krynica, w której wytwarzała się i z której tryskała polska myśl państwowo-twórcza. W murach Wszechnicy Jagiellońskiej, Akademii Umiejętności i innych tamtejszych tak poważnych instytucji urabiała się i kształciła ta myśl od wielu dziesiątek lat pod względem naukowym i praktycznym, wydając na pożytek kraju i narodu pierwszorzędne umysły i pierwszorzędne, niedoścignione dotąd w swym rodzaju dzieła naukowe. Cóż więc nowego, rewelacyjnego może wygłosić w tych murach prelegent z innych stron kraju na temat idei państwowej, coby na warsztacie krakowskim nie było już oddawna przez pierwszorzędne siły fachowe opracowaniem i ustaleniem?

Dlatego też nie kuszę się wcale o jakieś nowe koncepcje — które w danym wypadku są nawet zupełnie zbędne — ale uważam za moje zadanie jedynie tylko przypomnienie Szanownym Słuchaczom pewnych prawd historycznych, których znaczenie

w obecnym okresie przełomowym, jaki przeżywamy, stało się specjalnie ważnem i aktualnem.

A moment jest rzeczywiście przełomowy — nietylko dla nas, ale i dla całej Europy. Stosunki i warunki, na których opierało się i rozwijało do niedawna życie państw i narodów, po części runęły w gruzy pod obuchem wojny światowej, po części zaś poprostu się przeżyły. Wszędzie też — drogą ewolucji czy rewolucji — wybijają się na wierzch nowe prądy i dążenia, nawet całe nowe światopoglądy, ustalają się nowe zasady ustrojowe, społeczne i gospodarcze, o których się do niedawna nawet nie śniło. Każde państwo, każdy naród, a nawet narodowość, usiłują zapewnić sobie możliwie trwałe warunki politycznego i gospodarczego bytu na dalszą przyszłość, a duch czasu i spotęgowane potrzeby materialne wprzegają je z drugiej strony w coraz większą współzależność, nadając każdej państwowej czy narodowej pracy nad jakimkolwiek polu coraz wybitniejsze piętno międzynarodowe.

W tem położeniu znajduje się oczywiście i Polska i to z pewnością nawet więcej, niż inne państwa, które nie miały stukilkudziesięcioletniej luki w niepodległym rozwoju. Stoimy bezsprzecznie w obliczu doniosłego i wielce odpowiedzialnego zadania wykucia sobie ze splotu warunków, w jakich odzyskaliśmy niepodległość, racjonalnej idei państwowo-twórczej — ustalenia podstawowych zasad państwowego programu na dalszą metę.

I na tem właśnie polu z dziwnem spotkamy się zjawiskiem zwłaszcza w sferach wykształconych i umiarkowanych, mianowicie z dwoma szczególnymi typami działaczy.

Jedni z nich — to aktualiści, którzy uznają za realne, interesujące, słowem aktualne, tylko to, co istnieje chwilowo na porządku dziennym, a więc wybory, poszczególne wypadki czy sytuacje na arenie politycznej, poszczególne pociągnięcia rządu, enuncjacje różnych wpływowych czynników, doraźne kombinacje partyjne i tym podobne chwilowe wydarzenia na krótką metę. Wszystko inne, co tylko wykracza poza chwilę bieżącą, wszelka myśl organizacyjna, na dalszy dystans obliczona, wszelkie programy, a zwłaszcza idee — to w ich pojęciu nierealne, to teoria, fantazja, którą poważnie zajmować się nie warto.

Drugi typ, skrajnie przeciwny — to marzyciele, którzy przypisując zbyt wielkie, zbyt dosłowne znaczenie różnorodnym prądom, odruchom i koncepcjom, zrodzonym w ostatniej dobie na arenie politycznej i literackiej w kraju lub zagranicą, wspinają

się na oderwane wyżyny spekulacji filozoficznej, usiłując z tego źródła wychwycić dla naszej przyszłości jakieś, narazie oczywiście dość nieokreślone, wskazówki czy nawet proroctwa. Rozpływając się tym sposobem w jakiejś mgłę filozoficznej, a nawet wprost w mistyce, tracą oczywiście realny grunt pod nogami, tracą wyczucie istotnych, najbliższych potrzeb państwa i społeczeństwa i wpadają w jakiś dziwny agnostycyzm polityczny, przecząc wartości wszystkiego, co jest, wszelkich bieżących dążeń i wysiłków, a nakazując społeczeństwu wyczekiwać biernie i bezprogramowo jakichś wielkich, tajemniczych przemian, które rzekomo mają nastąpić i kompletnie zmienić położenie w kraju oraz warunki pracy publicznej.

Mylą się oczywiście jedni i drudzy. Mylą się aktualiści, gdyż historię państw i narodów wykuwają nie codzienne, dorywcze wypadki, choćby chwilowo najdonioślejsze i najbardziej sensacyjne, ale tylko wielkie idee, poparte konsekwentną pracą programową i organizacyjną. Dowodem tego olbrzymi rozwój, wpływ i znaczenie wszelkich religii, a w pierwszym rzędzie naszej katolickiej; dowodem historia całego szeregu narodów, które natchnione pewną ideą militarną, gospodarczą czy kulturalno-polityczną, stwarzały w biegu dziejów długotrwale potęgi państwowe; dowodem wreszcie choćby olbrzymi rozwój doktryn i organizacji socjalistycznych, z którymi dzisiaj świat cały niestety aż nazbyt liczyć się musi. Wszystko to są idee, programowa, organizacyjna praca poparte. Dowodem zaś przeciwnym rozsypywanie się w proch zapomnienia najsilniejszych nawet zrzeseń, koncepcji i poszczególnych — nieraz genialnych — wysiłków, opartych li tylko na bezideowym porywie i konjunkturze chwili. Dowodem takim również kalejdoskop niezliczonych stronnictw politycznych, powstających i upadających pod wpływem chwilowych kombinacji, przy zlekceważeniu głębszego ideowego podłoża.

Mylą się również marzyciele, gdyż filozoficzną przesadą i mistycyzmem niepodobna służyć realnej sprawie państwowej. Brodząc we mgłę i unikając jasnego a trzeźwego formułowania programu, odsyłając żadnych czynu współobywateli do jakichś wykombinowanych mirażów przyszłości i utopijnego internacjonalizmu, dezorientują w istocie społeczeństwo i osłabiają jego energię twórczą. Płodzi się tym sposobem nawet w inteligentnych sferach obawa jasnego programu, której rezultatem jest i musi być wyczekujący pasywizm. A bez programu żyć i działać niepodobna. Można modyfikować program według zasadniczych zmian

sytuacji, nadając mu odpowiednią elastyczność, można i należy dostosowywać się do ewolucji wielkich prądów, nurtujących nowoczesne społeczeństwa i wiążących je ze sobą na nowych podstawach, ale przede wszystkim trzeba sobie zdać sprawę, czego się chce i do czego się dąży.

Prawda i realna myśl polityczna leżą oczywiście w pośrodku obu powyższych ekstremów. Budować potęgę państwa i kształcić charakter narodu, aby był zdolny sprostać swym historycznym zadaniom, może tylko idea, wcielona w program i w konsekwentną, celową akcję — ale idea jasna, prosta, realna, nie wymyślona sztucznie przez historjografów lub romantyków politycznych, lecz wyłoniona żywiolowo z całokształtu potrzeb, położenia i warunków egzystencji państwa. Taka też tylko idea jest w stanie powiązać codzienne, poszczególne wysiłki i pociągnięcia polityki bieżącej w jedną harmonijną i konsekwentną całość i uchronić twórczą pracę na arenie publicznej od małodusznego, krótkowzrocznego oportunizmu.

Taką być musi polska idea państwowa, której wskrzeszenie jest w bieżącym okresie przełomowym pierwszym obowiązkiem tych wszystkich sfer i czynników, które zgłaszają chęć i pretensję do współpracy nad naprawą Rzeczypospolitej. Stoimy w obliczu nowego sejmu, po którym każdy się spodziewa, że będzie sejmem gruntownych reform, że zapoczątkuje nareszcie wielkie dzieło odrodzenia ustroju i prawdziwie mocarstwowej polityki, dzieło, o które napróżno się kusili nasi przewidujący przodkowie przez lat czterysta. A podstawa tego dzieła odrodzenia leży w tem, aby ciasną, haselkową, a przez to i nieszczerą politykę partyjną lub klasową, obracającą się wciąż w wąskich kółkach wewnętrznych interesów podwórkowych, oraz nierealnych, abstrakcyjnych postulatów demagogicznych, zastąpić programem rozwiązywania wielkich zadań dziejowych, narzuconych państwu naszemu jego położeniem geograficznym i misją historyczną. Każde państwo ma takie zadania, od których wykonania zależą jego losy i egzystencja. Jeśli im nie sprostą, to zginie. I pod tym względem nie zna historia pardonu. Wiemy coś o tem z całej naszej przeszłości.

Jakże kształtował się w Polsce w ciągu wieków rozwój tej wytycznej idei państwowej, wcielonej w bieg wykonywania wielkich zadań historycznych? Możemy odróżnić pod tym względem z łatwością cztery epoki, wyraźnie rozgraniczone, co prawda całkiem niewspółmiernie w rozmiarach czasu.

Pierwsza, to okres konsolidowania się państwa i społeczeństwa polskiego pod względem faktycznym i ideowym, wśród różnorodnych zmagających, wstrząśnień, podziałów i wahań podstawowego państwowego programu, zakończonych koronacją Łokietka.

Drugi okres, to panowanie Kazimierza Wielkiego, który zrozumiał, że skonsolidowane wreszcie państwo Polskie nie będzie w stanie się ostać, ani żadnego donioslejszego zadania wykonać, dopóki nie wzmocni się przede wszystkim gospodarczo i społecznie. W konsekwencji podjął dwa wielkie zadania: rozbudowy gospodarczej kraju oraz stworzenia w nim silnego, zamożnego stanu średniego i podniesienia szerokich mas włościańskich do rzędu ważkiego, państwowo-uświadomionego czynnika społecznego w Polsce, a przez to samo podniesienia również jej wytwórczości rolnej. Ale obok tych dwóch wielce doniosłych zadań wewnętrznych, wskazał nam również trzy inne, zewnętrzne, robiąc w odpowiednim momencie skuteczną wyprawę na Ruś Czerwoną, łącząc się węzłami powinowactwa z wrogią dotąd Litwą, a wreszcie, zawierając narazie pokój z zakonem krzyżackim kosztem wielkich ofiar i forsując gospodarczy rozwój państwa, wskazał swym następcom, że należy gromadzić najpierw odpowiednie siły i rozszerzać państwo w innych, łatwiejszych kierunkach, celem przygotowania się do walnej rozprawy z najpotężniejszym wrogiem i trwałego opanowania wybrzeży Bałtyku.

Słusznie też historia wyróżniła szczególnie Kazimierza z pośród wszystkich innych królów, obdarzając go przydomkiem Wielkiego, gdyż wytyczył on Polsce na całą przyszłość podstawowe linie programu państwowego na wewnątrz i na zewnątrz, programu, który w ogólnych zarysach nie zmienił się zasadniczo po dzień dzisiejszy. Niepodobna bowiem uważać za taki program idei Chrobrego, gdyż spoił on chwilowo tylko mieczem zaborczym różne obszary i ludy, wychodzące swym położeniem poza naturalny obręb, jaki zakresliła państwu naszemu historia, a przeciwnie, wkroczył niejednokrotnie głęboko w granice naturalnej ekspansji narodów zachodnich, wyżej od polskiego stojących wówczas w kulturze. I dlatego program ten nie przeżył swego twórcy. Ale wytyczyła go natomiast bezsprzecznie polityka Kazimierza Wielkiego, bo w kierunkach specjalnie dostosowanych do realnych postulatów egzystencji państwa polskiego.

Niestety, program Kazimierza Wielkiego nie doczekał się całkowitej realizacji przez jego następców. Ale umożliwił w każdym razie w trzeciej epoce, jagiellońskiej, mocarstwowy rozwój pań-

492331
12

stwa, dokonany ur
i kulturalnym. A w
wykorzystać ostate
które miała wówczas

zała potomnym dwie zasadnicze podstawy zwycięskiej, tancym
ekspansywnej, które po dziś dzień większe mają dla nas znacze-
nie niż siła oręża: potęga gospodarcza, gdyż ona rzuciła osta-
tecznie na kolana zakon krzyżacki, oraz siła atrakcyjna, która
wywołała grawitację ku Polsce ościennych prowincji i narodów.

W tych dwóch podstawowych wskazaniach leży—w specyfi-
cznych warunkach naszego położenia—kwintesencja polskiej
polityki mocarstwowej na dłuższą metę, kwintesencja naszej idei
państwowej. A walor obu tych wskazań potęguje się obecnie
jeszcze z dniem każdym, gdy normy polityki międzynarodowej
ograniczają i piętnują coraz bardziej politykę miecza.

Epoka czwarta, ostatnia, nie wymaga chyba dłuższej analizy.
Jest to okres przyspieszonego upadku, który nastąpił jedynie
i wyłącznie dlatego, że Polska, walcząc na wszystkie strony
z obcym naporem i wewnętrznym rozkładem, nie zdobyła się na
wykonanie ani jednego z wielkich zadań, które byłyby w stanie
wzmocnić ją w jakimkolwiek kierunku. Bo nie uważam za wyko-
nanie wielkiego zadania tych wprawdzie bohaterskich i ofiarnych,
niemniej jednak czysto defenzywnych, bezprogramowych bojów
z półksiężycem. Misja przedmurza chrześcijaństwa byłaby mo-
gła być spełniona z daleko większą realną dla Polski korzyścią,
gdyby była kierowana jakąś celową, programową polityką zew-
nętrzną, skoordynowaną z ogólną sytuacją i dążeniami państw
europejskich. Ale tego ogółem brakło, wysiłek polski kierował
się zbyt często romantyzmem, wzniosłym, szlachetnym, ale po-
litycznie nawskroś niepraktycznym. I dlatego owoce z całej tej
kilkowiekowej kampanji krzyżowej, w której świat muzułmań-
ski i tak ulec musiał przed wyższą sztuką wojenną, zasobami
i kulturą zachodu, zebrały wszystkie inne państwa, tylko nie
Polska. Dlatego też misję naszą obrony cywilizacji zachodniej
przed naporem barbarzyńskiego wschodu, w której Polska się do-
tąd krwawiła, a z której korzyść ciągnęli inni, powinniśmy pełnić
w przyszłości tak, aby wystrzegać się wszelkiego romantyzmu
i aby każdy nasz wysiłek obliczony był na realne dla państwa ko-
rzyści.

Natomiast wszystkie inne wielkie państwowe zadania legły w
tej ostatniej epoce przedrozbiorowej całkowicie odłogi. Zlekce-



49233/
12